CZY WARTO PÓJŚĆ NA FILM O GIERKU?

JAK W PRL BYŁO NAPRAWDĘ

WIDMO BALCEROWICZA NAD PLATFORMĄ

TEATRZYK U GRODZKIEGO

LEDWO ZACZĄŁ, A JUŻ WYROKUJE

DZIECI W PANDEMII. JAK IM POMÓC?

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 5 (479) 2022
31 stycznia–6 lutego 2022
CENA: 7,90 zł (w tym 8% VAT)

ROSYJSKA AGRESJA

NIEMIECKA ZDRADA

BERLIN STAWIA NA MOSKWĘ, PORZUCA SOJUSZNIKÓW I ROZBIJA JEDNOŚĆ NATO.

DLA UKRAINY TO CIOS W PLECY, DLA NAS WAŻNA LEKCJA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl/062fd4e8ab

Hit Polsat Box

Najlepszy sport i ulubione kanały za jedyne 60 zł/mies.

Dekoder polsat box I 4K lite za 1 zł.

polsat box

Wybierz swoje wszystko

Technologia satelitarna i kablowa IPTV
Kanały Nick Jr. i Cinemax dostępne promocyjnie na 24 mies.

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej przy umowach na pakiet M Sport ze zobowiązaniem od 60 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera oraz opłat za Internet. Technologia kablowa IPTV działa z Internetem stacjonarnym Plusa, Netii i Orange i wymaga łącza o min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów w jakości HD i 25 Mb/s dla kanałów w jakości 4K na dekoder. „Za 1 zł" – opłata uiszczana przy podpisaniu umowy dotyczy aktywacji i udostępnienia dekodera. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images. „Kłamstwo doskonałe" © Warner Bros. All rights reserved. Oferta ważna na dzień 24.01.2022 r.

Nie zaczęło się od komór gazowych

Od 2005 r. decyzją ONZ 27 stycznia obchodzony jest jako Międzynarodowy Dzień Pamięci o Ofiarach Holokaustu. Ustanowiono go na pamiątkę wyzwolenia obozu zagłady Auschwitz-Birkenau. Kilka dni temu minęła 77. rocznica tamtego wydarzenia. Uczestnicy uroczystości, które odbyły się na terenie byłego obozu, podkreślali, że coraz większym problemem jest dziś zapominanie o dokonanym ludobójstwie, obojętność wobec niego, a nawet fałszowanie historii.

Przejmująco brzmiało zwłaszcza wystąpienie ocalałej z Auschwitz Haliny Birenbaum, która miała 10 lat, gdy wybuchła II wojna światowa. Tak wspominała ona tamte czasy: „Widziałam masy potężnego butnego wojska hitlerowskich Niemiec, gdy wmaszerowali okrutnie, zwycięsko w ulice zburzonej, palącej się Warszawy. W ciągu ponad pięciu lat oddychałam zbrodniami nazistowskich Niemiec, śmiercią. Wzrastałam pod ich zbrodniczym panowaniem absolutnym, które nie omijało nikogo, Żydów, Polaków. Na naród żydowski wydali i wykonywali naziści niemieccy wszelkimi sposobami wyrok i plan totalnej Zagłady".

Dokładnie tydzień przed tym wystąpieniem, 20 stycznia, minęła 80. rocznica konferencji w Wannsee, w której trakcie wysocy dygnitarze państwa niemieckiego podejmowali decyzje, jak najsprawniej zorganizować ludobójstwo 11 mln europejskich Żydów. To, że wspomniana rocznica przeszła na świecie niemal niezauważona, jest najlepszym dowodem na to, że Halina Birenbaum miała rację, przestrzegając przed zapomnieniem, umniejszaniem, zaprzeczaniem i fałszowaniem faktów historycznych.

Uczestnicy konferencji w Wannsee nie mieli żadnych skrupułów ani rozterek moralnych, ponieważ już wcześniej w ich umysłach dokonał się akt dehumanizacji Żydów, zrównanie ich z insektami, plagą szarańczy, która obsiadła państwo niemieckie. Traktowali ludobójstwo jak dezynsekcję. Jak pisał inny ocalały z Holokaustu, Primo Levi, to nie zaczęło się od komór gazowych, krematoriów ani obozów, lecz znacznie wcześniej: od polityków dzielących ludzi na lepszych i gorszych, od nienawiści i nietolerancji na ulicach i w mediach, a w końcu znieczulicy społecznej.

Narodowy socjalizm w Niemczech przedstawiał się jako nurt modernizacyjny odwołujący się do postępu, nowoczesności, nauki, młodości, tężyzny fizycznej i zdrowia. To, co słabe, chore, zacofane, musiało zostać wyeliminowane. Te hasła wzbudzały entuzjazm zwłaszcza wśród młodzieży. W latach 1932–1934 NSDAP była najprawdopodobniej najmłodszą wiekowo partią na świecie – średnia wieku członków wynosiła w niej zaledwie 29 lat. To oni przerywali wykłady nieprawomyślnych profesorów i domagali się wyrzucania ich z uczelni. Kultura unieważniania kazała im niszczyć pomniki i palić książki. Kultura przebudzenia kazała im domagać się wyrównania rachunków z tymi, których uważali za swych ciemiężycieli. To oni zerwali z zasadą świętości i nienaruszalności ludzkiego życia, uznając, że nie wszyscy mają takie samo prawo do istnienia. Przede wszystkim jednak uśmiercili w swych sercach Boga, który kazał przebaczać wrogom i miłować nieprzyjaciół. Jeśli Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo, to „śmierć Boga" musiała pociągnąć za sobą śmierć człowieka.

O tym wszystkim za mało się dziś mówi, jeśli chcemy, aby nie powtórzyły się tragiczne doświadczenia z przeszłości. Za mało się mówi o mechanizmach powstawania i rozprzestrzeniania się obłędnych ideologii: jak wymyślają je intelektualiści, jak przedostają się one do prawa i do kultury, jak oczarowują one młodzież, która uważa je za prawdy objawione i ostatnie słowo ludzkości.

Grozi nam także banalizacja historii. Rabin Byron Sherwin wspominał, że został zaproszony do jednej ze szkół średnich w Chicago, gdzie już od pół roku nauczano o Holokauście. Gdy zapytał uczniów, jak wyglądało życie w warszawskim getcie w 1941 r., dostał następujące odpowiedzi: „nikt nie miał własnego pokoju; nie było oddzielnych łazienek; była tylko czarno-biała telewizja; nie było klimatyzacji; nie było przekąsek między posiłkami; każdy miał tylko dwie pary dżinsów". Podobny stopień ignorancji panuje niestety także wśród wielu dorosłych na Zachodzie. Mieszkańcy Polski, jak mało kto na świecie, powołani są do tego, aby przypominać prawdę o tamtych czasach.

Grzegorz Górny

Reklama | 20/0122/F

eprasa.pl 062fd4e8ab

SIECI spis treści

28 *Bez ochrony granic strefa Schengen pęknie*
Michał Karnowski

42 Dzieci i młodzież w kryzysie
Dorota Łosiewicz

56 Ofiary zarażenia społecznego
Grzegorz Górny

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **TUSK DE POLOGNE**
Krzysztof Feusette

9 **PRAWDA JEST NAJWAŻNIEJSZA**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **ODESZŁA BARBARA KRAFFTÓWNA**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **TEATROWI BIADA**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA RAFAŁA PORZEZIŃSKIEGO**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **CYWILIZOWANIE SCHRONISK DLA ZWIERZĄT**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **KTO CHCE OŚLEPIĆ POLSKĘ „POLITYCZNYM HUMBUGIEM"**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

20 **NIEMCY KROK PO KROKU DEMONTUJĄ NATO**
Marek Budzisz

24 **DYPLOMACJA DUŻEGO KIJA**
Jan Rokita

KRYZYS MIGRACYJNY W UE

28 **BEZ OCHRONY GRANIC STREFA SCHENGEN PĘKNIE**
Michał Karnowski

KRAJ

32 **POWRÓT BALCEROWICZA**
Stanisław Janecki

35 **SKROMNY JAK TUSK**
Konrad Kołodziejski

38 **TEATRZYK U GRODZKIEGO**
Marek Pyza

42 **DZIECI I MŁODZIEŻ W KRYZYSIE**
Dorota Łosiewicz

46 **LUKROWANY GIEREK**
Jakub Augustyn Maciejewski

ŚWIAT

49 **NICZYM WIELKI HOUDINI**
Aleksandra Rybińska

52 **POD OKUPACJĄ**
Marcin Tulicki

54 **ATAK NA BENEDYKTA**
Goran Andrijanić

56 **OFIARY ZARAŻENIA SPOŁECZNEGO**
Grzegorz Górny

OPINIE

58 **POLITYCZNE ODZIEWANIE PRAWDY**
Aleksander Nalaskowski

SIECI KULTURY

69 **OD CHŁOPCA DO KRÓLA**
Jolanta Gajda-Zadworna

71 **DEBIUT NA 50-LECIE LEGENDY**
Adam Ciesielski

72 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

73 **ODSZEDŁ JACEK TRZNADEL**
Wojciech Lada

74 **BARBARA KRAFFTÓWNA: CZARODZIEJKA SCENY I EKRANU**
Adam Ciesielski

76 **MY, ROSJANIE I NIEMCY**
Robert Tekieli

77 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

78 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

IMPRESJE

80 **PĘKNIĘTE SZKIEŁKO**
Krzysztof Logan Tomaszewski

GOSPODARKA

82 **GOSPODARKA PO PANDEMII – DROGI WYJŚCIA**
Konrad Raczkowski

NATURA DLA LUDZI

88 **RYBA, KTÓRA ZMIENIŁA HISTORIĘ I PRAWO**
Przemysław Barszcz

KUCHNIA

90 **MOJE SMAKI: SYLWIA BĄKOWSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

91 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

92 **KARIERY WERYFIKATORÓW W MEDIACH III RP**
Hanna Karp

94 **N PLUS R**
Alina Czerniakowska

95 **NA PEGAZA!**
Wiktor Świetlik

95 **STAN ZAGROŻENIA**
Lech Makowiecki

96 **UZALEŻNIENI OD OŚMIU GWIAZD**
Tomasz Łysiak

96 **RING WOLNY**
Piotr Cywiński

97 **NIE NA RĘKĘ**
Leszek Długosz

98 **REALIZM BEZ SUKCESU?**
Andrzej Zybertowicz

Reklama | 60/0122/F

eprasa.pl 062fd4e8ab

MNIEJ SMOGU

Z BENZYNĄ EFECTA

MASY EMITOWANYCH CZĄSTEK STAŁYCH

Testy wykonano na różnych samochodach, a wyniki emisji mogą różnić się od rzeczywistych wyników w zależności od rodzaju pojazdu, jego kondycji, stylu jazdy oraz innych czynników. Podany poziom emisji zanieczyszczeń benzyny względem paliw odniesienia na podstawie badań wykonanych w cyklu WLTC w niezależnym Instytucie Badań i Rozwoju Motoryzacji BOSMAL Sp. z o.o. Szczegóły na orlen.pl.

Alfa Romeo RACING | ORLEN

TITLE SPONSOR

eprasa.pl 062fd4e8ab

Sygnalista nadaje

Prof. Magdalena Środa na łamach „Gazety Wyborczej" ma pomysł, jak wymusić na partiach opozycyjnych budowę jednej listy wyborczej: „Podoba mi się pomysł zbojkotowania wyborów [przez wyborców], jeśli opozycja się nie zjednoczy. Bojkot jest tu rodzajem szantażu, ale szantaż jest czasem skuteczną metodą pokonywania oporów i osiągania celów". Doskonały pomysł, wiele mówiący o kompetencjach politycznych prof. Środy.

Wypowiedzi pani profesor mają jedną zaletę: są szczere. „Nie interesuje mnie, która z opozycyjnych partii tę demokrację wywalczy, przestały mnie interesować programy i hasła, nie interesuje mnie nawet, jaki rozkład partyjnych sił będzie miał miejsce po wyborach. Chcemy i musimy te wybory wygrać" – stwierdza prof. Środa, dodając: „Doskonale wiemy, że partyjne programy są o kant d...y potłuc w sytuacji tak radykalnego zagrożenia, jakim jest PiS. Zupełnie nieistotne jest też, który z szefów partii jest silniejszy czy bardziej wiarygodny". W przypadku III RP to w zasadzie prawda uniwersalna.

Temperatura w środowiskach opozycyjnych jest rzeczywiście wysoka. Właściciel sklepu dla biegaczy na warszawskim Ursynowie ogłosił w mediach społecznościowych, że zwolennicy partii rządzącej mają płacić więcej. „Polski Ład powoduje, że zwolennikom PiS doliczamy 50 proc. do wartości zakupów. W tym celu należy powiadomić obsługę przed rozpoczęciem zakupów" – czytamy w oświadczeniu Jacka Gardenera. Są tak tolerancyjni, że zapewne z radością powitaliby żółte opaski dla przeciwników politycznych.

Lech Wałęsa po przechorowaniu zakażenia koronawirusem: „Jestem za koniecznością szczepienia prawie przymusowego". I dalej: „Szczepienia dziś, moim amatorskim zdaniem. Uzależniają jak, narkotyki na dalsze przyjmowanie, powodują łagodniejsze chorowanie, ale nie wykluczają możliwości zainfekowania i to należy poprawić w szczepionkach". Pisownia i myśl oryginalne.

W rozmowie z „Wyborczą" przedsiębiorca mówi wprost, że zwolennicy PiS są niemile widziani w jego sklepie. „To raczej symboliczny gest. Jeżeli wśród moich klientów są jeszcze osoby popierające Prawo i Sprawiedliwość, to niech nie przychodzą i nie denerwują mnie swoimi opowieściami, jak jest dobrze" – argumentuje Gardener, który w latach 2018–2020 otrzymał ponad 73 tys. pomocy publicznej. Teraz narzeka na chaos: „Nie wiem, jak mam się rozliczać. Moja księgowa też nie wie". Sądząc po nerwowych nadreakcjach, pan Jacek rzeczywiście zmaga się z (wewnętrznym) chaosem.

W mediach gruchnęła wieść, że ***Kukiz*** namawiał PO do przyspieszonych wyborów, ale Budka przekonał go, że to niemożliwe. Według Kukiza sprawy miały się inaczej: „[Na uwagę Budki] odpowiedziałem, że przecież mogliście OD DAWNA próbować odsunąć PiS od władzy, bo do trzech liczyć chyba potraficie i wiecie, że nasze trzy głosy są w stanie doprowadzić do przyspieszonych wyborów a MIMO TO NIGDY NIE PROPONOWALIŚCIE NAM takiego rozwiązania, co dobitnie świadczy o tym, że NIE CHCECIE PRZYSPIESZONYCH WYBORÓW". Rozmowy Budki z Kukizem powinny być transmitowane, i to na żywo. Gdy są tajne, naród dużo traci.

Kukiz odmówił też udzielania wypowiedzi mediom w obecności reporterów TVN24. „Proszę im zakomunikować, żeby odeszli. Nie muszę rozmawiać. Dopóki widzowie TVN24 nie zostaną przeproszeni przez stację TVN24 za wszystkie kłamstwa, sugestie, że coś wziąłem, że się sprzedałem, nie będę roz-

eprasa.pl 062fd4e8ab

mawiał. [...] Mam jedną godność, jeden honor" – tłumaczył. Brawo. Nie żyjemy w mediokracji, przynajmniej chwilowo.

Adam Szłapka, poseł Nowoczesnej (Koalicja Obywatelska): „Trzeba dopilnować tego, by Kurski i jego pomocnicy oddali co do złotówki, to, co zarobili w TVP Info z publicznych pieniędzy". Internauci słusznie zwrócili uwagę, że najpierw trzeba dopilnować, by Nowoczesna spłaciła swoje długi z kampanii 2015 r. A poza tym to frustracja jest złym doradcą.

Dominika Wielowieyska w „GW": „Koalicja rządowa składająca się z czterech ugrupowań to twór mało sterowny i źródło konfliktów. Dlatego lider PO myśli o takiej konstrukcji list, by Lewicy nie trzeba było dopraszać do nowego układu rządzącego. Tusk uważa, że w godzinie próby Lewica jest gotowa zdradzić opozycję i współpracować z PiS. Stabilniejszy i bardziej spójny rząd powstałby bez Czarzastego, Biedronia i Zandberga. I o to toczy się batalia". Albo Tusk tylko straszy Lewicę, albo szykuje rząd z Konfederacją. Innego wyjścia nie ma.

Szymon Hołownia rozpoczął objazd Polski. Na początek zawitał do Końskich, w których według Grzegorza Schetyny wygrywa się wybory. Na bazarku przekonywał miejscowych, że PiS nic nie robi, drożyzna rośnie, inflacja galopuje, ceny gazu szaleją, a rząd nie ma żadnego pomysłu. Mieszkańcy Końskich najpierw połączyli Hołownię z Tuskiem, a później odpowiedzieli stanowczo. „Pan opowiada bzdury, że PiS nic nie robi! Jest akcyza obniżona na wszystko praktycznie: paliwo, gaz..." – wyliczał jeden z uczestników spotkania. Jeśli wybory naprawdę wygrywa się w Końskich, to nic jeszcze nie jest przesądzone.

Wraz z nowym ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Polsce Markiem Brzezinskim nad Wisłę przyleciała też jego siostra – Mika, dziennikarka, współprowadząca program „Morning Joe" w telewizji MSNBC. „Gazeta Wyborcza" przeprowadziła wywiad, w którym padło takie oto pytanie: „Wiem, że twój tata czytał »Gazetę Wyborczą«. Wiem też, że on i nasz redaktor naczelny Adam Michnik byli przyjaciółmi. Również Mark, twój brat, czyta »Wyborczą«". Mika Brzezinski potwierdziła: „Zdecydowanie tak. Czyta ją codziennie". Dziennikarka: „Możemy zatem założyć, że rodzina Brzezińskich i »Gazeta Wyborcza« to jedna i ta sama rodzina". Siostra ambasadora: „Wszyscy tak uważamy!". Nie ma to, jak niezależne, krytyczne umysły. Bez nich świat byłby uboższy.

Jarosław Gowin ogłosił powrót do polityki: „Miałem depresję, będącą efektem wielu miesięcy bezsenności. Z kolei brak snu był skutkiem ubocznym przechorowania koronawirusa. Na to nałożyło się przepracowanie i brutalny atak PiS. Pokonałem chorobę. Wracam do polityki. Czuję się silniejszy niż kiedykolwiek". Piękna, wręcz filmowa historia, choć kolejność zdarzeń i procesy przyczynowo-skutkowe wyglądały nieco inaczej.

Jeszcze raz lider Porozumienia: „Kiedy w lutym ubiegłego roku Adam Bielan podjął próbę pozbawienia mnie funkcji prezesa Porozumienia, poszedłem do Kaczyńskiego i usłyszałem: »Chyba nie sądziłeś, że puszczę ci płazem to, co zrobiłeś rok temu«. Chodziło oczywiście o wybory kopertowe. To był początek akcji niszczenia naszego środowiska. Kaczyński nie był w stanie znieść, że ktoś wyznaczył granice jego władzy. Wyprowadzało go z równowagi, gdy Porozumienie przeciwstawiało się jego polityce". Każdego wyprowadziłby z równowagi koalicjant ewidentnie grający na obalenie własnego rządu.

Europoseł Esteban González Pons pokieruje misją Parlamentu Europejskiego w sprawie systemu Pegasus. Hiszpański chadek udzielił wywiadu portalowi euroactiv.pl, w którym stwierdził: „To, co dzieje się na forum Unii Europejskiej w związku z działaniami polskich władz, nie jest wymierzone w Polskę i jej społeczeństwo, ale dlatego, że tamtejsze władze łamią wspólne zasady. Zrobimy to, co w naszej mocy, ale nie możemy zrobić wszystkiego". Na koniec Pons zadeklarował: „Spróbujemy pomóc polskiemu społeczeństwu zmienić władze, które wydają się niedobre dla Polski". Nawet komuniści rzadko bywali tak bezpośredni.

Słowa Ponsa celnie skomentował ***prof. Ryszard Legutko:*** „Życie przez wiele lat w systemie, gdzie właściwie wszyscy mówią to samo – bo to tylko u nas jest taki pluralizm, że można mieć różne sposoby patrzenia na rzeczywistość, natomiast tam jest cały czas ten jeden, więc im się wydaje, że jeżeli ktoś sądzi inaczej, to coś z nim nie w porządku. »Może ci Polacy są jakoś otumanieni? Może oni tak nie do końca zdają sobie sprawę z rzeczywistości? To my im pomożemy«. To jest sowiecki oczywiście sposób, że »wy tam Polaczki jeszcze nie rozumiecie, ale nasi politrucy przyjadą i wam wyjaśnią, jak to jest z tą walką klas, i wtedy wy pokochacie komunę«. To jest bardzo podobny sposób myślenia". Nowa tyrania przykręca śrubę.

Fot. Andrzej Wiktor (2x), Julita Szewczyk, Fratria

eprasa.pl 062fd4e8ab

Tusk de Pologne

KRZYSZTOF FEUSETTE

No to sobie pojeździłem, psia ich budka na resorach. A tyle razy prosiłem: ostrożnie, nie „na żywca", i co teraz, geniusze od misternych planów? „Kierowniku, są ludzie, którzy tylko czekają!" – mówili. No i czekali. Jakiś piekarz mnie na zaplecze ciągnie, gdzie sanepid chyba nie zagląda, skoro tak sobie pozwala. I płacze, że chleb będzie drogi, chociaż na chlebie zarabia. A ja już nie wiem, co mu powiedzieć, poza tym, że osiem gwiazdek i że Morawiecki inflację osobiście ze Stanów przywoził. Ledwie się z mąki otrzepałem, a już mnie pakują do faceta, co się przetwórstwem owocowo-warzywnym zajmuje, czyli kokosy na sałacie. Ale żeby wybrać akurat takiego, który kartkę sobie na pustostan przyklejał, że „wyborców PiS nie obsługuje, bo mu na to nie pozwala klauzula sumienia"? To my już naprawdę nie mamy normalnych wyborców? A czy on mi zdradził, choćby prywatnie, że przez kilka sezonów prawie trzy bańki dostał z dotacji siakich i owakich? A czy ja po to tam byłem? Czy ja po to ludzi przez sztab poleconych odwiedzam w samym środku pandemii wyborczej, przepraszam, kampanii, żeby oni się dotacjami chwalili? Tu chodzi o szerszy problem. Małe firmy, zwłaszcza te, które powstały dzięki temu, że sześć lat temu zmieniła się władza, dziś mogą upaść i nigdy więcej nie powstać, zwłaszcza jeśli zmieni się władza. Trochę to zagmatwane, ale Lis z Kolendą przetłumaczą. Że my teraz jesteśmy do ludzi frontem, wyborca to nasz klient, a klient nasz pan. Przynajmniej do wyborów. To teraz konkrety. Podwyższenie wieku emerytalnego? Tak jak powiedziałem w zeszłym tygodniu: dla mnie, osobiście, nie ma tematu. Są ludzie, którzy nie mogą albo nie chcą dłużej pracować i ja to, osobiście, szanuję. To samo zresztą mówiłem w 2011 r., więc jestem konsekwentny. Inna sprawa, że kilka miesięcy później żeśmy to w Sejmie wspólnie z PSL-em przegłosowali. Dziś mogę tylko obiecać, że tym razem będzie inaczej. Nie zmienimy niczego, co PiS zrobiło dla ludzi i ludzie chcą tego nadal, o ile, oczywiście, wystarczy pieniędzy. Powtórzę myśl z ostatniego wywiadu: jeśli państwo chce być tak hojne (bo przecież np. 500+ to jest potworne uderzenie w mafię VAT-owską), w innych sprawach musi być bardzo oszczędne. Wiadomo jednak, że w niektórych nie może, więc prawdopodobnie nie powinno być tak hojne. I tu podzielam zdanie kolegi Trzaskowskiego z kampanii prezydenckiej, iż podobnie, jak w kwestii wieku emerytalnego, o 500+ też nie ma już co mówić, gdyż „sprawa jest załatwiona". I dość języka nienawiści, który każe nas ciągle odpytywać, czemuśmy krzyczeli, że gospodarka od tego upadnie, a ludzie wszystko przepiją i przestaną pracować. Nie moja wina, że Rostowski „piniendzy" nie miał, bo kabza była pusta – jak to na zielonej wyspie, a u Michnika pisali, że cała Unia ucierpi na tym barbarzyństwie. Jak ja mam to teraz pożenić z opowieścią o Kopaczowej, że prawie taki sam projekt miała głęboko w szufladzie? Weź się potem człowieku podnieś z takiego szpagatu bez strat własnych. A w polityce nie ma, że boli, między ludzi iść trzeba. I co? Przychodzi starsza pani i pyta, czemu Niemcom sprzyjam, nie Polsce? No, oszołom kompletny. Nie wie, że kto płaci, ten wymaga?

Zresztą ja się tego trochę spodziewałem. I dlatego powtarzałem niedorajdom: sprawdźcie wszystko dwa razy. Szczególnie te Sokoły brzydko mi pachniały. Ale znowu słyszę: „Spokojnie, kierowniku! Gmina jest nasza, a jak pogoda dopisze, to i ludzie z domów wylegną!". „Żeby się tylko od tego coś złego nie stało..." – od razu pomyślałem, bo ja swoje obciążenia znam. W odróżnieniu od tych, którzy na mnie wszystko postawili. I co? I nawet żeśmy do rogatek nie dojechali, a tutaj telefon, że wójt tych Sokołów prawdopodobnie zwariował, bo „chce z panem Tuskiem szczerze porozmawiać". No, nie wariat? Ja mam z nim dyskutować przed kamerami, jak nawet nie wiem, co on chce powiedzieć?! Na dodatek się okazało, że jak żeśmy rządzili, to ktoś im tory kolejowe w gminie zwinął, czytaj: państwo nasze teoretyczne, a o posterunek policji musieli walczyć jak o niepodległość. Cud, że wygrali, bo bez policji na miejscu, to chyba by już nigdy żaden z naszych nie mógł tam pojechać.

Niestety zapowiedź do mediów poszła już wcześniej, więc niesmak pozostał. Najpierw chcieliśmy to przykryć „na Biedronia", czyli w ten deseń, jak on tłumaczył, że owszem chciał w pandemii do Chin polecieć, ale nie o Państwo Środka chodziło, tylko o wioskę w Polsce. To chyba śmigłowcem czy jak? Myśmy wymyślili jeszcze lepiej. Zgadza się, o Sokoły chodziło, ale nie o gminę, tylko o piosenkę „Hej, sokoły", którą żeśmy w busie śpiewali. Na znak europejskiej solidarności z Ukrainą oczywiście. Tyle że to nawet jak na TVN było za durne, więc w końcu wykombinowaliśmy komunikat prasowy. Iż bez względu na wzgląd oraz z gruntu mając na uwadze, informuję, że ktoś w Sokołach miałby nieprzyjemności, gdybym go odwiedził. Wyszło na to, że przyjemność goszczenia przewodniczącego opozycji nie łagodzi wszelkich nieprzyjemności, ale mnie przekonano, że w ten sposób odwracamy uwagę od faktu, iż nieprzyjemności podczas tej wizyty miałby raczej gość niż gospodarz. Powiem zatem krótko, koleżanki i koledzy: jeszcze kilka takich wpadek i mnie się to tournée przestanie opłacać. Albo trzeba puścić w Polskę sobowtóra, a on mi będzie przekazywał, co miejscowi gadali, albo dajmy ogłoszenie do mediów, że interesują nas ludzkie bolączki, ale tylko te z lat 2015–2022. A najlepiej jakby były świeżutkie, jak bułeczki u piekarza. I przekażcie mu, żeby się sanepidu nie bał, bo dopóki jest z nami, to mu włos z głowy na pieczywo nie spadnie. Najwyżej radnym zostanie.

eprasa.pl 062fd4e8ab

WIEŻA BAB

Prawda jest najważniejsza

Nim więc ktoś zawyrokuje, jak było w sprawie z Częstochowy, warto poczekać na wyniki pracy prokuratury i ustalenia kontroli

Kolejne dramatyczna śmierć kobiety matki staje się pretekstem do ataku na Trybunał Konstytucyjny i oskarżenie rządu, że ma krew na rękach. Tymczasem warto wciąż przypominać, że nikt w Polsce nie zakazał ratowania życia i zdrowia kobiet.

Prokuratura wyjaśnia okoliczności śmierci 37-letniej pani Agnieszki z Częstochowy. Bliscy kobiety twierdzą, że przez kilka dni nosiła ona w swoim łonie martwe dziecko, a lekarze mieli nie decydować się na aborcję, bo czekali, aż umrze drugi płód. Prokuratura Okręgowa w Częstochowie wszczęła w tej sprawie śledztwo. „To postępowanie w sprawie narażenia 37-letniej pacjentki na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia lub ciężkiego uszczerbku na zdrowiu oraz nieumyślnego spowodowania śmierci tej kobiety" – poinformował Tomasz Ozimek, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Częstochowie.

Nim jednak wyjaśniono dramatyczne okoliczności śmierci kobiety, część środowisk politycznych już wie, że odpowiedzialność ponosić ma Trybunał Konstytucyjny. A przecież ten nie zmienił przesłanki odnoszącej się do ratowania życia i zdrowia kobiety. Przypomnijmy, że przepisy prawa dotyczącego aborcji zostały zmienione na skutek wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 22 października 2020 r. Wcześniej obowiązująca od 1993 r. ustawa o planowaniu rodziny, ochronie płodu ludzkiego i warunkach dopuszczalności przerywania ciąży zezwalała na dokonanie aborcji w trzech przypadkach: gdy ciąża stanowi zagrożenie dla życia lub zdrowia kobiety, gdy ciąża powstała w wyniku czynu zabronionego (gwałt, kazirodztwo) oraz w przypadku ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu albo nieuleczalnej choroby zagrażającej jego życiu. Jedynie ta ostatnia przesłanka została uznana przez TK za niekonstytucyjną, ale nie ma wątpliwości, że przepisy nadal dopuszczają możliwość przerywania ciąży w przypadku, gdy stanowi ona zagrożenie dla życia i zdrowia kobiety, a także gdy zachodzi uzasadnione podejrzenie, że ciąża jest skutkiem czynu zabronionego, m.in. gwałtu.

W tej sprawie, podobnie jak w przypadku śmierci pani Izabeli z Pszczyny, feministki i lewica próbują przekonywać, że do tragedii doszło przez zakaz aborcji, a obie kobiety są „ofiarami wyroku" TK. I znów warto przypomnieć, że w przypadku śmierci pani Izabeli kontrola Narodowego Funduszu Zdrowia w Szpitalu Powiatowym w Pszczynie potwierdziła rażące nieprawidłowości w organizacji, sposobie realizacji i w jakości świadczeń udzielonych pacjentce, a NFZ nałożył na placówkę karę w wysokości blisko 650 tys. zł. Okazało się, że zachowanie lekarzy nie spełniało kryterium należytej staranności oraz nie zapewniało standardu bezpieczeństwa zmarłej pacjentki. Kontrolerzy ustalili, że podjęcie decyzji o rozwiązaniu ciąży nastąpiło zbyt późno, tym samym personel nie reagował adekwatnie do objawów klinicznych pacjentki wskazujących na rozwijający się wstrząs septyczny. Stwierdzono również m.in. brak stałego monitorowania stanu pacjentki oraz zlecenia koniecznych dodatkowych badań kontrolnych. Przecież to m.in. z esemesów zmarłej kobiety, ujawnionych przez TVN 24, i relacji anonimowej pacjentki, która była z nią na sali, wynikało, że lekarze nie ratowali życia kobiety, choć zdawali sobie sprawę z jego zagrożenia. Wyrok TK stał się zwyczajnie zasłoną dymną dla lekarzy i dyrekcji szpitala. Co więcej, okazało się także, że dziecko pani Izy mogło być zdrowe. Szeroko pisałam o tym w noworocznym numerze tygodnika „Sieci".

Nim więc ktoś zawyrokuje, jak było w sprawie z Częstochowy, warto poczekać na wyniki pracy prokuratury i ustalenia kontroli. Oskarżenia polityczne mogą bowiem zaciemniać prawdziwy obraz sytuacji. A wszystkim nam chodzi tylko o to, by światło dzienne ujrzała prawda i by do takich dramatów w polskich szpitalach po prostu nie dochodziło.

Dorota Łosiewicz

Kara za Pismo Święte

Finlandia

Kara grzywny za opublikowanie w mediach społecznościowych fragmentów Pisma Świętego? Takie rzeczy są możliwe w Finlandii, gdzie tydzień temu ruszył proces byłej minister spraw wewnętrznych Päivi Räsänen, która jest oskarżona o nawoływanie do nienawiści wobec mniejszości seksualnych.

Räsänen przyszła do sądu z egzemplarzem Pisma Świętego i powiedziała, że jest niewinna. Deputowana do fińskiej Eduskunty i wieloletnia liderka Chrześcijańskich Demokratów miała się dopuścić szerzenia mowy nienawiści w 2019 r., publikując na Twitterze fragmenty Pisma Świętego mówiącego o małżeństwie jako związku wyłącznie kobiety i mężczyzny. Powtórzyła to też w audycji radiowej. Jej głównym przewinieniem jest napisanie, że „homoseksualizm jest wstydem i grzechem". I załączenie do tego komentarza fragmentu Nowego Testamentu (List do Rzymian 1:24-27). Wpis pojawił się po tym, jak Ewangelicko-Luterański Kościół Finlandii udzielił swojego patronatu paradzie równości. Pani Räsänen wyciągnięto również – w charakterze zarzutu – napisaną przez nią w 2004 r. broszurę, w której stwierdziła, że związki homoseksualne stanowią wyzwanie dla chrześcijańskiej koncepcji człowieczeństwa.

Fińskie media nazywają proces historycznym. Na sali sądowej ważone przeciwko sobie będą wolność religii, wolność słowa i zakaz szerzenia tzw. mowy nienawiści. „Räsänen nie stoi przed inkwizycją. W jej sprawie nie chodzi o interpretację Biblii, lecz o to, czy jej publiczne oświadczenia naruszają podstawowe prawa innych" – stwierdziła prokurator krajowa Anu Mantila, dodając, że „wszystkie założenia o nienormalności homoseksualizmu przeszły już do historii". Prokurator powołała się przy tym na opinie Fińskiego Instytutu Zdrowia (THL), który już dawno usunął homoseksualizm z listy zaburzeń. W tym kontekście dodatkowego smaczku sprawie nadaje to, że sądzona za cytowanie Biblii polityk jest z wykształcenia lekarzem. Räsänen pracowała jako lekarz w szpitalu w Riihimäki, prowadziła prywatną praktykę lekarską, a w latach 1992–1995 była lekarzem medycyny pracy dla pracowników administracji rządowej.

Była minister broni się, że nie miała zamiaru nikogo poniżać i sama brała udział w pracach nad przepisami o mowie nienawiści. „Będę bronić swojego prawa do wyznawania wiary, aby nikt inny nie został pozbawiony prawa do wolności religii i wolności słowa. Stoję na stanowisku, że moje wypowiedzi są legalne i nie powinny być cenzurowane. Nie wycofam się z moich poglądów. Nie dam się zastraszyć, by ukryć swoją wiarę. Im więcej chrześcijan milczy na kontrowersyjne tematy, tym bardziej zawęża się przestrzeń dla wolności słowa" – napisała w oświadczeniu.

Łukasz Adamski

Fot. Piotr Opoka/Shutterstock.com

Tajwan

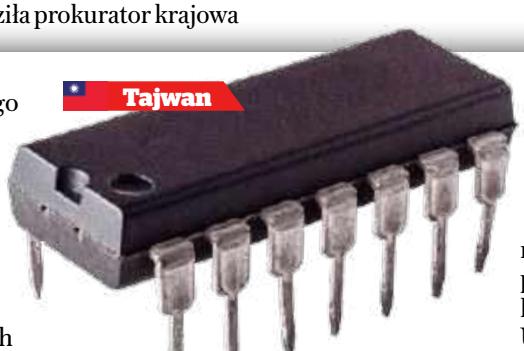

Tarcza krzemowa

W 2021 r. wartość światowego rynku cennych komponentów elektronicznych wzrosła do niemal 80 mld euro. Aż 64 proc. tego rynku przypada na elementy wytwarzane na Tajwanie. Jeśli weźmiemy natomiast pod uwagę zaawansowane technologicznie mikroczipy, to aż 92 proc. z nich produkowanych jest właśnie na tej wyspie. Prawdziwym gigantem we wspomnianej branży pozostaje firma Taiwan Semiconductor Manufacturing Company (TSMC), która wypuszcza na rynek 90 proc. używanych dziś na świecie półprzewodników poniżej 10 nanometrów. Kompania rozpoczęła już nawet pilotażową produkcję 3-nanometrowych mikroczipów.

W tej kategorii Tajwańczycy są dziś bezkonkurencyjni na całym globie, a ich produkty okazują się niezbędne jako komponenty w pracach nad sztuczną inteligencją. Od ich mikroczipów uzależnione są zarówno Chiny, jak i Stany Zjednoczone, przemysł zarówno zbrojeniowy, jak i cywilny w obu krajach. W 2021 r. eksport z Tajwanu do ChRL wyniósł 110 mld euro (aż 23 proc. więcej niż rok wcześniej), z czego połowę stanowiły mikroczipy. Pekin najchętniej uniezależniłby się od tych dostaw, ale przepaść technologiczna jest zbyt duża. Chiński przemysł elektroniczny jest w tej dziedzinie opóźniony w stosunku do tajwańskiego o niemal dekadę.

Zależność amerykańskiego i chińskiego kompleksu wojskowo-przemysłowego od Tajpej traktowana jest przez tamtejsze władze jako swoista polisa ubezpieczeniowa. Z jednej strony USA będą bronić Tajwanu jako niezbędnego zaplecza technologicznego, z drugiej zaś Pekin nie będzie ryzykował inwazji na wyspę, ponieważ może to pociągnąć za sobą zniszczenie fabryk TSMC, a tym samym stać się ciosem dla chińskiej gospodarki. Tak uważa wielu przedstawicieli tajwańskich elit, którzy wprowadzili do obiegu publicznego nazwę „krzemowa tarcza". Tym terminem określają oni rodzimy przemysł mikroczipowy, który ma powstrzymać chiński atak, a zarazem dać gwarancje amerykańskiego wsparcia. Czas pokaże, czy ta kalkulacja okaże się trafna.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 062fd4e8ab

Fot. Shutterstock

Sri Lanka

Pożyczka czy lichwa?

W pobliżu stolicy Sri Lanki wyrasta z morza nowe miasto. Port City, bo taką nazwę będzie nosić metropolia, ma się stać w przyszłości jedną z azjatyckich stolic biznesu, konkurującą bezpośrednio z Dubajem i Singapurem. Nowoczesne miasto powstaje na osuszonym fragmencie oceanu, a jego budowa – według szacunków – potrwa 25 lat.

Zamysły twórców są bardzo ambitne. W luksusowych apartamentowcach będzie mieszkać 80 tys. ludzi, a w Port City swoje lokalne siedziby znajdą światowe banki i instytucje finansowe. Miasto ma stanowić specjalną strefę ekonomiczną, w której wszystkie transakcje i wypłaty wynagrodzeń będą dokonywane w dolarach. Inwestorzy, którzy zdecydują się ulokować tu swoje interesy, mogą liczyć na 40-letnie wakacje podatkowe.

Metropolia wpisuje się w nową politykę rządu Sri Lanki, który od blisko dziesięciu lat dąży do przekształcenia kiedyś biednego i targanego wojną domową kraju w dobrze prosperujący raj finansowy i turystyczny. To spotyka się z przychylnością Chin, dla których Sri Lanka jest strategicznie ważnym punktem na Oceanie Indyjskim, z którego można nie tylko kontrolować ocean, ale również szachować od południa głównego rywala, jakim są Indie. Dlatego władze w Pekinie bardzo chętnie włączyły się w finansowanie Port City, którego projekt przedstawiono publicznie w 2014 r. podczas wizyty Xi Jinpinga w Colombo, zaraz po tym jak chiński przywódca ogłosił swoją Inicjatywę Pasa i Szlaku – ambitny plan budowy połączeń drogowych, kolejowych i morskich w Azji i Europie w celu pobudzenia handlu.

Sri Lanka zwróciła się do Chin o pomoc finansową po długiej wojnie z tamilskimi separatystami, która zakończyła się w 2009 r. Chiny udzieliły władzom Sri Lanki szczodrej pomocy, ale w zamian zażądały kontroli nad portem w Hambantota na południowym krańcu wyspy. Istnieje więc obawa, że nowoczesne Port City czeka taki sam los. Sri Lanki nie stać na budowę miasta, dlatego to zadanie powierzono inwestorom z Chin, którzy – owszem – postawią nową metropolię, ale w zamian za 99-letnią dzierżawę blisko połowy jej obszaru. Krytycy twierdzą więc, że Sri Lanka niewiele na tym zyska, bo wszystko co wartościowe przejmą Chińczycy.

Przykładem są inne inwestycje chińskie, np. budowa linii kolejowej z Laosu do Chin, za którą rząd laotański musiał zapłacić Pekinowi swoją infrastrukturą energetyczną. Podobnie jest w Wenezueli, która za chińską pomoc płaci zyskami ze sprzedaży ropy naftowej, oraz w Afryce. Według amerykańskich wyliczeń w ciągu ostatnich 18 lat Chiny udzieliły różnym krajom pożyczek wartości 843 mld dol. W wielu przypadkach skończyło się to ich uzależnieniem od Chin. Nie inaczej może być na Sri Lance.

Konrad Kołodziejski

Burkina Faso

Pucz ze strachu

Podczas zamachu stanu, który rozpoczął się 22 stycznia w Burkina Faso, pozbawionym dostępu do morza kraju w Afryce Zachodniej, a zakończył dwa dni później, armia odsunęła od władzy demokratycznie wybranego na drugą kadencję prezydenta Rocha Marca Kaborégo.

Zachodnich polityków mocno zaniepokoiło to, że to już czwarty zamach stanu w regionie w ciągu zaledwie 18 miesięcy. Obawy wywołują również przyczyny puczu. Niepokoje w stołecznym garnizonie Wagadugu i w miastach prowincjonalnych wybuchły wskutek doniesień o porażkach sił rządowych w walce z napierającymi dżihadystami. W Afryce Zachodniej mamy bowiem do czynienia z najszybciej rozwijającą się radykalną irredentą islamistyczną, która coraz poważniej zagraża stabilności miejscowych rządów. W przypadku Burkina Faso, kraju zamieszkałego przez 22 mln mieszkańców i będącego jednym z największych światowych producentów złota (choć dochody z wydobycia kruszcu nie przekładają się na zamożność obywateli), islamiści zdołali już skutecznie zdestabilizować sytuację. Od roku 2016 w zamachach terrorystycznych zginęło tu ponad 2 tys. osób, w tym wielu żołnierzy i policjantów, a 1,4 mln mieszkańców musiało uciekać z zagrożonych terenów. Prezydent Kaboré był oskarżany o nieudolność w walce z islamistami oraz niedofinansowanie sił rządowych, które poniosły w ostatnim czasie kilka prestiżowych porażek. Miesiąc przed zamachem zmienił więc dowództwo armii i służb specjalnych, ale to wzbudziło jeszcze większy opór. Przedstawiciele opozycji oskarżyli prezydenta, że bardziej niż walką z dżihadystami zajmuje się zwalczaniem swoich rywali.

Zamach stanu w Burkina Faso może być groźny jeszcze z innego powodu. Jeśli junta wojskowa nie otrzyma wsparcia od tradycyjnych sojuszników, w tym wypadku Francji, to wzorem sąsiedniego Mali, gdzie niedawno również doszło do puczu, może się zwrócić o pomoc do Rosji. Obserwatorzy już zauważyli, że niektórzy demonstranci w stolicy kraju Wagadugu, którzy wylegli na ulice po zamachu, trzymali w rękach rosyjskie flagi, wołając „Niech żyje Rosja!". Te spekulacje są wzmacniane doniesieniami zachodnich mediów, że ppłk Paul-Henri Damiba, który stanął na czele junty, miał wcześniej namawiać obalonego prezydenta Kaborégo, aby ten ściągnął najemników z rosyjskiej Grupy Wagnera, a odmowa miała być jednym z powodów zamachu stanu.

Los obalonego prezydenta Kaborégo jest nieznany. Rzecznik junty poinformował o jego zatrzymaniu, jednak na nagraniach dostępnych w sieci widać prezydencki samochód podziurawiony kulami i zabrudzony krwią.

Marek Budzisz

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 062fd4e8ab

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Odeszła Barbara Krafftówna

Jan Pietrzak

Zapewniam państwa, że osobiście nie miałaby nic przeciwko temu, aby żegnając ją przed nieznaną drogą „stąd do wieczności", zaśpiewać ironiczny refrenik: „A poza tym nic na działkach się nie dzieje". To jedna z pierwszych piosenek śpiewanych przez „koleżankę Kraft" w kabarecie Pod Egidą. Słowa napisał Maciej Szwed, muzykę Andrzej Bieniek. W zwrotkach opisane były liczne nieszczęścia dziejące się wokół, ale refren uspokajał, że nic się nie dzieje. Kiedy w 1967 r. powstawał nasz kabaret, Krafftówna była już popularną i cenioną aktorką. My, pionierzy Egidy, byliśmy spłoszonymi młodzikami, bo właśnie wyrzucono nas ze studenckiego klubu Hybrydy za ustawiczne konflikty z cenzurą i demoralizację socjalistycznej młodzieży. Postanowiliśmy się nie poddawać i dalej grać. Potrzebne nam było wsparcie doświadczonych aktorów.

Basi szczególnie odpowiadał bliski kontakt z publicznością. Powiedzmy szczerze, bliskość była wymuszona. Sto osób upchniętych jak sardynki w puszce reaguje inaczej niż w rozległej sali teatralnej. Kiedy śpiewała piosenkę Agnieszki Osieckiej i Krzysztofa Paszka „Sztuczny miód", publiczność wstrzymywała oddech z wrażenia i zastygała w napięciu. „Słowa jak sztuczny miód, erzac cholera, nie życie! Miał być raj, miał być cud i ćwiartka na popicie! A to wszystko nie tak, nie tak! Wygadujcie panowie androny, tylko błagam, nie mówcie do nas jak do żony!". Zdarzyło się w 1974 r., że jurorzy festiwalu opolskiego umieścili piosenkę w koncercie finałowym, transmitowanym w telewizji. Musieli jednak uzyskać zgodę kogoś z centrali. Basia siedziała kilka godzin w garderobie, lecz na zgodę się nie doczekała. To było dla niej bardzo upokarzające wspomnienie.

Należy przywołać także piosenkę Jonasza Kofty i Juliusza Loranca „Gdzie ta bohema? Szaleństwa nocy, rozpacze dnia. Płomień geniuszu, wieczności trema i epater les bourgeois? Gdzie ta bohema? Najwyższe nieba, najniższe dna. Serca niesione dłońmi obiema. O swoją prawdę stawka va banque?".

Cóż można dziś dopowiedzieć? Marzenia o bohemie rozpłynęły się w zamęcie historycznych wydarzeń. Sztuka z kulturą zostały zepchnięte na boczny tor. Ton nadaje podrabiana elita i agresywny chamlajf. Kabaret Pod Egidą nieustannie zakazywany i ograniczany nie doczekał się nawet kąta w Warszawie. Ostatni raz spotkaliśmy się wszyscy na scenie kilkanaście lat temu. A teraz nie ma już z nami wspaniałej Basi, wielkiej artystki. Niech światłość wiekuista świeci jej jak reflektory wszystkich scen, na których była gwiazdą.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Biegnący dzik

Dominik Zdort

Rozpętała się burza w szklance wody, kiedy Allegro na żądanie Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy usunęło wystawioną na licytację charytatywną ofertę polowania z jednym z kółłowieckich. Piszę, „w szklance wody", bo uważam, że nic strasznego się nie stało, ale cóż, wszystko, co dotyczy WOŚP, budzi kontrowersje. Czasem mam wrażenie, że jej twórcy wręcz szukają pretekstu, aby wywołać wokół siebie szum, a jej krytycy bardzo łatwo dają się podpuścić.

W tym przypadku jednak szumu być nie powinno, bo cóż się stało? Organizatorami imprezy są prywatne firmy, które – jak się zdaje – czerpią z niej przyzwoite dochody i mogą ze swoją działalnością robić, co chcą. Jeśli im się jakaś licytacja nie podoba, jeśli uważają, że psuje ona im wizerunek, to mogą, a nawet powinny ją usunąć.

Co więcej, zachęcałbym do konsekwencji. Bo oprócz polowań na rzecz WOŚP można wylicytować np. galowy mundur myśliwski.

A jest jeszcze gorzej, bo w ofercie znajduje się także spacer po zwierzyńcu i piknik w towarzystwie czterech rasowych hodowlanych psów. Czy państwo sobie wyobrażają? Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy niby krytykuje strzelanie do zwierząt, ale popiera zorganizowane niewolnictwo tych stworzeń! Popiera istnienie zagród, w których więzi się Bogu ducha winne istoty! Mało tego – na kilku licytacjach można wygrać szkolenie jeździeckie, które przecież nie jest niczym innym niż nieludzkim wyzyskiem konia przez człowieka.

Ale to nie koniec problemów z aukcjami na rzecz WOŚP. Otóż jest wiele licytacji, których efektem będzie pozostawienie potężnego śladu węglowego. Co by powiedziała na ten temat Greta Thunberg, gdyby się dowiedziała, że na aukcji można wygrać przejażdżkę samochodem z 2,5-litrowym silnikiem benzynowym, wyprawy sześcioma autami terenowymi po bezdrożach (tu dochodzi jeszcze dewastacja środowiska) i parę rejsów luksusowymi jachtami motorowymi.

Gdyby WOŚP chciała być wiarygodna w swej ideologicznej czystości, wszystkie wspomniane aukcje powinny być zlikwidowane. A przede wszystkim odwołać należałoby licytacje treningów strzeleckich. To największa chyba hipokryzja w kontekście deklarowanej przez organizatorów niechęci do polowań.

No ale podczas owych treningów zazwyczaj nie strzela się do wizerunku biegnącego dzika, lecz do zupełnie innych sylwetek. Co najwyraźniej właścicielom charytatywnej imprezy nie przeszkadza.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 062fd4e8ab

BRONISŁAW WILDSTEIN

Teatrowi biada

Zasłużonego dyrektora Teatru Dramatycznego, dramaturga Tadeusza Słobodzianka, po dziesięciu latach sprawowania tej funkcji zastąpiła reżyser Monika Strzępka. Oficjalnie sprawę rozstrzygnął konkurs, a więc wypracowania, które oceniała komisja. Kolejny raz pokazuje to absurd jakoby obiektywnych konkursów, które mają decydować o nominacjach na wysokie stanowiska. Ale skoro to „Koncepcja programowa" dała zwycięstwo nowej dyrektor, warto po nią sięgnąć. Zwłaszcza że dotychczasowy szef przedstawiał po prostu ciekawy program teatru.

„Jesteśmy dziś w miejscu, z którego widać koniec świata. Wyraźniej niż kiedykolwiek" – wieści Strzępka. Zgodziłbym się, że widać koniec naszej cywilizacji, a z pewnością koniec teatru, bo to można wyczytać z manifestu nowej dyrektor, ale nie uprzedzajmy faktów. Z „Koncepcji" wynika, że Strzępka (no, z pomocą przyjaciół) jest w stanie końcowi świata zapobiec. Bo „publiczne instytucje kultury są wehikułami wyprawy do ucieleśnionych utopii". Alternatywa: albo zagłada, albo ucieleśniona utopia, nie brzmi zachęcająco, zwłaszcza że utopijne projekty zawsze okazywały się, gdyż musiały się okazać, katastrofą.

„Teatr Dramatyczny [...] wzmocni energię społecznej zmiany, którą tworzą protesty kobiet, ruchy klimatyczne, ludzie walczący o prawa mniejszości, prawa człowieka i demokrację [...] będzie centrum, w którym instalacje, performanse, warsztaty, stand up, dyskusje będą tworzyć tętniącą sieć. Zaproponuję transformację instytucjonalną i zmianę modelu pracy artystycznej, które odpowiedzą na kryzys, w jakim się znalazł polski teatr". Wynika z tego, że odpowiedzią na kryzys teatru jest jego likwidacja, bo to, co Strzępka proponuje, z teatrem, jaki znamy, ma niewiele wspólnego. Nie można odmówić logiki temu rozumowaniu.

Potem jest jeszcze o „bezpiecznym miejscu pracy", co biorąc pod uwagę rolę sztuki, brzmi zadziwiająco. A to dopiero wstęp.

„Czas na przepracowanie wielu traum społecznych i środowiskowych. Na zaopiekowanie się wyczerpanym i poranionym ciałem wspólnoty. Potrzebującym terapii i obecności – zbiorowego procesu ozdrowienia. Czas na włączenie pomijanych przez lata narracji, krytyczne rozprawienie się z przeszłością i troskę o przyszłość. Czas na zbiorowy lament, uzdrawiający karnawał i kojący odpoczynek. Czas na wsłuchanie się w głosy młodych, te podniesione i te stłumione lękiem. Czas na teatr ufundowany na kobiecej podmiotowości – reprezentowanej przez różne płci, klasy i etniczności [...] zamierzam zaprosić do współpracy twórczynie i twórców poruszających tematy z perspektywy rewolucji ludowej szczególnie ważne: klasowości, ekologii, feminizmu, pochodzenia".

Wynika z tego, że Dramatyczny ma być równocześnie wehikułem „rewolucji ludowej" i kliniką terapeutyczną, co wydawałoby się trudne do pogodzenia, ale skoro kobiecość ma być reprezentowana przez różne płcie tudzież klasy i etnosy, to przestajemy się czemukolwiek dziwić.

Strzępka chwali się, że jej spektakl (z Demirskim) miał uruchomić lawinę tzw. historii ludowej. Nie jest to komplement dla autorów, których „historyczna" twórczość okazuje się powodowana teatralną modą, ale nie tym ideologicznym wykwitem pseudonauki się teraz zajmujemy. „Czas na przepracowanie kolektywnej traumy związanej z pańszczyzną" – pisze Strzępka. W moim długim życiu (a dodatkowo mieszkam wiele lat na wsi) nie udało mi się trafić na traumę pańszczyzny. Trudno się dziwić, biorąc pod uwagę, że zlikwidowana została ponad półtora wieku temu. Ale widocznie Strzępka usiłuje wydobyć ją i wyegzorcyzmować z głębokich pokładów podświadomości klasowej. W ten sposób chce się opiekować „poranionym ciałem wspólnoty".

Z bardzo typową dziś manierą Strzępka jako buntowniczą nowość prezentuje stereotypy dominującej antykultury. A może zamiast uporczywie oddawać głos młodym, nie pytając, czy mają cokolwiek do powiedzenia, warto zadbać o ich wiedzę? Naprawdę chodzi jednak o coś przeciwnego. Hunwejbini wiedzieli tyle, ile nauczyli się z czerwonej książeczki, którą nie młodzieniaszek dla nich spreparował. To mieli wprowadzać w życie i taka rola jest dla nich nadal przewidziana. Doskonale sprawdzają się jako nieświadomi rzecznicy establishmentu np. osadzonego w warszawskim ratuszu. To jego przedstawiciele w imię troski o wspólnotę będą rozbijali ją na coraz to nowe mniejszości, o których interes, a w rzeczywistości o swój, pod hasłem praw człowieka gorliwie będą zabiegali. Dadzą lamentować młodym, skłonnym do tego, zwłaszcza jeśli straszy się ich końcem świata, a jednocześnie otworzą dla nich plac zabaw zwany karnawałem, na którym można się zabawić na śmierć. Ważne, żeby nie było czasu na myślenie. Dla establishmentu teatr może być niebezpieczny. Zdecydowanie lepsza jest terapeutyczna kozetka. Zwłaszcza że to jego przedstawiciele pełnić będą przy niej funkcję opiekunów ubezwłasnowolnionych pacjentów.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 062fd4e8ab

Walizka Rafała Porzezińskiego

dziennikarza i trenera terapii uzależnień

Podróżuję często, choć znacznie rzadziej, niż bym chciał. Zwykle wiąże się to z moją pracą, w której opowiadam o ścieżkach ocalenia albo szukam ocalałych z różnych zniewoleń, niemocy, uzależnień. Przynajmniej 70 proc. mojego podróżowania związane jest z mówieniem, że istnieje życie po życiu tu, na Ziemi, że nie jesteśmy dożywotnio skazani na nałóg, na upokorzenia, na kaca. Paliwem w moich podróżach jest Program 12 Kroków, wymyślony przez Billa W. i dr. Boba, by ratować alkoholików. Stał się on uniwersalną drogą zwycięzców. Ten program ocalił miliony ludzi, w tym mnie, ale wymusza na beneficjentach podawanie go dalej. Inne podróże, które szczególnie kocham, to wyjazdy rodzinne. Przeważnie udajemy się na naszą Suwalszczyznę, najpiękniejsze miejsce świata, ale czasami szukamy też jakiejś egzotyki. Staram się córkom, póki chcą ze mną podróżować, pokazywać miejsca ważne dla mnie i dla Polski.

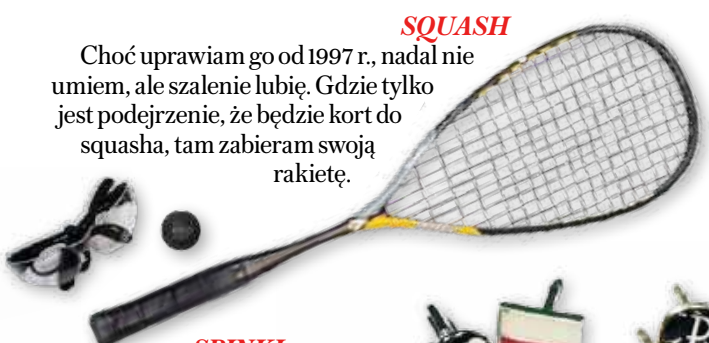

SQUASH
Choć uprawiam go od 1997 r., nadal nie umiem, ale szalenie lubię. Gdzie tylko jest podejrzenie, że będzie kort do squasha, tam zabieram swoją rakietę.

SPINKI
Moja ulubiona biżuteria. Dla mnie facet w koszuli z guzikami wygląda, jakby był w T-shircie.

POSZETKA/ KAMIZELKA
Element garderoby na równi z kamizelką, z której nie jestem w stanie zrezygnować. Nawet na nieoficjalnych spotkaniach lubię mieć kamizelkę, a w kieszonce poszetkę.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 062fd4e8ab

„IRENKA Z AKRON”

To lektura dla tych, którzy kochali za bardzo, którzy pomylili miłość z naiwnością. Daje doskonałe odpowiedzi na pytanie, jak żyć z osobą uzależnioną i jak żyć po prostu. Irenkę poznałem podczas mojej podróży do Akron, do korzeni wspólnoty AA i kolebki Programu 12 Kroków. Wspaniała, barwna, otwarta, szalona, energiczna, mądra, kochana. Książka jest na stronie rajmedia.pl.

OKULARKI

Wszędzie, gdzie jestem, szukam wody, dlatego w walizce kąpielówki i okularki do nurkowania mają swoje miejsce. Temperatura nie ma znaczenia, czego dowodem był mój skok do wody na środku Bałtyku podczas rejsu na początku czerwca. Przeżyłem szok termiczny i mało brakowało...

BIBLIA

Mniej więcej 20 lat temu zorientowałem się, że jest to książka o mnie. Zawsze byłem pyszny, więc się ucieszyłem, że coś tak potężnego opisuje moją historię. Dziś traktuję Biblię jako list miłosny od Pana Boga na każdy dzień. Mam zawsze, gdy nie czytam, znaczy, że kryzysuję.

SZACHY

Kupione w Meksyku. Podobnie jak ze squashem – uwielbiam, choć nie umiem. Ale za każdym razem, gdy ktoś chce zagrać, gram. Często moje szachy spełniają funkcję warcabów, w które z kolei dzięki stałym lekcjom u mego ojca Lucjana jestem w stanie walczyć z najlepszymi.

RÓŻANIEC

Różaniec to była modlitwa, która uratowała mi życie. Nie mogę powiedzieć, że nałogowo go odmawiam, ale nie zapominam o nim.

DYKTAFON

W podróżach nie ma nic ciekawszego niż człowiek, a ponieważ te spotkania są ulotne, nie mogę sobie odmówić nagrywania rozmów z osobami, które spotykam. Z niektórych rozmów potem powstają publikacje, tak jak po siedmiogodzinnej rozmowie z Ireną.

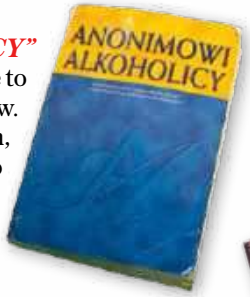

„ANONIMOWI ALKOHOLICY”

Napisana w 1935 r. Według mnie to najważniejsza książka wydana w XX w. Jest to doskonała pozycja dla tych, którzy są martwi, a chcą na nowo żyć. Uratowała życie milionom ludzi i jeszcze milionom uratuje.

CÓRKI

Marysia, Tosia i Hela to trzy dziewczyny, które w każdą podróż zabieram w sercu. Podczas dłuższych wyjazdów puszczam sobie audiobook „Bóg, królewna i księżniczki”, w którym są ich głosy. Słuchowisko zostało pięknie nagrane w Teatrze Polskiego Radia wg powieści ks. Marka Dziewieckiego. Polecam tym, którzy nie wiedzą, co znaczy kochać.

PROGRAM „OCALENI”

Wszędzie, gdzie jadę z ocalonymi i do ocalanych – czy to Chicago, czy Kórnik – widzę, że program robi świetną robotę, że jesteśmy potrzebni i obdarowani wielkim zaufaniem ludzi. Tu chciałbym podziękować za dziesiątki świadectw, że ktoś zaczął nowe życie po obejrzeniu naszego programu w TVP. I dlatego tam, gdzie jestem, staram się dać pamiątkowy znaczek „Ocalonych”, który dla wielu jest cenny jak medal mistrzostw świata.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl 062fd4e8ab

OGNIEM NA WPROST

Wojna psychologiczna

Prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak ogłosił w październiku ub.r. przyjęcie Europejskiej karty równości kobiet i mężczyzn w życiu lokalnym (EKR). Dokument zawiera liczne ideologiczne postulaty, które normalnego człowieka wprawiają w osłupienie. Mają one doprowadzić do „eliminacji stereotypów opartych na płci". Pojęcie stereotypów pojawia się w dokumencie aż 18 razy. Ale to niewiele daje, ponieważ ilość nie przekłada się na jakość. Pojęcie „stereotyp oparty na płci" nie zostało ani razu zdefiniowane. Z drugiej strony, jak to definiować i zdali sobie z tego sprawę twórcy chorego projektu, unikając konkretów. Jedno jest pewne. W swoich „fundamentalnych zasadach" EKR wprost nawiązuje do teorii gender, zgodnie z którą kobiecość i męskość są postrzegane w oderwaniu od rzeczywistości biologicznej, jako konstrukty społeczne. Zauważyli to w urzędzie wojewódzkim i uchwałę o przyjęciu Karty przez Radę Miasta Poznania uznano za nieważną. Ponieważ ideologiczna zawziętość genderystów nie zna granic, poszli z tym do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego. WSA oddalił pozew, wskazując, że wojewoda słusznie stwierdził, że przepisy, na które powołali się radni, nie mogą być podstawą przyjęcia Karty. Prezydent Jaśkowiak mimo to podpisał Kartę, obwieszczając jej skuteczne przyjęcie. To, że jego działania są bezskuteczne, bo nie mogą spowodować żadnych skutków prawnych, to już inna historia. Taka to praworządność w poznańskim samorządzie. Ale przykład płynie z góry od samej Unii Europejskiej.

26 stycznia przeżyliśmy kolejny raz Dzień Islamu w Kościele katolickim w Polsce. Według organizatorów tego przedsięwzięcia Dzień Islamu stanowi w pewien sposób rozszerzenie Dnia Judaizmu i ma być formą ukazania tego, czym jest właściwie rozumiany dialog międzyreligijny. Pojawia się pytanie, czy w takim razie wszystkie religie są równe i czy Bóg uznaje to za właściwe? Zdaniem wielu katolików Dzień Islamu jest inicjatywą szkodliwą. Jest formą krzewienia relatywizmu i indyferentyzmu religijnego. Według Pawła Lisickiego: „To nic innego, jak mówienie ludziom, w tym przypadku katolikom, że tak naprawdę nieważne jest, w jakiego Boga się wierzy. Nieważne, jaka jest nasza wiara. To, czy Bóg jest Trójcą, czy nie jest Trójcą, czy Chrystus jest Synem Bożym, czy nie, to wszystko jest obojętne. Tak naprawdę ważne, żeby wierzyć w jakiegoś bliżej nieokreślonego Boga, czynić bliżej nieokreślone dobro, a wszyscy jakoś zostaną zbawieni". Taka forma katolickiej poprawności politycznej. Tylko to nie na niej powinna się opierać wiara. Hierarchowie: „Mówcie tak, tak! Nie, nie!", a nie kombinujcie, bo tylko w głowach mącicie, a takie mącenie kończy się utratą wiernych w Kościele.

Jak wiadomo, Ruski czai się do skoku na Ukrainę również z terenów Białorusi. Stamtąd bowiem jest stosunkowo blisko do Kijowa i omija się w ten sposób od zachodu tzw. Zbiornik Kijowski – potężne sztuczne jezioro o powierzchni 922 km? Jest tylko jedno „ale", o którym dobrze, żeby pamiętał Łukaszenka. Jak stwierdził Ned Price, rzecznik Departamentu Stanu USA: „Także Białoruś zapłaci wysoką cenę, jeśli pozwoli na inwazję Ukrainy ze swego terytorium". Dodał również, że jeśli wojska Rosji pozostaną na stałe na Białorusi, NATO może dokonać rewizji dyslokacji swoich sił w tym regionie. Ponieważ Łukaszenka jest przykładem satrapy, który w nosie ma rozwój rządzonego przez siebie państwa, nie wspominając o dobru obywateli, prawdopodobnie na życzenie Kremla dopuści do takiej sytuacji. Zresztą już siły Rosji ćwiczą na terenach Białorusi. Właśnie dotarły tam wojska powietrznodesantowe, które rozpoczną wielkie manewry 7 lutego. A durny jak but Łukaszenka zgodzi się na wszystko, czego zażąda od niego Kreml i pozwoli na gospodarczy upadek swojego kraju.

A Ruski straszy nawet dzieci w Szwecji. Robi to za pomocą TikToka. Przekaz mniej więcej brzmi tak: „Rosyjskie wojska zniszczą Szwecję i dokonają inwazji". Gorąca linia dla nieletnich przeżywa oblężenie. Filmiki, jak podaje portal Defence24, mają konkretny przekaz: rosyjskie wojska zniszczą ich kraj. Platforma stała się doskonałym narzędziem w rękach tych, którym zależy na destabilizacji. „Tak! Moje dziecko panikuje" – mówi jedna z użytkowniczek. Inna z kolei: „Moja 11-letnia córka była wczoraj bardzo przestraszona i zapytała, czy niedługo wybuchnie wojna". Marie Angsell z BRIS (szwedzka organizacja zajmująca się prawami dzieci) stwierdza, że „przytłoczenie" materiałami o nadchodzącej wojnie wpływa na psychikę i emocje młodych Szwedów. Jak widać, Kreml nie ma żadnych skrupułów w prowadzeniu wojny psychologicznej, a dobro dzieci jest jednym z ostatnich tematów, którymi by się przejmował. Sytuacja staje się coraz poważniejsza.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 062fd4e8ab

Cywilizowanie schronisk dla zwierząt

Marta Kaczyńska-Zielińska

Według danych Inspekcji Weterynaryjnej w 2020 r. w Polsce istniało 230 schronisk dla zwierząt, w których przebywało przeszło 92 tys. psów i 32 tys. kotów. Od wielu lat do opinii publicznej docierają informacje o złych warunkach, w których przebywają bezdomne czworonogi. Kontrole wykazywały nieprawidłowości w funkcjonowaniu wielu schronisk, a zbyt mało skonkretyzowane przepisy pozwalały na nierzadko zbyt dowolną i szkodliwą interpretację obowiązującego prawa z punktu widzenia warunków bytowania zwierząt.

W styczniu br. po konsultacjach z organizacjami społecznymi i specjalistami w dziedzinie weterynarii i zootechniki, a także w wyniku ponadpartyjnej współpracy z parlamentarnym zespołem przyjaciół zwierząt wicepremier, minister rolnictwa i rozwoju wsi Henryk Kowalczyk podpisał rozporządzenie w sprawie szczegółowych wymagań weterynaryjnych dla prowadzenia schronisk dla zwierząt.

Wszystkie funkcjonujące w Polsce schroniska dla zwierząt, te prowadzone zarówno przez samorządy, jak i fundacje, będą się musiały w ciągu roku dostosować do nowych wymogów. Według nowych przepisów minimalna odległość schroniska od budynków mieszkalnych i obiektów użyteczności publicznej wyniesie 150 m, licząc najkrótszy odcinek od obiektów budowlanych schroniska do miejsc, o których mowa. Nowy wymóg nie będzie dotyczyć schronisk utrzymujących do 15 zwierząt. Wprowadzono minimalne powierzchnie kojców dla psów i pomieszczeń dla kotów, a także obowiązek zapewnienia w schronisku wybiegu dla psów o powierzchni nie mniejszej niż 100 mkw., z dostępem do trawnika oraz przedmiotów absorbujących uwagę psów, pozwalający na ich socjalizację i realizację zachowań właściwych dla tego gatunku. Z ostatniego obowiązku zwolnione będą schroniska przeznaczone dla maksymalnie 35 psów. Minimalna temperatura w pomieszczeniach dla zwierząt chorych lub ze szczeniętami nie może być niższa niż 16 stopni Celsjusza. W każdym schronisku psy będą musiały mieć zapewnione wyjście na wybieg lub spacer nie rzadziej niż dwa razy w tygodniu. Zastrzeżenie posiadacza psów może budzić jedynie postrzeganie przez autorów przepisów wyjścia na wybieg tak samo, jak wyjścia na spacer. Wydaje się, że wychodzenie na wybieg minimum dwa razy w tygodniu nie może zaspokoić w pełni potrzeb społecznych czworonogów, ale należy interpretować wprowadzenie tej alternatywy jako wyraz zrozumienia dla trudności kadrowych, z którymi boryka się wiele wspomnianych placówek.

Wedle nowych przepisów opieka nad zwierzętami będzie musiała być sprawowana całodobowo przez osobę odpowiednio ku temu przeszkoloną. Każda placówka będzie musiała zatrudnić lub zawrzeć umowę o świadczenie usług z osobą o wykształceniu technik weterynarii lub z wykształceniem wyższym na kierunku weterynaria lub zootechnika i posiadającą co najmniej trzyletnie doświadczenie zawodowe w pracy ze zwierzętami. Przepisy rozporządzenia regulują zasady bioasekuracji w schroniskach, sposoby identyfikacji obejmujące obowiązek czipowania i wprowadzania danych zwierząt do specjalnych baz. Nowe regulacje doprecyzowują sposoby leczenia, profilaktykę i pielęgnację zwierząt przebywających w schroniskach.

Warto przypomnieć, że poprawa warunków egzystencji zwierząt w schroniskach była jednym z zasadniczych postulatów zawartych w projekcie ustawy o ochronie zwierząt przedstawionym przez prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego oraz szefa młodzieżówki PiS Michała Moskala, czyli tzw. piątki dla zwierząt. Wspomniane rozporządzenie jest kolejną inicjatywą rządu Zjednoczonej Prawicy powodowaną wrażliwością i troską o los naszych braci mniejszych. Kilka tygodni temu zaczęły obowiązywać przepisy ustawy, które po raz pierwszy w historii uregulowały i ujednoliciły status prawny psów i koni pozostających w dyspozycji służb podległych MSWiA poprzez nałożenie na państwo obowiązku dożywotniego utrzymania i zapewnienia opieki weterynaryjnej dla tych zwierząt. Według zapowiedzi wicepremiera Henryka Kowalczyka za kilka miesięcy powinna być gotowa ustawa o przeciwdziałaniu bezdomności zwierząt.

REKLAMA

2/0122/F

eprasa.pl 062fd4e8ab

Kto chce oślepić Polskę „politycznym humbugiem”

Samuel Pereira

Współczesna walka z przestępczością nie może się opierać na narzędziach z ubiegłego stulecia. Dziś większość z nas komunikuje się nie tylko za pośrednictwem połączeń głosowych i esemesów, ale w dużej mierze za pomocą licznych komunikatorów. Robią tak również osoby, które z powodu swoich działań potencjalnie kryminalnych są pod obserwacją organów śledczych. Nie żyjemy w czasach „The Wire”, dlatego odbieranie służbom nowoczesnych narzędzi oznaczałoby, że polskie państwo jest bezzębne i ślepe.

Możliwości kontroli operacyjnych służb w UE są różne. W Polsce konieczna jest do tego zgoda sądu. Dodatkowym zabezpieczeniem praw obywatelskich jest obowiązek niszczenia zdobytych informacji, które nie wnoszą nic do sprawy, oraz krótki czas zgody na kontrolę operacyjną. Co prawda może ona zostać wydłużona, ale tylko wtedy, gdy jest „wynikowa”, czyli przynosi wyniki. Oznacza to konieczność uzyskania kolejnej zgody sądu i uargumentowania jej na podstawie zgromadzonych materiałów i ich przydatności. Naiwnością byłoby sądzić, że ktoś, kto został w przeszłości poddany kontroli służb – po uzyskaniu takiej wiedzy wyjdzie do mediów i opowie ze szczegółami o swojej rzekomej przestępczej działalności. Dużo bardziej prawdopodobna jest taka sytuacja, że swoją aktywność – która była przedmiotem zainteresowania śledczych – będzie próbował przykryć polityką, przedstawiając ją jako element walki z władzą. Dlatego tak ważne jest, byśmy, oceniając skutek, nie dali się zwieść i nie mylili przyczyn.

Nie moją rolą jest wydawać wyroki o niewinności lub jej braku, ale jeśli mówimy o możliwym wykorzystaniu Pegasusa przez służby, nie wylewajmy dziecka z kąpielą, a narrację osób, które były poddane takiej kontroli, traktujmy z należnym jej dystansem, po prostu jako linię obrony zainteresowanych. A jaki jest cel powołania komisji śledczej rok przed wyborami? Cytując Bartłomieja Sienkiewicza i jego słowa z 2014 r., będzie to „partyjna komisja, która stanie się absolutnym humbugiem politycznym, zabawką i rodzajem instrumentu do rozniecania emocji społecznych”. A jako były szef służb chyba wie, co mówi.

Autor jest szefem portalu tvp.info

Dla sybiraków okrążyli Ziemię

Z dr. Piotrem Popławskim z Muzeum Pamięci Sybiru rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

12 lutego w Białymstoku odbędzie się Bieg Pamięci Sybiru. Jakie wydarzenie przypomni?

Piotr Popławski: Deportację z 10 lutego 1940 r., kiedy 140 tys. mieszkańców polskich ziem wschodnich zostało wywiezionych w głąb Związku Sowieckiego.

Tegoroczny bieg będzie miał wyjątkowy charakter. Z jakich powodów?

Poprzednie imprezy (dwie terenowe oraz ubiegłoroczna – z tytułu pandemii w wersji online) odbyły się jeszcze przed otwarciem Muzeum Pamięci Sybiru (to nastąpiło 17 września ub.r.). Obecna edycja ma podwójną formułę: terenową i online. Jest też tematycznie mocno powiązana z niedawno udostępnioną stałą wystawą Muzeum Pamięci Sybiru. Znalazły się na niej m.in. biogramy 20 sybiraków, w których intencji można pobiec (w kolejnych latach pojawią się następne nazwiska).

Wirtualny bieg potrwa od 12 do 28 lutego. Do kogo jest skierowany?

Do osób, które z różnych powodów nie są w stanie stawić się na starcie trasy w białostockim Lesie Solnickim. Mamy zgłoszenia z Australii, Kanady, USA..., z różnych zakątków, w których żyją potomkowie sybiraków. Po pobraniu aplikacji (www.biegpamiecisybiru.pl) muszą przejść lub przebiec minimum pięć kilometrów. Wszystkie potwierdzone dystanse zostaną zsumowane. Sprawdzimy, do którego z miejsc deportacji „dotarli” uczestnicy 4. Biegu Pamięci Sybiru. W ubiegłorocznej edycji pokonali odległość ponad 44 tys. km. Czyli okrążyli Ziemię.

eprasa.pl 062fd4e8ab

20 mln

tyle dolarów zapłacił rząd Australii za nabycie praw do flagi tamtejszych Aborygenów

5 tys.

tyle dolarów zaproponował Elon Musk nastolatkowi, by ten przestał śledzić trasę jego samolotów w internecie

7,65

tyle sekund (i setnych sekundy) zajmuje lekkoatlecie Jakubowi Szymańskiemu pokonanie 60 m w biegu przez płotki

Fot. kafirinkolik/Shutterstock.com, Andrzej Wiktor, Shutterstock

Ukraina walczy o zachodnie wartości i dlatego konieczne jest udzielenie Ukrainie wszelkiej możliwej pomocy politycznej, gospodarczej i wojskowej.

ze wspólnej konkluzji Polski i państw bałtyckich

Atak Rosji na Ukrainę byłby niemądrym posunięciem, a gdyby do tego doszło, to Turcja zrobi to co konieczne jako członek NATO

prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan

Jedynym gwarantem bezstronności tej komisji jestem ja. Chcę wyjaśnić problem, a nie babrać się w ich politycznych interesikach

Paweł Kukiz o ewentualnym powołaniu sejmowej komisji ds. Pegasusa

Zebrał Jakub Maciejewski

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa mediaIna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32 PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, MÓWI SERWIS DYSTRYBUCJA, SHUTTERSTOCK/PHOTOWALKING, FILMBILDFABRIK, MAXIM APRYATIN, CREATIVENEKO, FLAG 3D ART, GETGG, SUGABOM86, JOGENDRA KUMAR

nasz sondaż — pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

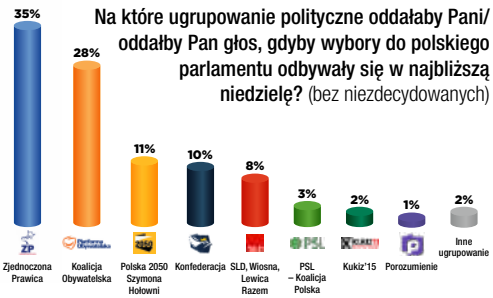

Jeżeli w najbliższych wyborach razem z jednej listy wystartowałyby Koalicja Obywatelska, Polska 2050, Lewica i PSL, na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

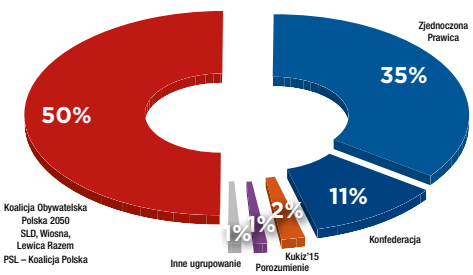

Czy popiera Pani/Pan pomysł wspólnego startu w wyborach parlamentarnych Koalicji Obywatelskiej, Polski 2050, Lewicy i PSL?

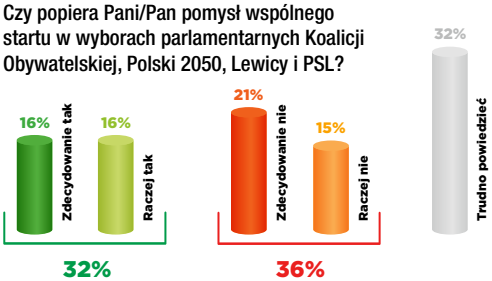

Czy służby specjalne oraz służby walczące z korupcją powinny mieć dostęp do nowoczesnych systemów informatycznych umożliwiających pozyskiwanie informacji z urządzeń elektronicznych, którymi posługują się osoby podejrzewane o popełnianie przestępstw, np. do odczytywania informacji z komunikatorów zainstalowanych na smartfonach?

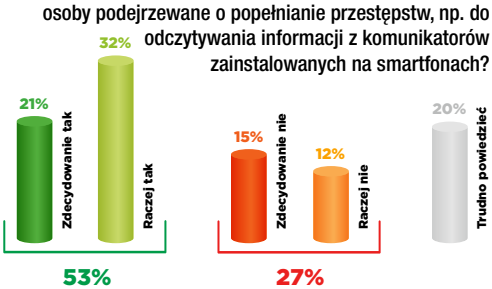

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1075.

Zakres czasowy badania 21–24 stycznia 2022 r.

eprasa.pl 062fd4e8ab

Niemcy krok po kroku demontują NATO

eprasa.pl 062fc4e8ab

Wysłanie przez Niemcy na Ukrainę, zagrożoną agresją ze strony Rosji, 5 tys. hełmów w ramach pomocy wojskowej można by skwitować słowem „żart", jak to zrobił mer Kijowa, gdyby nie to, że krok ten dojmująco obnaża politykę Berlina w obliczu poważnego kryzysu w Europie. „Dla Niemiec tani gaz z Rosji, eksport samochodów do Chin i uspokajanie Putina wydają się ważniejsze niż sojusznicza solidarność państw demokratycznych" – podsumował amerykański „The Wall Street Journal"

MAREK BUDZISZ

Artis Pabriks, łotewski minister obrony, w wywiadzie dla „Bilda" porównał politykę Niemiec w trakcie obecnego kryzysu wokół Ukrainy do zachowania człowieka, który nie reaguje, kiedy na ulicy biją słabszego. „Jeśli widzisz, że kogoś napadli i biją w ciemnej ulicy i mówisz: »Pomogę ci, dzwoniąc po karetkę po tym, jak zostaniesz pobity«, to nie wystarczy. Nawet jeśli zapłacisz za przyjazd karetki. Niemieccy politycy nie rozumieją już, co oznacza powstrzymywanie". W opinii łotewskiego ministra ostatnie decyzje rządu Niemiec, w tym zablokowanie przekazania przez Estonię Ukrainie starych haubic pochodzących jeszcze z arsenałów NRD, to tylko wierzchołek góry lodowej. W swych diagnozach Pabriks poszedł jeszcze dalej. Na uwagę dziennikarza, przeprowadzającego z nim wywiad, że podobnie jak w Niemczech myślą we Francji, Hiszpanii i Włoszech, a opinie Łotwy są w Unii Europejskiej w mniejszości, powiedział: „Mam nadzieję, że bardzo szybko będziemy w większości. W przeciwnym razie Unia Europejska nie ma przyszłości".

„WSPÓLNIK AGRESORA"

Na Ukrainie polityka Niemiec wywołała szok. Nawet redakcja Europejskiej Prawdy, euroentuzjastycznego portalu założonego przez Georgija Gongadzego, a kontrolowanego dziś kapitałowo przez Petera Fialę i George'a Sorosa, w którym trudno znaleźć dobre słowo na temat polityki obecnych władz w Polsce, zdecydowała się na opublikowanie w kilku językach specjalnego artykułu, podpisanego, jak podkreślono, przez wszystkich dziennikarzy. „Krótko mówiąc – możemy przeczytać w tym wystąpieniu – w postrzeganiu Ukraińców Niemcy coraz częściej stają się wspólnikiem agresora". A to, w opinii portalu Europejska Prawda, na dziesięciolecia może zmienić relacje Berlina z Kijowem, bo właśnie teraz kształtuje się „kod genetyczny" ukraińskiej polityki, którego fundamentem będzie ocena działań w czasie kryzysu, w obliczu zagrożenia rosyjską agresją.

> „W postrzeganiu Ukraińców Niemcy coraz częściej stają się wspólnikiem agresora" – napisała redakcja ukraińskiego portalu Europejska Prawda

Polityka Berlina wywołała rozczarowanie nie tylko zresztą na wschodzie Europy. W Stanach Zjednoczonych coraz częściej słychać głosy, iż zapowiadana przez Joego Bidena odbudowa więzi atlantyckich, w myśl jego formuły „America is back", spotyka się z niechętnym przyjęciem głównych graczy europejskich, przede wszystkim Berlina i Paryża.

Tom Rogan pytał w tytule swego artykułu opublikowanego na łamach konserwatywnego „The Wall Street Journal", czy Niemcy są wiarygodnym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych, i zaraz odpowiedział sam sobie, pisząc: „Nein!". W jego opinii w obliczu dwóch wyzwań, z jakimi mierzy się obecnie Ameryka, czyli rywalizacji z Chinami i z Rosją, Waszyngton nie ma co liczyć na wsparcie Berlina. Obecny kryzys wokół Ukrainy dowodzi, jak napisał, iż Berlin na pierwszym miejscu stawia interesy z Moskwą, nie oglądając się na Zachód. „Berlin [swą polityką] ukazuje powagę sytuacji: w obliczu dwóch najbardziej istotnych zagrożeń dla bezpieczeństwa Ameryki i demokratycznego ładu międzynarodowego po II wojnie światowej – Chin i Rosji – Niemcy nie są już wiarygodnym sojusznikiem. Dla Niemiec tani gaz, eksport samochodów do Chin i uspokajanie Putina wydają się ważniejsze niż sojusznicza solidarność państw demokratycznych. Los Ukrainy obciąży Niemcy ciężarem odpowiedzialności".

Podobne głosy słychać też w amerykańskiej prasie liberalnej, skłonnej zawsze z większą pobłażliwością traktować linię polityczną Berlina. Katja Hoyer, historyk i dziennikarka specjalizująca się w tematyce niemieckiej, napisała na łamach „Washington Post", że „Niemcy stają się słabym ogniwem w linii obrony NATO", a ostatnia wizyta w Berlinie Antony'ego Blinkena, który starał się skłonić kanclerza Scholza do bardziej precyzyjnego określenia, jakie sankcje Niemcy są gotowe wprowadzić

Fot. Ivan O. Schloesser/Shutterstock, Alexandros Michailidis/Shutterstock, BERND WUSTNECK, AFP / EastNews, Shutterstock

eprasa.pl 062fd4e8ab

w życie, jeśli Rosja zaatakuje Ukrainę, skończyła się fiaskiem wobec niechęci niemieckiego rządu do składania jasnych deklaracji.

„PODWÓJNA GRA"

Ale na ocenę polityki Niemiec o obliczu rosyjskiej groźby nie wpłynęła tylko powściągliwość kanclerza Scholza. W ostatnich dniach mamy do czynienia z całą serią wypowiedzi, decyzji i deklaracji niemieckich polityków różnych opcji, które wielu skłaniają do zadania pytania, czy Niemcy nie przyczyniają się do rozbicia NATO?

Największy rozgłos w ostatnim czasie wzbudziły trzy wydarzenia. Chodzi o zablokowanie przekazania przez Estonię Ukrainie haubic, skandaliczne wystąpienie dowódcy niemieckiej marynarki wojennej adm. Kaya-Achima Schönbacha, który powiedział w Indiach, że Niemcy potrzebują Rosji dla równoważenia Chin, a Putinowi należy się szacunek, na który zresztą zasługuje, oraz decyzje Londynu, aby transporty lotnicze z bronią dla Ukrainy omijały niemiecką przestrzeń powietrzną, bo uzyskanie zgody, jeśli w ogóle możliwe, zajmie bardzo dużo czasu, a działać trzeba szybko.

Warto choćby pokrótce, zanim przypomnę inne zastanawiające wypowiedzi przedstawicieli niemieckiego rządu i opozycji, naświetlić te trzy najgłośniejsze sprawy, bo ich kontekst wzmacnia wrażenie, że Niemcy idą inną drogą niż ich sojusznicy z NATO.

Tallin postanowił przekazać Kijowowi stare 122-milimetrowe haubice D-30, zbudowane jeszcze w czasach ZSRR. Niemcy przejęły je z arsenałów NRD po zjednoczeniu, potem przekazały Finlandii, a Helsinki Estonii. Aby z tego kraju mogły one trafić na Ukrainę, potrzebna jest zgoda Finlandii, ale ta – jak zadeklarowały władze tego kraju – zostanie udzielona, oraz Niemiec. W tym drugim przypadku decyzja jeszcze nie została podjęta, ale jak powiedział dziennikowi jeden z niemieckich urzędników, najprawdopodobniej będzie negatywna, bo Berlin „konsekwentnie przestrzega zasady nieeksportowania broni w rejon konfliktu". Słowa zdymisjonowanego już adm. Schönbacha, który mówił nie tylko o należnym Putinowi szacunku, lecz wspomniał też, że Krym jest bezpowrotnie stracony, co zresztą spowodowało, że niemiecka ambasador w Kijowie w trybie pilnym w niedzielę została wezwana do tamtejszego MSZ, wywołały skandal również z innego powodu. Otóż, jak napisał niedawno w Politico Matthew Karnitschnig, Niemcy prowadzą „podwójną grę", co innego mówiąc publicznie w świetle kamer i reflektorów, a co innego prywatnie, kiedy można szczerze przedstawić, co się myśli. Z taką właśnie szczerością mieliśmy do czynienia w przypadku adm. Schönbacha, który nie wiedział, że jest nagrywany, i ujawnił, co rzeczywiście myślą niemieckie elity. Na Ukrainie zastanawiają się teraz, czy dymisja gadatliwego admirała związana jest z tym, co powiedział, czy może raczej z faktem, że w Niemczech bardzo nerwowo przyjmuje się wypowiedzi wojskowych na tematy polityczne.

> Zdaniem szefa bawarskiego CSU Markusa Södera antyrosyjskie sankcje nie działają i szkodzą bardziej Niemcom niż Rosji, która zresztą jego zdaniem „nie jest wrogiem Europy"

Nie chodzi zresztą wyłącznie o przedstawicieli niemieckiej elity strategicznej. Tatiana Silina, kierująca działem zagranicznym tygodnika „Dzerkało Tyżnia", zastanawia się, jak to jest możliwe, że teraz, w obliczu możliwej rosyjskiej agresji wobec Ukrainy, po doświadczeniach 2014 r., po Syrii, po zamachu w Salisbury i próbie otrucia Nawalnego i po tym, jak Putin sformułował pod adresem NATO swoje ultimatum, nadal 20 proc. Niemców, a takie są wyniki niedawno przeprowadzonych sondażu, chciałoby widzieć Rosję w NATO.

Bruce Stokes z think tanku German Marshall Fund, który przeprowadził niedawno serię 50 anonimowych wywiadów z prominentnymi politykami europejskimi, w tym niemieckimi, jest zdania, że w zachodnich stolicach naszego kontynentu nadal panuje przeświadczenie o rozchodzeniu się dróg Ameryki i Europy. Jeden z niemieckich rozmówców miał mu powiedzieć: „Niepokój, sceptycyzm i zła karma na tle amerykańskiego zwrotu w stronę Azji są powszechne w całej Europie. Obawa polega na tym, że doprowadzi to do transatlantyckiego rozdzielenia".

Wygląda na to, że politycy niemieccy zaczęli się zachowywać tak, jakby Stany Zjednoczone już opuściły Europę albo opuszczą ją niedługo, wobec czego ta – samotna i rozbrojona – musi zacząć się liczyć z rosyjską potęgą. I tak Robert Habeck, wicepremier i minister gospodarki z formacji Zielonych, która miała być nadzieją na nieco twardszą politykę Berlina wobec Moskwy, właśnie teraz uznał za celowe, o czym informuje Reuters, zaprosić Rosję do pogłębienia współpracy w zakresie odnawialnych źródeł energii. W niedawnym wywiadzie dla „Spiegla" powiedział on, że współpraca z Moskwą pozwoli „deeskalować napięcie" na granicy z Ukrainą. Jego koleżanka Annalena Baerbock w trakcie niedawnej wizyty w rosyjskiej stolicy dużo mówiła o perspektywach współpracy niemiecko-rosyjskiej w sektorze energetycznym. Berlin interesują zwłaszcza dostawy wodoru, paliwa uznawanego za ekologiczne. Rosyjscy eksperci spekulują nawet, że z czasem Nord Stream 2 może zostać przekształcony w środek transportu wodoru do Europy. Niemiecki dziennik ekonomiczny „Handelsblatt" informuje, że Berlin sprzeciwia się sankcjom wobec Rosji, które zakładałyby wykluczenie Moskwy z międzynarodowego sy-

eprasa.pl 062fd4e8ab

stemu rozliczeniowego SWIFT. Krok taki, w opinii niemieckich kręgów gospodarczych – ale nie tylko, bo otwarcie w tej sprawie w podobnym duchu wypowiedział się Friedrich Merz, nowy przewodniczący CDU – byłby równoznaczny z odpaleniem „bomby atomowej", która w równym stopniu co Rosji zaszkodziłaby niemieckim interesom. Podobnie uważa szef bawarskiego CSU Markus Söder, zdaniem którego antyrosyjskie sankcje nie działają i szkodzą bardziej Niemcom niż Rosji, która zresztą jego zdaniem „nie jest wrogiem Europy".

Stosunek do Nord Stream 2, mimo zmiany rządzącej koalicji, pozostaje w Niemczech niezmienny. Christine Lambrecht, socjaldemokratyczna minister obrony, powiedziała niedawno, że gazociąg „nie powinien być wciągany w ten konflikt", powtarzając przy okazji starą niemiecka narrację, wedle której mamy do czynienia z projektem ekonomicznym, choć to, że jest on również polityczny, była zmuszona przyznać nawet kanclerz Merkel. Lambrecht znana jest też z nieprzejednanego stanowiska w sprawie eksportu broni na Ukrainę, mimo że Niemcom nie przeszkadza zaopatrywanie w nią Egiptu i Pakistanu, a jej ostatnie decyzje o wysłaniu do Kijowa w charakterze wsparcia niemieckiego szpitala polowego i wojskowych 5 tys. hełmów, zostało na Ukrainie przyjęte z niedowierzaniem. „To absolutny żart. Co Niemcy chcą wysłać w następnej kolejności? Poduszki?" – pytał ironicznie mer Kijowa Witalij Kłyczko.

Po wypowiedziach Lambrecht Oksana Bashuk Hepburn, długoletnia doradczyni rządu Kanady, napisała, że „Ukraina mając takich przyjaciół jak Niemcy, nie potrzebuje wrogów".

„KOMU UFAĆ NIE WARTO"

Postawa rządu Olafa Scholza i tradycyjna linia polityki wobec Moskwy spotyka się z krytyką w samych Niemczech. Grupa ponad 70 naukowców, specjalizujących się w polityce zagranicznej, opublikowała w dzienniku „Die Zeit" list otwarty, w którym zarzucają niemieckim władzom „pasywną" postawę wobec awanturniczej polityki Putina i apelują o zmianę polityki, która ich zdaniem doprowadziła „do osłabienia państw Europy Wschodniej". „Polityka Republiki Federalnej wobec Rosji musi zostać gruntownie skorygowana" – postulują eksperci. Argumentują też, że ciągła pasywność Berlina tylko zachęca Rosję do angażowania się w „dalsze eskapady". Jako „kluczowy kraj" w UE i w NATO Niemcy muszą, ich zdaniem, wypełnić „lukę między swoją publiczną retoryką a rzeczywistą praktyką". Ale czy tego rodzaju zmiana jest realna?

> „W obliczu dwóch najbardziej istotnych zagrożeń dla bezpieczeństwa Ameryki i demokratycznego ładu międzynarodowego po II wojnie światowej – Chin i Rosji – Niemcy nie są już wiarygodnym sojusznikiem" – napisał „The Wall Street Journal"

Matthias von Hein napisał na łamach quasi-rządowego portalu Deutsche Welle, że w obecnym stanie potęgującego się napięcia na granicach z Ukrainą „być może nadszedł czas dla niemieckiej mediacji". Reiner Kunze, kierujący moskiewskim biurem fundacji Konrada Adenauera, mówi, że Rosjanie już teraz sporo osiągnęli: „Udało im się, że negocjują na tym samym poziomie z Amerykanami, a Rada NATO–Rosja, którą NATO zawiesiło, znów działa. Rosjanie osiągnęli także to, że mówi się o strefach wpływów". W jego opinii nie można zbudować w Europie przestrzeni bezpieczeństwa bez uwzględnienia interesów wszystkich państw, dopiero wówczas będzie można mówić, że jest ona wspólna. W słowach tych wyraźnie pobrzmiewają echa ostatnich wypowiedzi Władimira Putina i Siergieja Ławrowa, starających się przekonać światową opinię publiczną, że swoboda decyzji państw przestrzeni postsowieckiej o aspirowaniu do NATO zagraża Rosji.

Warto też zwrócić uwagę na to, że z niemieckich deklaracji o europejskiej polityce bezpieczeństwa zupełnie zniknęła kwestia Stanów Zjednoczonych, a pośrednio i NATO. W dłuższej perspektywie zwiastuje to pogłębienie kryzysu w relacjach atlantyckich, niekończące się dyskusje na temat strategii NATO i europejskiej suwerenności strategicznej. Może to skłonić państwa członkowskie Sojuszu Północnoatlantyckiego, zmęczone ciągłymi negocjacjami, do – tak jak w przypadku Londynu w związku z wysłaniem broni na Ukrainę – podjęcia działań bez oglądania się na Berlin. Na to nałoży się nieufność wobec Niemiec państw Europy Środkowej. Jak napisał bowiem Toomas Hendrik Ilves, w latach 2006–2016 prezydent Estonii: „Jeśli wyjdziemy z tego bez wojny, NATO i sojusznicy indywidualnie przynajmniej będą mieli jasność: kto jest kim, kto sprzymierza się z kim, komu można ufać i na co liczyć, kiedy g... no wybije, a komu ufać nie warto".

Ilves w charakterze przestrogi napisał też, że trzeba będzie iść do przodu, nawet w sytuacji kiedy jedno państwo będzie blokowało uruchomienie art. 5 NATO.

Stan nastrojów, zarówno za oceanem, jak i w państwach naszej części Europy, wskazuje, że jeśli uda się zażegnać kryzys wokół Ukrainy, to jego następstwem mogą być gruntowne zmiany w polityce bezpieczeństwa i w funkcjonowaniu NATO, w którym większą rolę zaczną odgrywać „koalicje chętnych". Trudno współpracować bowiem z kimś, komu się nie ufa, kiedy ma się wątpliwości, czy w godzinie rosyjskiego ataku nie okaże się, że jedynym, co Niemcy będą miały do zaproponowana, to kolejna „mediacja".

eprasa.pl 062fd4e8ab

Dyplomacja dużego kija

JAN ROKITA

Wojna należy do zwyczajnego porządku ludzkiej historii. Wieczysty pokój zaś – to albo przekraczająca ten świat nadzieja płynąca z religii (jak w obietnicy Izajasza, iż „wilk zamieszka z barankiem"), albo szlachetna oświeceniowa utopia, będąca wyrazem nadmiernego optymizmu, gdy idzie o człowieczą naturę (jak u Kanta). Całe skumulowane doświadczenie ludzkiej historii przekonuje, że wojna może wybuchnąć zawsze i w każdej chwili. I to z tak błahego powodu, jakim było na przykład uwiedzenie i porwanie spartańskiej królowej albo trywialnego politycznego faktu, iż „wzrost potęgi ateńskiej zaczął budzić strach wśród Lacedemończyków" (co jako powód wielkiej wojny wskazał niegdyś ojciec naukowej historiografii Tukidydes).

ZAMIAST STRASZENIA TRZEŹWA ANALIZA

Nie było, nie ma i nie będzie takiego międzynarodowego systemu bezpieczeństwa, który jakikolwiek kraj w pełni ochroniłby przed ryzykiem wojny. Nie stanowi zatem takiej ochrony również przynależność do NATO, u nas czasem mitologizowana jako jakaś bezwzględna gwarancja polskiego bezpieczeństwa. Przywołuję teraz te wszystkie oczywistości po to tylko, aby z góry przyznać, iż nie mam takich argumentów, za pomocą których mógłbym dziś stanowczo zaprzeczyć tym wszystkim politykom i publicystom, którzy ostatnio co dzień wieszczą wojnę w Europie, ba... ze straszenia wojną i rysowania jej rozmaitych scenariuszy uczynili stały i kluczowy punkt toczącej się debaty publicznej. W każdych czasach może się okazać, że ci, którzy do znudzenia powtarzają: „Będzie wojna", w końcu będą jednak mieć rację.

Ów generalny pesymizm, gdy idzie o wojnę, w żadnym razie jednak nie zwalnia z powinności trzeźwej analizy politycznych przesłanek jej wybuchu.

eprasa.pl 062fd4e8ab

Prawdziwa i wielka wojna może co prawda wybuchnąć zawsze i z byle jakiego powodu. Niemniej jednak obecnie realne przesłanki jej wybuchu są nikłe

Fot. Sergey Pivovarov / Sputnik

I tutaj właśnie tkwi sedno obecnego problemu. Otóż te setki alarmistycznych wróżb i analiz, jakimi jesteśmy zasypywani w ostatnich tygodniach, odtrąbiające wojnę na Wschodzie – tuż-tuż, niemal za drzwiami – są znacznie bardziej świadectwem rozkołysania stanu ducha większości publicystów (a i sporej części polityków) aniżeli wynikiem chłodnej analizy politycznej rzeczywistości. Jest w tym straszeniu wojną widomy duch współczesnej politycznej poprawności: każdy powtarza to samo, więc już niemal wstyd się odezwać z jakimiś wątpliwościami czy sceptycyzmem wobec niemal jednomyślnej wojennej słownej nawały.

Pierwsza rzecz to ta, że na pograniczu rosyjsko-ukraińskim najprawdziwsza wojna trwa, i to już ósmy rok. Jest to co prawda wojna pozycyjna, ale od czasu do czasu objawia się także całkiem sporymi bitwami z udziałem czołgów, jak przegrana przez Ukraińców bitwa pod Debalcewem, gdzie zginęło kilka setek żołnierzy. A w sumie, jak jesienią ubiegłego roku podawała bezstronna w tej materii ONZ, ta trwająca wojna pochłonęła już 43 tys. ofiar, w tym ponad 13 tys. zabitych.

W Europie ani Ameryce owa wojna na nikim nie robi większego wrażenia, gdyż jej skutki dla naszego codziennego życia są zgoła żadne, nie ma nawet u nas jakiejś istotnej liczby uchodźców z Donbasu. A po prawdzie również Ukraińcy zdołali się już jakoś przystosować, choć zapewne nie pogodzić z faktem życia w warunkach wojny, nierokującej nadziei na zakończenie. Trochę podobnie jak przywykli do niekończącej się wojny izraelscy Żydzi i Palestyńczycy. Ludzie rodzą się i umierają, a wojna cały czas sobie trwa.

> To, co sprawia, że wariant „pełnowymiarowej" napaści nie ma dla Rosji żadnego politycznego sensu, to nie Zachód, ale sama Ukraina. Putinowi marzy się odzyskanie Ukrainy, ale doskonale wie, iż Rosja „nie podoła odpowiedzialności" za wzięcie siłą tego kraju

Wiele zatem zależy od tego, co mamy na myśli, przepowiadając wojnę na Wschodzie. Co do meritum sprawy absolutną rację miał prezydent Biden, mówiąc, iż rosyjska „mniejsza napaść" („minor incursion") miałaby nikłe polityczne konsekwencje. Byłaby ona bowiem najwyżej jakimś lekkim rozszerzeniem aktualnej linii frontu, niezmieniającym istotnych – powiedzmy – strategicznych okoliczności trwającego konfliktu.

Głupota Bidena polega nie na tym, że mówiąc o nieistotnych skutkach „mniejszej napaści", nie miał racji, ale na tym, iż ową racją obraził honor Ukraińców i zapewne nieźle rozweselił władcę Rosji i całą jego kremlowską załogę.

Nikt chyba na serio się nie spodziewa, iż w razie gdyby Rosjanie, oprócz Donbasu, chcieli stworzyć jeszcze jakiś wojenny przyczółek, na przykład gdzieś między Krymem i deltą Dniepru, by odblokować naturalne źródła dostaw słodkiej wody na półwysep, to skutkowałoby to w światowej polityce czymś więcej niźli garścią potępiających oświadczeń, no i być może jeszcze projektem rezolucji Parlamentu Europejskiego, nerwowo łagodzonym przez niemieckich europosłów. Zwłaszcza że taka – tutaj przykładowo tylko podana – akcja broniłaby się całkiem nieźle przesłankami humanitarnymi, skoro mieszkańcy Symferopola już któryś rok z rzędu mają wodę tylko przez kilka, a ostatnio (dzięki duńskim pompom eksportowanym wbrew sankcjom) już ponoć nawet kilkanaście godzin na dobę. Tego typu zbrojną rosyjską akcję dość łatwo sobie wyobrazić, chociaż – jeśli respektować reguły rządzące związkiem między wojną i polityką – zapewne nie teraz, w chwili bliskiej apogeum wyczekiwania na wojnę, ale raczej w przyszłości, gdy taka „mniejsza napaść" byłaby dla świata i dla Ukraińców niejakim zaskoczeniem.

Kompletnie inna rzecz – to wielka wojna, „pełnoskalowa" – jak zwykła ją określać dyplomacja amerykańska. Na możliwość jej wybuchu mogłaby wskazywać tylko jedna okoliczność: trwająca od kwietnia 2021 r. koncentracja wojsk rosyjskich „wokół Ukrainy", co znaczy – od Bałtyku, przez Białoruś, w pobliżu samego pogranicza obu państw, aż po Krym i Morze Czarne. Amerykanie mają słuszność, iż taki trwający już dość długo proceder rosyjski traktują jako realne niebezpieczeństwo, przestrzegając przed nim Moskwę i ostrzegając od wielu miesięcy Kijów. Tak samo czyniła

eprasa.pl 062fd4e8ab

przed laty administracja Cartera, gdy w roku 1980, po pierwszej legalizacji Solidarności, nad polskimi granicami nieustannie trwały intensywne manewry Armii Czerwonej i jej sojuszników. Tyle że koncentracje wojsk, nasilające się manewry i pokazy siły – wiemy o tym doskonale z historii – w jakichś dziewięciu na dziesięć przypadków służą nie wojnie, ale polityce. Dziś z ujawnionych już źródeł historycznych wiemy, że w tamtym 1980 i 1981 r. koncentracje i manewry nad polskimi granicami były tym intensywniejsze, im bardziej Kreml utwierdzał się w decyzji o nieinterweniowaniu w Polsce. W politycznej logice to najzupełniej zrozumiałe.

„DYPLOMACJA KANONIEREK"

Swego czasu ukuto nawet na Zachodzie termin, który na pozór wydać się winien sprzecznością samą w sobie: „dyplomacja kanonierek". Specjalizowały się w tym gatunku „dyplomacji" Francja i Niemcy, ale mistrzostwo osiągnęła Ameryka. W połowie XIX w. wystarczyło, że okręty USA wpłynęły do Zatoki Tokijskiej, aby Japonia podjęła historyczną decyzję o otwarciu się na światowy handel. Z imponującego pokazu tego rodzaju zasłynął prezydent Teodor Roosevelt, twórca konceptu nazwanego przezeń groźnie, acz zabawnie – „Big Stick Diplomacy", gdy parę lat przed I wojną światową wysłał na wyprawę dookoła świata słynną „Wielką Białą Flotę", złożoną z 23 lśniąco białych pancerników i niszczycieli US Navy. Ta cała armada zawijała potem kolejno do portów na wszystkich kontynentach, zwłaszcza tam, gdzie polityczne interesy Ameryki napotykały na jakiś opór. Oczywiście nigdzie nie musiała oddać ani jednej wrogiej salwy.

Fot. Frederic Legrand - COMEO

Rosyjska wersja „dyplomacji dużego kija" wobec Ukrainy ma dziś głęboki polityczny sens, patrząc – rzecz jasna – na sprawy z perspektywy prezydenta Putina. W przeciwieństwie do „pełnoskalowej" zbrojnej napaści, która sensu dla Rosji nie ma absolutnie żadnego. Nie od dziś wiadomo, że warto słuchać i poważnie traktować niektórych zdolnych i politycznie kompetentnych rosyjskich analityków, o ile oczywiście aktualnie pozostają w łaskach władcy Rosji. Do takich intelektualistów należy dziś Timofiej Bordaczow, petersburżanin (jak Putin), absolwent Kolegium Europejskiego w Brugii, a co najważniejsze – szef Klubu Wałdajskiego, czyli gremium, z którym Putin ze szczególną lubością zwykł się dzielić swymi głębokimi przemyśleniami. Na stronie Klubu Bordaczow jasno wykłada założenia polityki Kremla wobec Ukrainy. Wygląda to tak: nie chcemy odzyskiwać utraconej Ukrainy, bo nie dalibyśmy rady wziąć odpowiedzialności za ten kraj. Nie chcemy też upadłości Ukrainy, bo wtedy nie wiadomo, kto by nad nią faktycznie zapanował. Chcemy „negatywnej kontroli" nad Ukrainą, tak by nie znalazła się ona pod kontrolą wrogów Rosji.

Śmiem sądzić, że Bordaczow pisze językiem analityka to, co Putin czyni jako przywódca państwa. To oczywiste, iż Kreml jest rozczarowany i poirytowany postawą prezydenta Zełenskiego, której najzupełniej nie spodziewał się po owym

eprasa.pl 062fd4e8ab

komiku filmowym. Zełenski napiera na członkostwo kraju w Unii i NATO, ściąga zachodnią broń na Ukrainę, ostentacyjnie kumpluje się ze znienawidzoną Warszawą. Pewnie na Kremlu nie liczą już na jego „nawrócenie", ale raczej na wysadzenie go z siodła, najpóźniej przy najbliższych wyborach. Ale do tego Kreml potrzebuje dwóch rzeczy. Pierwsza – to uświadomienie kijowskiej elicie politycznej, zwłaszcza tej nowej, mało doświadczonej, ze Sługi Narodu, iż odrzucenie konceptu rosyjskiej „negatywnej kontroli", będącego żądaniem nie aż tak wygórowanym jak na dzisiejszą sytuację Ukrainy, grozi pewnego dnia prawdziwą wojną. Druga – to uświadomienie Bidenowi (a przy okazji i Europie, choć to nie najważniejsze), że jakakolwiek próba roztoczenia nad Ukrainą amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa to sprawa tak poważna, iż o nią też będzie najprawdziwsza wojna.

Zmilitaryzowana „dyplomacja dużego kija" daje szanse na osiągnięcie obu tych celów. Gdy idzie o Zachód, to podobnie jak ze słowami Bidena o małych skutkach „mniejszej napaści" znów mamy do czynienia z sytuacją, w której publiczne przyznanie tego, co prawdziwe, jest w najwyższym stopniu niewskazane i naganne. To, co Kreml już uzyskał swoją militarną demonstracją i stanowczymi żądaniami, to ugruntowanie w Ameryce i Europie przekonania, że Ukraina nigdy nie może się znaleźć w NATO. Jeśli – poza Polską, Litwą czy Rumunią – przekonanie owo i tak istniało grubo wcześniej, to teraz zostało ono gruntownie podbudowane. A jeśli w końcu się okaże, że wielka wojna, która przecież już ponoć była pewna, jednak nie wybuchnie, to ileż jeszcze zobaczymy satysfakcji, zadowolenia na Zachodzie z dobrze wykonanej politycznej roboty, a nawet wdzięczności wobec Putina, który przecież dał się przekonać, iż ryzyko wojny dla Rosji samej jest zbyt wielkie. I że nie warto go podejmować.

Tyle tylko, że owo ryzyko dla Rosji, faktycznie zbyt wielkie, nie wynika wcale z zachodnich przestróg i zapowiedzi sankcji, jakich ponoć „jeszcze nie widziano". Z tego, co ostatnio dochodzi z Białego Domu, zdaje się wynikać, iż szykują tam krok straszliwy w odpowiedzi na wyobrażone bombardowania Kijowa i parcie rosyjskich kolumn pancernych do centrum Ukrainy. Sankcje mogłyby wówczas dotknąć samego prezydenta Putina, który w ten sposób nie dostałby przez czas jakiś wizy do USA!!! Mówiąc serio – może nie jest aż tak, że na Kremlu śmieją się z całej amerykańsko-europejskiej debaty o tym, jakby tu dokuczyć Putinowi, gdyby jednak zaczął bombardowanie Kijowa. Choć muszą się podśmiechiwać, patrząc, jak zdenerwowani politycy niemieccy, od lewicy do prawicy, już z góry martwią się tylko o jedno: iżby w takim wypadku retorsje względem Rosji nie dotknęły niemieckiego handlu i dostaw gazu.

> To, co Kreml już uzyskał swoją militarną demonstracją i stanowczymi żądaniami, to ugruntowanie w Ameryce i Europie przekonania, że Ukraina nigdy nie może się znaleźć w NATO

OBAWA PRZED „DRUGIM AFGANISTANEM"

To, co sprawia, że wariant „pełnowymiarowej" napaści nie ma dla Rosji żadnego politycznego sensu, to nie Zachód, ale sama Ukraina. Putinowi marzy się odzyskanie Ukrainy, ale doskonale wie, iż rację ma Bordaczow, mówiący, że Rosja „nie podoła odpowiedzialności" za wzięcie siłą tego kraju. To oczywiście intelektualna peryfraza albo ugrzeczniony eufemizm, za którym kryje się wizja twardych i brutalnych skutków takiej decyzji. Wielka porażka całej prezydentury Putina wobec Ukrainy polega na tym, iż prowadził on politykę tak, że wzbudził nacjonalistyczną zawziętość i nienawiść bardzo wielu Ukraińców przeciw sobie i przeciw Rosji. Dziś zbrojna napaść na Kijów, Charków czy Dniepropietrowsk, nawet jeśli militarnie zapewne zwycięska, oznacza morze krwi, wściekły opór, partyzantkę i pleniący się terroryzm. Czyli powtórkę z sowieckiej rozprawy z UPA po II wojnie światowej albo drugi rosyjski Afganistan, który w świadomości samego Putina i całej starej elity politycznej Rosji siedzi mocno w głowach, jako pierwsza przyczyna upadku Sowietów, a więc (jak mówił sam Putin) „największej geopolitycznej tragedii XX w.".

Tak więc prawdziwa i wielka wojna (jako się rzekło) może co prawda wybuchnąć zawsze i z byle jakiego powodu. Niemniej jednak obecnie realne przesłanki jej wybuchu są nikłe. Władimir Putin jest politykiem w jakiś sposób mentalnie „uszkodzonym" przez doświadczenie strasznej rosyjskiej smuty przełomu lat 80./90. XX w., kiedy to bezwładnie rozpadał się ZSSR, niczym jakiś kolos na glinianych nogach. Sam rosyjski prezydent mówił o tym swoim osobistym doświadczeniu nieraz, nawet ostatnio na antenie TV RIA, gdy wspominał czas, gdy nie rozumiał, co się wokół dzieje i musiał dorabiać jako leningradzki taksówkarz. Jeśli prześledzić dwie dekady jego polityki zagranicznej, to widać jasno, iż nie zwykł nigdy podejmować nadmiernego ryzyka, zapewne mając w świadomości ową nieprzezwyciężoną ciągle słabość Rosji. Owszem, na pograniczu rosyjsko-ukraińskim wojna w najlepsze trwa i – podkreślmy to – trwać będzie tak długo, jak długo Kreml nie wyegzekwuje na Kijowie co najmniej owej „negatywnej kontroli", o której mówi Bordaczow. Podobnie jak na Bliskim Wschodzie jest to wojna przewlekła, pozycyjna, bez widoków na zakończenie. Raz będzie się zawężać tylko do strefy Donbasu, innym razem może się rozszerzyć na przykład na okolice Krymu. Jeszcze niedawno wszyscy na świecie z upodobaniem powtarzali, iż jest to przypadek wojny „hybrydowej". Dziś, w obliczu wojennej psychozy, słówko owo wyszło z mody, całkiem niepotrzebnie.

eprasa.pl 062fd4e8ab

Bez ochrony granic strefa Schengen pęknie

W sprawie ochrony granic i walki z nielegalną migracją narasta pęknięcie pomiędzy unijnym establishmentem a państwami narodowymi. To zła wiadomość. Dobra jest taka, że przyczyną jest otrzeźwienie większości rządów i przyjęcie perspektywy, którą Warszawa przedstawia od 2015 r.

MICHAŁ KARNOWSKI

Wielki biały autokar pełen dziennikarzy z mediów z całej Europy zaproszonych przez rząd litewski z trudem próbuje nadążyć za poprzedzającym go policyjnym autem z włączoną sygnalizacją świetlną. Jest ślisko, od kilkunastu godzin pada intensywny śnieg. Mijamy puste wsie z małymi domami, niekiedy jeszcze drewnianymi.

eprasa.pl 062fd4e8ab

Co jest celem? – Nazwy nie mogę podać. Powiem tylko, że to jeden z najdalej wysuniętych na wschód punktów granicy litewskiej, czyli też unijnej – tłumaczy Wiktoria, odpowiedzialna za opiekę nad naszą grupą. GPS w komórce wskazuje na okolice Solecznik. W czasie ponad godzinnej jazdy siedząca obok młoda Łotyszka, dowiedziawszy się, że jestem jedynym Polakiem w grupie, zarzuca mnie pretensjami wygłaszanymi z komsomolską bojowością.

– Dlaczego nie przyjęliście tych biednych uchodźców? – pyta.

– Bo to byli migranci zwiezieni przez Łukaszenkę, a nie żadni uchodźcy. Wszyscy to widzieli. Potem ich odesłał z powrotem – odpowiadam.

– Ale to biedni ludzie, często nieumiejący nawet pisać, zasługują na lepsze życie.

– Rząd Polski nie mógł się zgodzić, by sąsiedni dyktator decydował, kto przejdzie przez polską granicę, by przebijał przez nasz kraj jakieś korytarze. Podobnie litewski. Ale może wy ich przyjmiecie? Poproście Łukaszenkę.

– My jesteśmy małym krajem, my nie możemy – mówi, a ja uznaję, że ten argument kończy jednak dyskusję.

Tym bardziej że jesteśmy już na granicy. Wysoki zielony płot ciągnący się wzdłuż lasu po horyzont. Za nim słupy graniczne. Na wysokich słupach urządzenia elektroniczne. To fragment zapory, którą buduje Litwa. Na 678 km granicy litewsko-białoruskiej ma powstać 508 km takiej konstrukcji, dotychczas zbudowano 175. Całość ma kosztować 150 mln euro. Unia Europejska nie dała na to ani euro i mimo presji ze strony wielu rządów nie da.

> Jesteśmy na granicy litewsko-białoruskiej. Wysoki zielony płot ciągnący się wzdłuż lasu po horyzont. Na wysokich słupach urządzenia elektroniczne. To fragment liczącej 508 km zapory, którą buduje Litwa. Na razie powstało 175 km

– Czy chcemy wydawać miliony na takie projekty? Nie, ale nie mamy wyjścia. Musimy chronić nasze granice i, co za tym idzie, granice całej Unii – mówi na tle zapory litewska minister spraw wewnętrznych Agnė Bilotaitė. Dodaje: – To nie jest zwykły kryzys migracyjny, to atak zorganizowany przez władze Białorusi. Nieprzypadkowo w czasie, gdy ze strony rosyjskiej zagrożona jest Ukraina.

Dziennikarze z Zachodu niby słyszą, ale z pytań wynika, iż oczywiste łukaszenkowskie sprawstwo jest dla nich wtórne wobec proimigracyjnej linii redakcyjnej większości mediów. Także później, już po powrocie znad granicy, dopytują przede wszystkim o „push backi", czyli zawracanie na stronę białoruską tych, którzy nielegalnie się przedarli przez zasieki. Odpowiedź, że państwa narodowe muszą mieć skuteczne narzędzia, by bronić swoich i unijnych granic, zwłaszcza że zmienił się charakter migracji, że staje się ona cynicznie stosowanym narzędziem nacisku politycznego, nie za bardzo ich przekonuje.

eprasa.pl 062fd4e8ab

To pęknięcie między rządami a wielkimi lewicowymi mediami oraz ideologicznymi strukturami Unii Europejskiej jest zresztą jednym z ważniejszych wniosków z wileńskiej konferencji na temat zarządzania granicami. Wzięło w niej udział niemal 30 ministrów państw europejskich odpowiedzialnych za migrację, a także przedstawiciele unijnych agencji, np. Frontexu, i komisarze, którzy za te obszary współodpowiadają.

Warto zauważyć, że jednym z głównych inicjatorów i organizatorów spotkania – obok Litwy, Grecji i Austrii – była Polska, którą w Wilnie reprezentował minister spraw wewnętrznych i administracji Mariusz Kamiński. Z polskiego punktu widzenia był to niewątpliwie sukces zarówno co do skali i rangi wydarzenia, jak i treści. Wyraźnie zarysowuje się nowa wspólna linia, przynajmniej państw narodowych. Instytucje unijne, Parlament Europejski i Komisja Europejska, silnie zideologizowane, to nieco inna sprawa. Premierzy, prezydenci i parlamenty krajowe znajdują się jednak pod silną presją obywateli, którzy migracji niekontrolowanej i masowej nie chcą.

Podkreślono to w końcowym komunikacie przyjętym przez 16 państw (Austria, Bułgaria, Chorwacja, Cypr, Dania, Estonia, Grecja, Węgry, Irlandia, Łotwa, Litwa, Malta, Polska, Rumunia, Słowacja, Słowenia):

„Bezpieczeństwo i integralność strefy Schengen nie może podlegać kompromisom. Obszar wewnątrz może efektywnie funkcjonować tylko wtedy, gdy zewnętrzne granice są właściwie chronione".

Tu jednym głosem, tak jak Polska już od 2015 r., bez względu na różnice polityczne, mówili ministrowie spraw wewnętrznych, także takich państw jak Francja, Grecja, Austria. – Obrona granic zewnętrznych Unii Europejskiej to sprawa kluczowa również dla nas. Choć nie jesteśmy państwem granicznym, to nasz kraj jest celem migracji i każdą taką falę natychmiast odczuwamy – podkreślał szef austriackiego MSW Gerhard Karner, przytaczając dane o skokowym wzroście wniosków o azyl w ostatnim czasie.

Ważnym wątkiem konferencji było też stwierdzenie, że nielegalna migracja to dzieło przemytników ludzi. Przed-

Minister Mariusz Kamiński: Celem Łukaszenki było złamanie państwa polskiego

Zaskakiwało w dyskusji w Wilnie, jak mocno przebiło się do świadomości polityków europejskich to, że Polska skutecznie obroniła się w obliczu bardzo silnego i bezwzględnego uderzenia wojną hybrydową, z cynicznym użyciem przez Łukaszenkę migrantów. Nawet gdy wchodzili państwo na końcową konferencję, składano panu gratulacje. Jak to wyglądało w kuluarach?

Mariusz Kamiński: Pokazaliśmy, że nie jest prawdą, iż uderzenie tego typu nie może się spotkać ze zdecydowaną odpowiedzią. Słyszę od wielu unijnych ministrów spraw wewnętrznych słowa uznania. Oni na co dzień tą tematyką się zajmują i rozumieją skalę wyzwania, przed jakim stanęliśmy, umieją ocenić środki, jakie skutecznie uruchomiliśmy do obrony, i wiedzą, że pokazaliśmy determinację, nie ulegliśmy presjom zewnętrznym i wewnętrznym. Mamy ich pełne poparcie.

Kilkakrotnie mówił o tym grecki minister do spraw migracji Panagiotis Mitarachi: nie jest prawem człowieka prawo do nielegalnego przebijania się przez granicę; nie ma takiego prawa w żadnym międzynarodowym dokumencie.

Uczestnicy konferencji to doświadczeni politycy, fachowcy, eksperci, którzy wiedzą, że to jest wspólny problem. Gdyby zostały przełamane granice Polski i państw bałtyckich, to pierwszą ofiarą chaosu i bezprawia byłyby nasze państwa, ale chwilę potem dotknęłoby to całą Europę. Ci ludzie przecież natychmiast by się pojawili w wielu krajach Unii. W liczbie, w przypadku otwarcia granicy, niemożliwej do oszacowania, ale ogromnej. Większość z nich deklarowała, że interesuje ich Francja, Niemcy, Włochy.

I obecna tu na konferencji Austria.

Tak, i obecna tu Austria, której minister mówił o stale rosnącej presji migracyjnej. Podobne do naszych problemy mają Grecja i Cypr. Może nie mają naprzeciw siebie tak brutalnego dyktatora jak my, nie ma w tle Rosji, ale niestety Turcja też wykorzystuje kwestie migracyjne dla celów politycznych. Dlatego minister grecki był tu tak aktywny, on rozumie, o co chodzi, widzi analogie. Wszyscy rozumieją, że Unia musi wyciągnąć z tych sytuacji wnioski.

Unia Europejska nie mogłaby zatem pomóc sfinansować zapory, która ma chronić jej granice? Obecna w Wilnie Ylva Johansson, unijna komisarz spraw wewnętrznych, kluczyła w tej sprawie. Z jej słów wynikało, że nie ma pieniędzy, a jeśli są i będą, to ewentualnie na sprzęt, szkolenia, koordynację.

Przewodnicząca Komisji Europejskiej pani Ursula von der Leyen już wcześniej też opowiedziała się przeciw, bo – mówiła, że Unia Europejska nie powinna finansować zasieków i murów. Mnie słowa pani Johannson nie przekonały, musimy dalej w tej sprawie rozmawiać. Tu nie może być miejsca na podejście infantylne, to są rzeczy fundamentalne dla bezpieczeństwa państwa, Unii Europejskiej i całego systemu bezpieczeństwa. Tylko takie bariery mogą być skuteczne, dlatego budują

eprasa.pl 062fd4e8ab

stawiciele Chorwacji mówili o zatrzymaniu w ostatnich latach 5 tys. przemytników ludzi. To pokazuje skalę problemu i uzmysławia, o czym też mówiono, że tego kryzysu nie da się rozwiązać, wpuszczając kolejne fale – one się nigdy nie skończą, tylko narastają.

No i punkt kolejny: cyniczne granie przez państwa trzecie (kiedyś Turcja, potem Maroko, teraz Białoruś i Rosja) kwestią migracyjną. Fabrykowanie kryzysów, okrutne używanie migrantów jako broni, którą można w razie potrzeby zwieźć samolotami. Te działania Łukaszenki, jednak dobrze przez Polskę pokazane Europie, skutkują świadomością, że wiele trzeba w podejściu do obrony granic zmienić. Prezydencja francuska w Radzie Unii Europejskiej ma przyzwolenie na rozpoczęcie tego procesu i deklaruje, że to chce zrobić. Jest jasne, że system Schengen, dla wielu główna zaleta integracji europejskiej, nie będzie działał bez ochrony granic zewnętrznych, prędzej czy później się rozsypie. Kłopotem jest jednak postawa brukselskiego establishmentu. Obecna na konferencji unijna komisarz spraw wewnętrznych Ylva Johansson zachowywała daleko idący dystans wobec padających postulatów, a język jej wypowiedzi znacząco kontrastował z determinacją ministrów państw narodowych.

Tym bardziej że Polska dała przykład, iż granic można skutecznie bronić, a Europa nie jest bezbronna wobec najbardziej nawet brutalnych i cynicznych zagrań. Mówiono o tym w Wilnie jako przykładzie godnym naśladowania, z podziwem i uznaniem. Zbudowało to nasz autorytet. Rozpoczęcie w tym tygodniu budowy polskiej zapory, jeszcze solidniejszej niż ta litewska, jest kontynuacją tego kursu.

Jak daleko mogą zatem pójść zmiany w unijnym prawie migracyjnym? Czy obejmą wsparcie finansowe dla budowy zapór na granicach z polsko-białoruskiej i litewsko-białoruskiej? Czy państwa, w które uderzono wojną hybrydową, będą mogły w spokoju i zdecydowanie się bronić? Czy łatwe do nadużycia procedury udzielania azylu zostaną zmienione? Na te tematy rozmawiałem w Wilnie z ministrem spraw wewnętrznych i administracji Mariuszem Kamińskim.

swoją zaporę także Litwini, zbudowali ją Grecy.

W wielu wypowiedziach wracał argument, że bez ochrony granic zewnętrznych strefa Schengen się załamie. Jakie jest pana podejście do tego wątku?

Jeśli Schengen będzie dziurawe na zewnątrz, prędzej czy później któreś państwo nie wytrzyma i cały system przestanie działać. Granice wewnętrzne są otwarte, ale warunkiem tego jest szczelność zewnętrznych. Przeciek w jednym miejscu naraża każde z państw. Dlatego to problem nie tylko państw granicznych, lecz wszystkich.

Na konferencji prasowej mówił pan jednoznacznie: ludzie, którzy rzucają kamieniami, cegłami i petardami w polskich strażników granicznych i żołnierzy, którzy ich atakują pałkami, którzy przemocowo próbują przebić się przez polskie granice, nie powinni mieć potem prawa do składania wniosków o azyl. Z czego te słowa wynikają?

Z rozsądku i wymogu konsekwencji w działaniu. Nie może być nagrody za takie akty agresji. Ale też podkreślałem tu stale: czym innym są migranci, osoby, które chcą poprawić swoją sytuację materialną, a czym innym są uchodźcy. Polska nigdy nie odmówi pomocy uchodźcom, co pokazaliśmy, przyjmując – jak szacujemy – 15 tys. ludzi uciekających przed represjami. Także z Afganistanu wywieźliśmy około tysiąca osób zagrożonych w państwie talibów za współpracę z państwami zachodnimi. Ale to co innego niż brutalny, cyniczny atak zorganizowany przez Łukaszenkę. Zresztą w zemście za naszą pomoc dla narodu białoruskiego.

Na granicy wciąż niespokojnie, zmniejszyła się liczba ludzi rzucanych na granice przez reżim Łukaszenki, ale zaostrzają się formy ataków. Jak długo będą tam musiały być dodatkowe siły?

Do chwili, gdy powstanie zapora. Dobrą wiadomością jest to, że mamy już podpisane wszystkie umowy z wiarygodnymi firmami, mamy koncepcję zbudowania zapory. Umowy z wykonawcami przewidują, że zostanie zbudowana w ciągu pięciu miesięcy. Zakładam zatem, że w czerwcu będzie ona już stała, oczywiście z konieczną towarzyszącą techniką.

Był pan dzisiaj na granicy litewsko-białoruskiej, mogli ją też zobaczyć dziennikarze. Nasuwa się pytanie: dlaczego główny atak poszedł na Polskę?

Rzeczywiście, Litwini zostali bardzo mocno zaatakowani w lipcu, potem atak poszedł na Polskę. Uważam, że było to przesunięcie świadome. Ktoś podjął decyzję, że ma być złamane państwo polskie. Ale daliśmy radę, państwo polskie zdało ten trudny egzamin, obroniliśmy się, a Łukaszenka nie osiągnął żadnego ze swoich celów, odbił się od naszych granic. Nasi funkcjonariusze, trwając na posterunkach w zimnie, w nocy, mimo zmęczenia narastającego przez tygodnie, mogą być z siebie dumni, a ja jestem dumny z nich. Podkreślam jednak: to nie koniec, wiosną może nastąpić następny potężny atak. Dlatego robimy wszystko co w naszej mocy, by wzmacniać siły gotowe do akcji, zbudować zaporę.

eprasa.pl 062fd4e8ab

Powrót Balcerowicza

Gdyby PO odzyskała władzę, byłaby nowa terapia szokowa, czyli cofnięcie wszystkiego, co rządy PiS dały Polakom

STANISŁAW JANECKI

19 stycznia 2022 r. Donald Tusk nie złożył mu życzeń z okazji 75. urodzin (przynajmniej na Twitterze, gdzie obaj prowadzą „prawdziwe" życie). Urodziny Leszka Balcerowicza były jednak fetowane, tylko w specyficzny dla niego i jego otoczenia sposób. Internetowe spotkanie z jubilatem właściwie było katastrofą wizerunkową: przed kamerą stały dwa krzesła – na jednym siedział Balcerowicz, na drugim przysiadali się różni goście (prof. Barbara Błaszczyk, Stefan Kawalec, Jerzy Koźmiński, Jerzy Pruski, Grażyna Staniszewska, Jerzy Miller) i wygłaszali referaty. Formuła była tak odstręczająca, że transmisję z urodzin śledziło zaledwie od 20 do 48 osób. Nie chodzi jednak o nudną formułę i opowiadanie tego, co można było usłyszeć już tysiące razy, lecz o pierwszy od czerwca 2008 r. (gdy przestał być wicepremierem i ministrem finansów w rządzie Jerzego Buzka) „historyczny" moment. Nie w takim sensie, o jakim w swoich życzeniach napisał poseł PO Sławomir Nitras: „On niewątpliwie przejdzie do historii". Chodzi o to, żeby historia Leszka Balcerowicza została na nowo otwarta.

Coraz więcej polityków PO chętnie widziałoby kontrrewolucję socjalną w duchu Balcerowicza, a nawet pod jego patronatem. Nieprzypadkowo poseł Platformy Michał Szczerba w swoich życzeniach dla jubilata napisał: „Potrzeba Planu, by przywrócić uczciwość i konkurencję w gospodarce i polityce, odpowiedzialność i praworządność". Innymi słowy – potrzeba nowego planu Balcerowicza, choć ten pierwszy wcale nie był jego, tylko został przywieziony w teczce przez Davida Liptona i Jeffreya Sachsa. Nie chodzi jednak o autorstwo, lecz o treść. Donald Tusk bał się negatywnych konsekwencji oficjalnego złożenia życzeń jubilatowi, ale widmo Balcerowicza unosi się obecnie nad Platformą najbardziej od początku istnienia tej partii.

Tak jak wisi nad Polską potrzeba cofnięcia wszystkiego, co wprowadziły rządy Prawa i Sprawiedliwości w kwestiach redystrybucji dochodów państwa i polityki socjalnej. Tylko naiwny może sądzić, że gdy Tusk i inni politycy PO czasem bąkną o zachowaniu programu 500+ czy 13. emerytury, gdyby odzyskali władzę, to dotrzymają słowa. Wręcz przeciwnie: byłaby nowa terapia szokowa, równie bezduszna i bezwzględna jak wtedy, gdy Balcerowicz decydował o tym w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. A efektem byłoby wieloaspektowe zbiednienie i upośledzenie tych wszystkich, którzy po 2015 r. zostali wyciągnięci z niedostatku, których życiowe i cywilizacyjne szanse (a także szanse ich dzieci i wnuków) niepomiernie wzrosły. Jakkolwiek brutalnie by to brzmiało, ci ludzie Platformie nie są potrzebni. Dlatego w styczniu 2022 r. Balcerowicz został wyciągnięty z lamusa. Znowu jest potrzebny, choć zapewne nie w rządzie. A kontrrewolucja spod jego znaku byłaby też historyczną zemstą za odwrócenie tego, co się wiąże z Balcerowiczem i rządami najpierw Unii Wolności, a potem Platformy Obywatelskiej.

CZEGO NIE WOLNO MÓWIĆ

Balcerowiczem otwarcie mówił główny doradca ekonomiczny PO Andrzej Rzońca, dlatego od ponad roku już tym doradcą

eprasa.pl 062fd4

nie jest. Z punktu widzenia Platformy Rzońca miał oczywiście rację, ale nie wolno było tego głośno mówić, tylko trzeba stosować politykę faktów dokonanych. A Rzońca twierdził (w 2019 r. w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej"), że „zanim 500+ weszło w życie, pojawiła się analiza teoretyczna, która pokazywała, jakie skutki w średnim okresie dla zatrudnienia kobiet będzie miał ten zasiłek. Z symulacji wynikało, że w średnim okresie ćwierć miliona kobiet przestanie pracować. Rok później pojawiła się analiza empiryczna, potwierdzająca, że 100 tys. kobiet zrezygnowało z pracy przez program 500+". Czyli 500 zł wystarczy, by kobiety porzucały pracę i stawały się rodzajem utrzymanek pracującej części społeczeństwa. Nieważne, że tak nie było. Ważne, że Rzońca mówił takie rzeczy w imieniu PO, a tego mówić nie wolno. Natomiast jak najbardziej wolno z tego wszystkiego zrezygnować i do tego się przygotowywać. Co najwyżej można pozostawić „opiekę pomocy społecznej, ale nie w formie bezwarunkowego zasiłku".

Nie wolno było też mówić, że „Prawo i Sprawiedliwość chce wprowadzić większą progresję poprzez jeszcze mocniejsze dokręcenie śruby podatkowo-składkowej najlepiej zarabiającym". Wprawdzie nie chodzi o śrubę, lecz o elementarną sprawiedliwość, ale tak tego nie wolno postrzegać. Stąd histeryczne wręcz ataki na Polski Ład, który niesprawiedliwość podatkową próbuje przynajmniej zredukować. Te ataki pokazują zresztą, że gdyby PO wróciła do władzy, wyższe podatki będą znowu płacić przede wszystkim ci, którzy zarabiają najmniej albo przeciętnie. I trzeba będzie znowu podnieść wiek emerytalny, gdyż „w Europie nikt przed PiS-em nie odpowiedział w podobny sposób na starzenie się społeczeństwa. Później na podobny krok, choć z zastrzeżeniem, że robią to tylko czasowo, zdecydowali się jedynie populiści z Włoch". A to przecież „rozwiązanie porównywalne do użycia po raz pierwszy liberum veto. Po użyciu liberum veto w 1652 r. Polska nie upadła jeszcze przez wiele lat, ale była to zmiana, która zaważyła na losie kraju".

Fot. photowalking/Shutterstock.com

eprasa.pl

Andrzej Rzońca musiał odejść, ale nie za błędy, tylko za szczerość. Problemem jest to, że Leszek Balcerowicz jest równie szczery, dlatego nie może bezpośrednio wrócić do władzy, ale można realizować jego pomysły. 1 kwietnia 2021 r. tak Balcerowicz oceniał program 500+: „Miało być więcej dzieci, nie ma więcej dzieci. Miała być zasadnicza redukcja biedy, w części to się stało, ale za drobną część tej całej sumy można było o wiele skuteczniej zredukować biedę, bo ona nie jest tylko wśród osób z dziećmi. Wreszcie rażąca niesprawiedliwość, która polega na tym, że duża część tych pieniędzy, całe miliardy, trafiają do ludzi bogatszych. A pandemia pokazała, że przedsiębiorcy zostali poważnie uderzeni i tam są potrzebne pieniądze". Nie ma znaczenia, że pieniądze znalazły się i dla dzieci, i dla przedsiębiorców, bo tylko to drugie jest słuszne. Dlatego „wypowiedzi o 500+ przypominają cuda czynione przez świętych. Tych pieniędzy nie ma, a rozdajemy pieniądze biednym i bogatym tylko po to, by mieli dzieci" (to słowa z czerwca 2017 r.).

Ale pieniądze się znalazły, choć Balcerowicz przewidywał, że „wskutek epidemii z pewnością spadną wpływy podatkowe, więc trudno będzie utrzymać wydatki i dług państwa na bezpiecznym poziomie". Nic z tego się nie sprawdziło, a Polska należy do ścisłej czołówki państw, które już mają większą produkcję niż przed pandemią. To jednak nieważne. Ważna jest wierność liberalnej doktrynie. Jak w wypadku PGR: „Dla mnie przejawem aberracji było popularne rozdzieranie szat nad PGR-ami. [...] Ratowanie PGR-ów byłoby ratowaniem najgorszej części socjalizmu". Tyle że nie chodziło o ratowanie PGR, lecz ludzi tam zatrudnionych, których po prostu wyrzucono na bruk. Ale Balcerowicz „nie przejmuje się głupią czy demagogiczną krytyką". Platforma i Tusk trochę się przejmują, dlatego będą realizować nowy plan Balcerowicza, tylko on sam zostanie schowany. Bo przecież nie można otwarcie pokazywać kogoś, kto apeluje, by „ograniczyć wydatki emerytalne" oraz „zaniechać kolejnych przywilejów, jak 13. i 14. emerytury". Nie można wszak prowadzić „zdegenerowanej polityki gospodarczej", co przeszkadza ponoć w „doganianiu Zachodu". Żeby doganiać, „konieczne jest ograniczenie polityki rozdawnictwa". Nieważne, że Polska nigdy tak szybko nie „doganiała" jak za rządów PiS.

ŻEBY BYŁO TAK, JAK BYŁO, TYLKO BARDZIEJ

Tusk jeździ po Polsce i opowiada bajki o konieczności zajęcia się zwykłymi Polakami, ale dla niego zwykły Polak to tylko przedsiębiorca, który ponoć cierpi podczas rządów PiS. Czyli Tusk mówi Balcerowiczem. Przewodniczący PO mami ludzi, że nie cofnie 500+ czy innych zdobyczy socjalnych, ale na jego zapleczu trwają analizy, kiedy i w jakiej skali można by wszystko cofnąć, gdyby Platforma wróciła do władzy. Nie chodzi tylko o uznanie, że polityka socjalna rządów PiS była i jest szkodliwa, ale też o ukaranie wyborców PiS za to, że wynieśli tę partię do władzy. Cofnięcie reform i zdobyczy socjalnych rządów PiS, ale dopiero po ewentualnie wygranych wyborach, miałoby być sposobem na wzbudzenie w wyborcach partii Jarosława Kaczyńskiego apatii i zniechęcenie do uczestnictwa w wyborach. Cofnięcie reform PiS ma być przedstawiane jako skończenie z pasożytowaniem ludzi biedniejszych, biernych i niezaradnych na tych przedsiębiorczych, aktywnych i mających wysokie aspiracje. Mamy więc Balcerowicza w czystej postaci. Odmrożenie metod Balcerowicza ma być też sposobem na poradzenie sobie z wysokim deficytem i narastającym długiem, z czym rządy Tuska i Kopacz nigdy sobie nie radziły. Głównie dlatego, że te rządy nie chciały uderzać we własne grupy interesów i klientelę, w tym w międzynarodowe koncerny. I gdyby odzyskały władzę, znowu te grupy i klientela byłyby uprzywilejowane.

> Platforma i Tusk będą realizować nowy plan Balcerowicza, tylko on sam zostanie schowany. Bo przecież nie można otwarcie pokazywać kogoś, kto apeluje, by „ograniczyć wydatki emerytalne"

Uderzenie w Polaków nowym planem Balcerowicza miałoby w dużym stopniu zmienić strukturę społeczną w Polsce. Tak, żeby wyróżnić i wzbogacić grupy, które wcześniej popierały PO, a zepchnąć do defensywy i osłabić ekonomicznie grupy, które doświadczyły największego awansu cywilizacyjnego właśnie za rządów PiS. Uderzenie terapią szokową miałoby przywrócić zachwiane w ostatnich siedmiu latach hierarchie społeczne i wyeliminować nowe elity oraz nowe hierarchie prestiżu. Czyli byłoby to przedsięwzięcie z zakresu inżynierii społecznej. Zresztą z Balcerowiczem związana już jest inżynieria społeczna praktykowana na początku lat 90. oraz pod koniec tamtej dekady, co doprowadziło w Polsce do ogromnego ekonomicznego i społecznego rozwarstwienia. Równość wobec prawa oraz awans ekonomiczny milionów Polaków są główną przeszkodą w wygrywaniu wyborów przez liberałów i liberalną lewicę, dlatego dążono by do jeszcze większego rozwarstwienia społeczeństwa w razie wygrania wyborów.

Po latach PO i inne ugrupowania liberalne uświadomiły sobie, że Balcerowicz nie tylko umożliwił przejście w nowy system postkomunistycznych elit, lecz przede wszystkim tak zmienił struktury społeczne, by dominowała (ekonomicznie, pod względem wykształcenia, w zajmowaniu ważnych stanowisk i utrzymania dominacji) klientela takich partii jak Unia Demokratyczna, Unia Wolności czy Platforma Obywatelska. Balcerowicz jest utożsamiany ze złotym wiekiem dla klas i grup, które jego polityka wyłoniła i wzmocniła, dlatego jego powrót (nawet bez niego osobiście) ma być sposobem na przywrócenie tego złotego wieku, czyli sprawienie, żeby było tak, jak było, tylko bardziej.

eprasa.pl 062fd4e8ab

Skromny jak Tusk

Donald Tusk wyjechał w Polskę na fali powszechnego narzekania, chcąc w ten sposób wzmocnić przekaz, że gospodarka się wali i czeka nas ubóstwo. Dzieląc wyborców na lepszych i gorszych, rewolucji antypisowskiej jednak raczej nie wywoła

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Podczas zorganizowanego w drugiej połowie stycznia objazdu po Polsce Donald Tusk ostro atakował Polski Ład, punktował wzrost cen i wysłuchiwał – przynajmniej na użytek publiczny – narzekań na pogarszające się warunki życia i prowadzenia biznesu. Sam przedstawiał się jako człowiek skromnie żyjący, choć nie są żadną tajemnicą jego gigantyczne – jak na polskie warunki – dochody, które uzyskał najpierw jako szef Rady Europejskiej, a potem jako przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej. Również jego przyszła emerytura – jak wynika z przeliczeń – będzie zawrotna, wyniesie bowiem miesięcznie ok. 30 tys. zł.

W tym sensie Tusk, znany miłośnik drogich cygar, rzeczywiście może narzekać na obecne polskie porządki. Ludzie z zarobkami takimi jak on, z pewnością będą musieli coś z nich oddać państwu. Dlatego też były premier, krążąc po Polsce, nie brał udziału w spontanicznie organizowanych wiecach, spotkałby bowiem na nich ludzi zupełnie innych niż on sam. A Tusk nie lubi debatować z tymi, którzy mają odmienne zdanie. Dlatego też jego współpracownicy podsuwali mu

Fot. Jacek Dominski/REPORTER

eprasa.pl 062fd4e8ab

starannie dobranych rozmówców, zwykle lokalnych przedsiębiorców wspierających opozycję, z którymi lider PO prowadził kameralne pogawędki o trudach życia w pisowskiej Polsce. Można więc powiedzieć: sami swoi.

PRETEKST DO MOBILIZACJI

Nową jakością jest fakt, że Donald Tusk dał się w ogóle namówić do wizytowania polskiej prowincji. Inna rzecz, że po tygodniu biesiadowania z zupełnie mu nieznanymi ludźmi najwyraźniej dopadło go tradycyjne znużenie, podobnie zresztą jak podczas słynnego „objazdu" po „triumfalnym" powrocie do Polski, gdy opadł z sił po bodaj jednej wizycie na Pomorzu Zachodnim.

Ekipa Tuska uznała jednak, że lider opozycji powinien się wreszcie wyrwać ze swojej bańki zawieszonej między tabunem wyznawców na Twitterze a licznymi pochlebcami nadającymi za pośrednictwem TVN i „Newsweeka". Oczywiście nie chodziło o to, aby Tusk poszedł między lud. Ryzyko, że zostałby wygwizdany, jest ciągle zbyt wysokie. Idea była inna, aby swoją obecnością zmobilizował tych, którzy i tak go popierają.

Pretekst trafił się pyszny – reforma podatkowa Polskiego Ładu. Z powodu pośpiechu i próby pogodzenia w niej wielu często wzajemnie sprzecznych interesów okazała się zbyt skomplikowana, aby – mimo swoich generalnie słusznych założeń – stać się wizerunkowym sukcesem rządu. Tusk wyjechał więc w Polskę na fali powszechnego narzekania, chcąc w ten sposób wzmocnić przekaz, że gospodarka się wali i wkrótce czeka nas ubóstwo. A on sam jest wyrazicielem społecznych obaw oraz spowiednikiem poszkodowanych.

Rzecz jasna, Tusk ma gdzieś troski swoich „penitentów". Byli oni jedynie tłem dla jego demagogicznych wystąpień uderzających w rząd oraz w polityczną konkurencję, również tę w jego własnym obozie. Chodziło bowiem o to, aby pokazać go jako energicznego lidera całej opozycji, który swoją wiarygodność czerpie rzekomo z zaangażowania w ludzkie problemy. Właściwie niewiele to się różni od chwytów, które Tusk stosował jeszcze jako premier. Wtedy też urządzał niekończące się „wizyty gospodarskie", podczas których wysłuchiwał przed kamerami codziennych trosk onieśmielonych obywateli. I niewiele z tego wynikało, poza ekscytacją lemingów zachwycających się przed telewizorami operatywnością ich ukochanego pana premiera. Oraz poza dość złudnym zresztą przekonaniem całej Platformy, że Tusk posiadł nadzwyczajną umiejętność komunikacji ze społeczeństwem, a zatem jest jedynym gwarantem długich i stabilnych rządów. Dziś Tusk gra podobnie.

DEMAGOGIA I BUJDY

Trzeba zwrócić uwagę, że podczas swoich biesiad z przedsiębiorcami Tusk nie znalazł dla nich dobrego słowa. Bo stwierdzenia, że w obecnej sytuacji będą musieli zwolnić pracowników lub obniżyć im pensje, trudno uznać za konstruktywne rady. Ale nie chodziło przecież o to, aby kogokolwiek pocieszać. Przeciwnie, Tusk pojechał w Polskę, aby straszyć i wywoływać gniew. Oczywiście adresatem tego gniewu miał być rząd, którego polityka miała jakoby doprowadzić przedsiębiorców do tak dramatycznych decyzji.

> Najbardziej żenujące jest to, że ci, którzy odmawiają innym prawa do lepszego życia, sami chętnie wyciągają do znienawidzonego „reżimu" łapy o pomoc. W internecie roi się od takich przykładów

Dlatego po wspólnym narzekaniu Tusk występował z publicznymi oświadczeniami, w których obarczał PiS winą za wszelkie katastrofy tego świata. Inflacja to – jego zdaniem – wyłącznie wina prezesa NBP Adama Glapińskiego, z kolei wysokie ceny energii to skutek marnotrawstwa pieniędzy, niedostosowania się rządu do unijnej polityki klimatycznej oraz „blokowania" przez rząd (!) Krajowego Planu Odbudowy. Oczywiście winy swoich byłych unijnych pracodawców nie widzi żadnej, swojej własnej również, choć ci o lepszej pamięci mogą sobie przypomnieć, jak w 2009 r. jego rząd obiecywał uruchomienie pierwszej elektrowni jądrowej w 2019 r. Powołano wówczas nawet spółkę celową, ale jedynym atomowym osiągnięciem jej zarządu były atomowe wynagrodzenia. Z kolei w 2010 r. rząd Tuska przedłużył kontrakt jamalski, bo przecież Rosja jest – jak twierdził Janusz Piechociński z PSL – solidnym dostawcą, a w przypadku jakichś problemów Zachód natychmiast będzie interweniował. Ot, strateg.

Szczytem demagogii Tuska są jego oskarżenia dotyczące niskich nakładów na służbę zdrowia, co biorąc pod uwagę to, że za czasów jego rządów de facto zlikwidowano wiele publicznych ośrodków zdrowia poza dużymi miastami, jest przykładem wyjątkowej hipokryzji. Obecne władze nie tylko musiały się zmierzyć z pobojowiskiem, które pozostawił po sobie Tusk, lecz również doprowadziły do tego, że realne nakłady na służbę zdrowia zaczęły rosnąć.

Co więcej, główny problem z tak krytykowaną przez Tuska reformą podatkową dotyczy właśnie składki zdrowotnej, której wysokość ma m.in. zależeć od wysokości zarobków, co oznacza, że bogatsi zapłacą więcej niż dotąd. To z oczywistych powodów nie może się im podobać, ale dotychczasowa sytuacja, w której najmniej zarabiający najbardziej dorzucali się do ochrony zdrowia, była patologią, której Tusk wolał nie widzieć. Dziś więc atakuje to rozwiązanie, bo jego klientela czuje się poszkodowana.

Widać tu wyraźnie, że Tusk nie ma nadziei na poszerzenie swojej bazy wyborczej. Świadomie odwołuje się więc do podziału na lepiej zarabiających (zaradnych, przedsiębiorczych) i tych o niskich dochodach (przegrywów, pasożytów żyjących z socjalu), stając wyraźnie po stronie tych pierwszych. Nic nowego. Do podziału na bogatych i hołotę przyzwyczajano Polaków od początku istnienia III RP. Podobnie jak do pogardy wobec tych stojących niżej w ekonomicznej hierarchii.

ZEMSTA NA HOŁOCIE

Pogarda wobec prymitywnej tłuszczy przekupionej przez PiS socjalnymi prezentami była od chwili utraty władzy przez PO-PSL

eprasa.pl 062fd4e8ab

w 2015 r. głównym paliwem antypisu. Była to pogarda tak silna, że zaczęła przyjmować formę histerycznej obsesji i nienawiści, żeby wspomnieć choćby o nieszczęsnym prof. Ludwiku Turce, dla którego zwolennicy PiS to sikająca na podłogę bekająca hołota, o prof. Zbigniewie Mikołejce, nazywającym wyborców prawicy wprost chamami, o Krystynie Jandzie czującej się dziś w Polsce, jakby ktoś na nią „srał", czy o Agacie Młynarskiej, której tłumy prowincjonalnych ćwoków przeszkadzały w uprawianiu jogi na bałtyckiej plaży.

Tusk gładko wchodzi dziś w tę pogardę, podsyca ją, stając się ambasadorem takich postaw. Daje otwarcie do zrozumienia, że nie będzie się pochylał nad tymi, których kiedyś – jako premier – ignorował i którzy potem, w odpowiedzi na jego politykę, gremialnie poparli PiS. Charakterystyczna jest tutaj admiracja postaci Leszka Balcerowicza przy okazji jego jubileuszu 75. urodzin. Politykę Balcerowicza, którego ortodoksyjny, neoficki monetaryzm w latach 90. wepchnął miliony Polaków w ubóstwo, zaczęto dziś w Platformie przedstawiać jako skuteczny model reformy gospodarczej. Można to odczytywać tak, że pod pozorem walki z inflacją urządzimy wam, hołoto, podobne piekło jak kiedyś Balcerowicz. Taką politykę żądni zemsty zwolennicy Tuska przyjęliby przecież z radością.

Tusk oczywiście nie jest tak nieokrzesany jak wielu jego wyznawców, więc waży słowa. W przypadku 500+ stwierdził np., że w tej sprawie panuje ponadpartyjna zgoda, ale żeby program mógł nadal funkcjonować, potrzebne są oszczędności w innych sferach. Jak się można domyślać, nie chodzi mu o te najbogatsze sfery. Skoro bowiem 500+ musi już istnieć, to niech się zrzucą na niego ci, którzy zeń najbardziej korzystają. Czyli pojedziemy im pewnie po socjalu, a potem część tych pieniędzy łaskawy wujek Donald zwróci.

Wszystko to ładnie wpisuje się w oczekiwania najbogatszej klienteli Tuska. Skoro hołota chce kontynuacji 500+, to niech sobie to sama sfinansuje. Od naszych pieniędzy (zarobionych lub wykradzionych dzięki różnym optymalizacjom podatkowym) wara. Nie jesteśmy przecież jednym i tym samym społeczeństwem. Przychylność wobec takich prostackich postaw jest chyba jedną z najbardziej destrukcyjnych cech polityki Tuska i dużej części antypisu.

PIENIĘDZMI SIĘ NIE BRZYDZĄ

Najbardziej żenujące jest w tym wszystkim to, że ci, którzy odmawiają innym prawa do lepszego życia, sami chętnie wyciągają do znienawidzonego „reżimu" swoje łapy o pomoc. W internecie aż się roi od takich przykładów. Głośno było ostatnio o właścicielu sklepu dla biegaczy na warszawskim Ursynowie, który wywiesił na drzwiach informację, że zwolennicy PiS będą u niego płacić o 50 proc. więcej. Dlaczego? Ano dlatego, że popierają Polski Ład, a macher od joggingu na nim jakoby stracił. Poza tym – jak można się domyślać – brzydzi się on pisowcami. Szybka kwerenda przeprowadzona przez internautów pokazała jednak, że ów „pokrzywdzony" przez PiS sklepikarz zgarnął w ramach pomocy od wstrętnego mu „reżimu" ponad 73 tys. zł pomocy publicznej.

Co więcej, okazało się także, że wszyscy – dosłownie wszyscy – przedsiębiorcy odwiedzeni przez Tuska w trakcie jego objazdu po Polsce, tak zafrasowani perspektywą obniżek pensji i wyrzucania pracowników na bruk, również brali od rządu, ile tylko się dało. Pan Tomek, restaurator z Łomży, otrzymał 369 tys. zł pomocy, właściciele hotelu w Zambrowie – 40 tys. zł, chłodnia w Tomaszowie Mazowieckim – blisko 700 tys. zł, a salon fryzjerski w Pabianicach – ok. 300 tys. zł. Ba – nawet fundacja walczącego z Polskim Ładem Leszka Balcerowicza zainkasowała 35,5 tys. zł z tarczy covidowej. Gdyby więc chcieć pójść tropem niespecjalnie wyrafinowanego ursynowskiego sklepikarza, to zwolennicy PiS powinni teraz od tych przedsiębiorców zażądać darmowych usług, bo przecież na ich interesy zrzuciliśmy się my wszyscy, bez względu na nasze poglądy i majątki. Inna rzecz, że to chyba niezbyt zaradni przedsiębiorcy, skoro mimo pomocy od rządu straszą zwalnianiem pracowników. Nie chcę przecież ich podejrzewać, że grubą gotówkę z naszych podatków przepuścili na wakacje lub na nowe auto. Tak robi tylko hołota od 500+.

To wszystko można jeszcze zrozumieć, w końcu jak dają, to można brać. Jednak zupełnie niepojęte jest to, że suto dofinansowani przedsiębiorcy chcą zwalczać rząd, który im pomógł w kłopotach. Tymczasem – jak wynika z publicznie dostępnych danych – za czasów Tuska nigdy nie dostali od państwa ani grosza, albo – jeśli już – to marne ochłapy. Nikt z nich wtedy nie zyskał więcej, przynajmniej jeśli chodzi o oficjalnie rejestrowane dochody, niż dziś, gdy rządzi PiS. Pokazuje to trudne do zrozumienia całkowite stwardnienie mózgów, bo to trochę tak, jakby uczeń, mając do wyboru dwóch egzaminatorów – jednego, u którego wszyscy oblewają, i drugiego, który stawia dobre oceny – wybrał tego, który oblewa.

Dla rządu zaś taka płynie z tego nauka, że polityczni fiksaci nie są w stanie docenić pomocy przyznanej im na równych zasadach. Oni gotowi są nawet zbankrutować, byleby tylko do władzy wrócił Tusk z ekipą. O tym, co może być podłożem tak silnych, negatywnych emocji, powinni się jednak wypowiadać specjaliści.

Chyba że nie chodzi o emocje, ale o kwestię ściągalności podatków. Za Tuska straty na podatku VAT były gigantyczne i gdzieś te pieniądze, znacznie większe niż obecna pomoc rządu, musiały trafiać, a dziś już nie trafiają.

HULAJNOGA

Na razie Donald Tusk chyba zrezygnował z podróży po Polsce. Jednak obok znużenia kampanią może być jeszcze jeden powód. Wszyscy jego rozmówcy okazali się beneficjentami rządu PiS, co ośmieszyło zarówno ich samych, jak i biadolącego wspólnie z nimi Tuska.

Swoją akcję Tusk dokumentował na YouTubie. I tutaj też poniósł porażkę. Filmiki z biesiad byłego premiera obejrzało średnio po kilka tysięcy osób. Dla porównania przeciętni blogerzy osiągają oglądalność na poziomie kilkudziesięciu tysięcy, a ci najlepsi idą w miliony odsłon. Pewnym komentarzem może być tu fakt, że największą popularnością spośród filmów na kanale Tuska osiągnął w ostatnim czasie ten, na którym były premier jedzie na hulajnodze.

Rewolucji antypisowskiej Tusk w ten sposób raczej nie wywoła. Chyba że rzeczywiście chodzi mu jedynie o to, aby podkreślić swoją rolę lidera opozycji. Jednak społeczny koszt takiej akcji, w której mobilizuje się swoich wyborców, podgrzewając wśród nich uczucie pogardy wobec oponentów, będzie dla Polski wysoki. Podobnie zresztą jak całej działalności Tuska i jego ekipy.

eprasa.pl 062fd4e8ab

Teatrzyk u Grodzkiego

Senacka nadzwyczajna komisja pod przewodnictwem Marcina Bosackiego niczego nie wyjaśni, bo wcale nie ma takiego zamiaru. Wyrok już wydała. Teraz go tylko powtarza, zbiera amunicję do kolejnych propagandowych wojenek i kompromituje parlament

MAREK PYZA

„Komisja Nadzwyczajna do spraw wyjaśnienia przypadków nielegalnej inwigilacji, ich wpływu na proces wyborczy w Rzeczypospolitej Polskiej oraz reformy służb specjalnych". Taką nazwę opozycja nadała swojemu najnowszemu cepowi, którym chce okładać obóz władzy. W zasadzie po zapoznaniu się z nazwą komisji można by się nią dalej nie zajmować, bo jeśli już tu zawiera się stwierdzenie o istnieniu „nielegalnej inwigilacji", to nie ma czego dalej ustalać. Ta komisja niestety jednak „pracuje" – zbiera się na posiedzeniach, ogłasza nazwiska osób do wysłuchania, zadaje pytania, prowadzi transmisje obrad itd. Robi wszystko tak, by wyglądało, że jest komisją śledczą.

POKAZÓWKA

Marcin Bosacki, niegdyś dziennikarz „Gazety Wyborczej", później dyplomata PO w Toronto (tym samym Toronto, w którym siedzibę ma CitizenLab), bardzo dba o to, by utwardzać przekaz – na koniec każdego posiedzenia dokonuje podsumowania, powtarzając najważniejsze polityczne tyrady, jakie padły na sali, i streszczając główne tezy wysłuchiwanych. Taki brief dla mniej uważnych.

Poza tym komisja najpiękniej jak potrafi udaje komisję śledczą. Senatorowie usadowieni są za podłużnym stołem dla przesłuchujących, inaczej niż w przypadku pozostałych (nawet nadzwyczajnych) senackich komisji. Naprzeciw czekają stolik i krzesło dla wysłuchiwanego. Mniej zorientowanym ma się wydawać, że to tożsame gremium z tymi, które badały różnorakie afery w przeszłości. Widzowie to lubią, transmisje zawsze cieszyły się sporą popularnością, więc i tu próbuje się zbudować wrażenie, że obraduje jakieś poważne ciało coś wyjaśniające.

Lecz mamy do czynienia nie tylko z kabaretową atrapą komisji śledczej, lecz organem wręcz uwłaczającym doniosłości „izby refleksji".

O tym, jak wyglądają prace komisji śledczych, wyżej podpisany wie sporo. Dość wnikliwie obserwował bowiem niemal wszystkie dotychczasowe parlamentarne śledztwa (od „rywinowego" do „naciskowego"), a te dotyczące afery hazardowej i Amber Gold relacjonował na bieżąco.

Na tym tle senacka komisja nadzwyczajna po prostu się kompromituje. I jest to najdelikatniejsze określenie, jakiego można użyć.

Tu nikt nie składa przysięgi, ale nie powinno to oznaczać, że może pleść androny, a tak właśnie się dzieje. Nikt nie może być przed tę komisję wezwany, a co najwyżej zaproszony. Może więc z tego

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 062fd4e8ab

zaproszenia nie skorzystać i nawet najbardziej karkołomna interpretacja prawa nie pozwala na wyciąganie wniosku, że np. Mariusz Kamiński, odmawiając przybycia, łamie konstytucję. A na takie właśnie tezy pozwala sobie Bosacki.

JEDNYM GŁOSEM

Przyłóżmy lupę do pracy senatorów. Jako materiał badawczy przyjmijmy ubiegłotygodniowe wysłuchania. Gościem jest Roman Giertych. To pierwszy polski świadek, który uczestniczy w posiedzeniu zdalnie. Wcześniej nawet prawnicy z Uniwersytetu Jagiellońskiego pofatygowali się na Wiejską, by spotkać się z senatorami. Giertych nie. Czy dlatego, że wciąż przebywa we Włoszech, ukrywając się przed organami ścigania, by te nie mogły postawić mu kolejnych zarzutów w aferze gospodarczej dotyczącej wyprowadzenia kilkudziesięciu milionów złotych?

Żaden z senatorów go o to nie zapytał. Co zaś ich ciekawiło? Tu leży pies pogrzebany. Nie ma większego znaczenia, co mówią w Senacie Krzysztof Brejza, Roman Giertych czy Ewa Wrzosek. Nic nowego ani przełomowego z ich ust nie padło, wszystko już mówili w licznych wystąpieniach i wywiadach. Ważniejsze od odpowiedzi są bowiem pytania.

Pierwsze od Marcina Bosackiego: „Jak pan uważa, dlaczego był inwigilowany?". Giertych może tu swobodnie opowiadać o swoim sprzeciwie wobec działań CBA w 2007 r. względem Andrzeja Leppera i późniejszym żądaniu dymisji Mariusza Kamińskiego. Może snuć absurdalną narrację o zemście obecnie nadzorujących służby. Jak mówi, w 2015 r. było dla niego oczywiste, że będzie jednym z pierwszych celów służb, a „przyczyną, dla której go inwigilowano, była inwigilacja Donalda Tuska". Trzeba jakoś na tego Tuska skręcać, nawet na siłę, skoro niedawno się okazało, że jego telefon nie był inwigilowany. Mecenas buduje napięcie. Oznajmia nagle, że inwigilowano go nawet na terenie Watykanu, gdy przygotowywał audiencję szefa RE u papieża. Mówi tak, że słuchacze mogą pomyśleć, iż służby PiS niemalże podsłuchiwały Ojca Świętego. Jakie ma na to dowody? Żadnych. Ale nikt go o nie pyta. Nikt mu nie przerywa, bo o takie właśnie występy chodzi w tej zabawie.

Pytanie Sławomira Rybickiego (PO) przytaczamy obszernie, by jak najwierniej oddać „obiektywizm" senatora: „Inwigilowanie pana – podobnie jak senatora Brejzy – obrazuje, unaocznia opinii publicznej cały mechanizm nielegalnego, motywowanego – nie mam wątpliwości – politycznie ciągu technologicznego, który przy użyciu służb specjalnych, prokuratury i mediów publicznych – właściwsza nazwa to media rządowe – używając oprogramowania, które jest cyberbronią używaną w innych państwach demokratycznych raczej do walki z terroryzmem po to, aby zmanipulować opinię publiczną wykradzionymi podczas tej nielegalnej akcji mailami. [...] Gdyby pan zechciał taki jeden ciąg technologiczny, manipulowania informacjami nam przypomnieć". Mecenas odpowiednio wszedł w rolę i „ciąg" potwierdził.

> Mamy tu do czynienia nie tylko z kabaretową atrapą komisji śledczej, ale organem wręcz uwłaczającym doniosłości „izby refleksji"

Magdalena Kochan (PO) w pierwszych słowach po zabraniu głosu: „Panie mecenasie, proszę przyjąć moje wyrazy najwyższego uznania dla pana takiej jednoznacznie niezłomnej i odważnej postawy, za którą płaci nie tylko pan, ale i pańska rodzina". Po takim wstępie Giertych jeszcze lepiej wie, że może pozwolić sobie na dowolne oskarżenia. Mówi więc, że „mamy do czynienia ze zorganizowaną grupą przestępczą, która od lat inwigiluje opozycję oraz koalicję i kopiuje metody SB".

Opowiada bzdury, że włamanie na telefon Pegasusem oznacza przejęcie haseł logowania do różnych narzędzi, co wcale nie jest jednoznaczne. Dzieli się sensacyjnie brzmiącym doniesieniem, iż eksperci z Citizen Lab mieli mu powiedzieć, że większość podsłuchów Pegasusem wcale nie dotyczy opozycji. „20 proc. na opozycję, a 80 proc. na swoich". Skąd panowie z Toronto to wiedzą? Na jakiej podstawie to ustalili? Jakie są na to dowody? Nieważne. Nikt nie przerywa, mecenas ciągnie więc swoją opowieść, zupełnie jakby czytał którąś ze swoich książek, pełną chybionych analiz politycznych. Wskazuje, że Michał Kołodziejczak był „oczywistym przedmiotem. zainteresowania służb" w 2019 r., bo jego Agrounia „mogłaby zabrać kilka procent PiS-owi". Ciekawe, czy miał na myśli taki odsetek Polaków, jaki wie o istnieniu zadymiarskiej organizacji Kołodziejczaka, „zwykłego chłopa" (jak o sobie mówi) w lexusie i z najnowszym iPhone'em. Mecenas poleca też sprawdzenie telefonów Arturowi Balazsowi, Annie Siarkowskiej, Janowi Krzysztofowi Ardanowskiemu i urzędnikom prezydenta Andrzeja Dudy. Sugeruje, by sprawdzili także np. swoich „szwagrów, którzy pracują w działalności gospodarczej". Robi się wesoło, choć komisja wciąż udaje poważne gremium.

Giertycha pytano też, jak ocenia stan legislacji w kwestii nadzoru nad służbami specjalnymi albo: „Czy rzeczywiście państwo nadużywa przywilejów i możliwości, by inwigilować społeczeństwo?".

To ostatnie pytanie, autorstwa Wadima Tyszkiewicza (niezrzeszony), padło po jego stwierdzeniu, że „mamy do czynienia ze zorganizowaną grupą przestępczą, ludźmi, którzy przekraczają granice prawa, to prawo łamią". Doskonała zbieżność poglądów wysłuchiwanego i wysłuchującego!

Ten sam senator docieka, czy mecenas „planuje jakieś procesy wobec zorganizowanej grupy przestępczej, której stał się ofiarą". Przypomnijmy: przed komisją zasiada człowiek, który by nie dopuścić do postawienia mu zarzutów przestępstw gospodarczych, omdlewał, dziś nie wraca zaś do kraju, by nie zostać zatrzymanym.

eprasa.pl 062fd4e8ab

Gabrielę Morawską-Stanecką (PPS) interesuje, czy w efekcie całej operacji CBA i „szkalowania przez telewizję" poniósł straty finansowe i czy zamierza wobec tego podjąć kroki prawne. Michał Kamiński (PSL-KP) doprawia posiedzenie szczyptą charakterystycznego dlań humoru: „Jak bardzo jest pan groźnym przestępcą, panie mecenasie?". Do głosu ponownie dochodzi senator Rybicki. Przejętym głosem mówi o „kolosalnym wrażeniu", jakie zrobiły na nim słowa Giertycha, jakoby „naturalnym kandydatem do inwigilowania" był Kołodziejczak.

Po półtorej godzinie zadowolone grono robi sobie przerwę. Na sali pojawia się Wojciech Hermeliński, były sędzia Trybunału Konstytucyjnego i były szef Państwowej Komisji Wyborczej. Jak w kwestii Pegasusa wykorzystać takiego eksperta (znanego krytyka poczynań obecnej władzy)? Cóż może on wnieść do sprawy? Senator Tyszkiewicz od początku jest na odpowiednich torach i zaczyna od pytania: „Co zrobić, by wybory w Polsce były uczciwe? Czy nieuczciwe wybory mogą być legalne?".

Sławomir Rybicki prosi zaś o „ogólną ocenę stanu praworządności w Polsce". Groteska trwa w najlepsze.

„PUŚĆMY WODZE FANTAZJI…"

Czwartek, kolejne posiedzenie. Stawia się prokurator Ewa Wrzosek. Lecz zanim rozpocznie się pogawędka z nią, przewodniczący Bosacki zdąży niemal na jednym wdechu stwierdzić, że „udowodniono liczne akty nielegalnego podsłuchu polskich obywateli", by po chwili dodać, że Senat powierzył komisji m.in. „misję ustalenia, czy doszło do nielegalnych podsłuchów". A zatem misja jest już wykonana, czy jeszcze trwa? Można słuchać uważnie, a i tak się pogubić.

Dalej według sprawdzonego już scenariusza. Bosacki: „Dlaczego pani zdaniem była pani inwigilowana?". Tyszkiewicz: „Jeśli była zgoda sądu na inwigilowanie pani prokurator, to jak pani myśli, jakimi przesłankami kierował się sąd, wydając zgodę na to inwigilowanie?". Kamiński: „Mam pewną teorię i chciałbym zapytać, co pani o niej sądzi. To, co panią spotkało, jest solą tej samej wojny, przez którą Polacy nie otrzymują dziś pieniędzy z UE [...] to chęć politycznej kontroli nad wymiarem sprawiedliwości". Kochan: „To bardzo mocne słowa, ja naprawdę współczuję po ludzku momentu, gdy zdała sobie pani sprawę z inwigilacji".

> Nie ma większego znaczenia, co mówią przed komisją Brejza, Giertych czy Wrzosek. Nic nowego ani przełomowego z ich ust nie padło, wszystko już mówili w licznych wystąpieniach i wywiadach. Ważniejsze od odpowiedzi są bowiem pytania

Pani prokurator potwierdza wszystkie „obawy" senatorów, na sali – jak dzień wcześniej – znów panuje jednomyślność. Wrzosek skupia się na swoich przemyśleniach, jakoby używanie Pegasusa było nielegalne w polskim systemie prawnym. Ciekawe, jak prowadziłaby śledztwa dotyczące poważnych grup przestępczych (gdyby pracowała w wyższej hierarchicznie jednostce), które nie kontaktują się za pomocą zwykłych połączeń telefonicznych, lecz komunikatorów internetowych. Gdyby nie narzędzia, jakimi dysponuje CBA, dziś nie wiedzielibyśmy np., że Sławomir Nowak poprzez WhatsApp licytował obrazy Dwurnika, za które płacił pieniędzmi z łapówek. Po kilku minutach można nawet zrozumieć, że pani Wrzosek nie zdaje sobie sprawy z materii, o której mówi, skoro – jak przyznała – jako prokurator nigdy nie występowała do sądu z wnioskiem o kontrolę operacyjną.

Wystąpienia takie jak jej prowadzą do wybicia zębów państwu i jego organom ścigania, uczynienia go bezradnym wobec np. gangsterów czy przestępców w białych kołnierzykach. Senatorów to nie martwi.

Głos zabiera Jacek Bury (Polska 2050): „Pani prokurator, puśćmy wodze fantazji. Wiemy, że Pegasus jest bronią cybernetyczną. [...] Rozumiem, że pani się nie czuje terrorystą, nie jest pani przestępcą. [...] I tu fantazja: może kto inny panią zaatakował, stała się pani niewygodna dla służb rosyjskich, izraelskich?". Gabriela Morawska-Stanecka zaś się oburza, że mamy do czynienia z systemem, który podsłuchuje nawet w kościele: „Gdybym siedziała blisko konfesjonału, to ten system ściągałby, jak się ludzie spowiadają".

Dla pełnego obrazu senackiej powagi jeszcze taki dialog. Michał Kamiński: „Jak pani pod rządami Zbigniewa Ziobry, jako ministra sprawiedliwości, jest wykorzystywana w tej drabinie [prokuratorskiej – przyp. red.]? Czy pani uważa, że jest wykorzystywana zgodnie z pani kompetencjami?". Ewa Wrzosek: „Państwo polskie marnotrawi moje doświadczenie zawodowe i szeregu prokuratorów, którzy po 2015 r. zostali zdegradowani na najniższy szczebel prokuratur rejonowych. [...] Znam się na swojej robocie i jestem ją w stanie wykonywać w każdym miejscu. Mogę prowadzić postępowania w sprawie kradzieży w sklepie czy włamania do samochodu i je prowadzę. Natomiast mam również świadomość, że osobami, które nadzorują moją pracę, są osoby, które ja uczyłam zawodu". Podkreśla, że nie chce ich dyskredytować, ale „siłą rzeczy te osoby nie mogą mieć takiego doświadczenia zawodowego". A zatem gdyby prokuratorem generalnym była pani Wrzosek, żaden gówniarz przed pięćdziesiątką nie mógłby liczyć na kierownicze stanowisko.

GONIĆ KRÓLICZKA

Jeżeli parlamentarzyści byliby realnie zainteresowani wyjaśnieniem tej sprawy, nie robiliby cyrków z powoły-

eprasa.pl 062fd4e8ab

waniem nadzwyczajnej komisji w Senacie. Nie potrzebowaliby nawet komisji śledczej w Sejmie. Do rozwiania ich wątpliwości wystarczyłaby zapewne sejmowa komisja ds. służb specjalnych. To tam zobowiązani tajnością posłowie mogliby np. zażądać wglądu do wniosków kierowanych do sądów w sprawie kontroli operacyjnych. Tyle że wówczas nie można by było urządzać sensacyjnego spektaklu w odcinkach, bo speckomisja zawsze obraduje za zamkniętymi drzwiami. I to mocno zamkniętymi, w specjalnej części sejmowego kompleksu, w strefie, w której zagłuszany jest nawet sygnał telefonii komórkowych. Parlamentarzystom nie wolno się dzielić informacjami uzyskanymi na posiedzeniach. Ale mogą one posłużyć np. do składania zawiadomień do prokuratury czy podejmowania innych kroków w przypadku natknięcia się na ślady nielegalnej działalności służb.

Jak pisaliśmy w ubiegłym tygodniu, jedno posiedzenie speckomisji w sprawie Pegasusa już się odbyło. 11 stycznia z posłami spotkali się szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego, dyrektor Biura Bezpieczeństwa Agencji Wywiadu, szef Służby Wywiadu Wojskowego, zastępca szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i szef Centralnego Biura Antykorupcyjnego. Po posiedzeniu zapadła cisza. Ich wyjaśnienia, jak wynika z naszych informacji, politycy opozycji przyjęli bez uwag. Następnego dnia zaś powołano senacką komisję nadzwyczajną.

Podkreślmy: zarówno mecenas Giertych, pani prokurator Wrzosek, jak i senatorowie opozycji mają prawo do stawiania dowolnych tez, oskarżeń (w granicach prawa), do wszelkiej krytyki władzy. Ale może niech już zrealizują ten sojusz ponad podziałami, zjednoczą się totalnie i urządzają tego typu występy w ramach działalności partyjnej, a nie wykorzystują do tego Senat i udają rzeczowe śledztwo.

Albo niech – dla dobra Senatu – zadowolą się pohukiwaniami w mediach. Po co dublować swoją działalność? Senator Wadim Tyszkiewicz nie ogranicza się do wygłaszania swych błyskotliwych konkluzji tylko w czasie posiedzeń.

Fot. Andrzej Iwanczuk/REPORTER

> Jeżeli parlamentarzyści byliby realnie zainteresowani wyjaśnieniem tej sprawy, nie robiliby cyrków z powoływaniem nadzwyczajnej komisji w Senacie. Nie potrzebowaliby nawet komisji śledczej w Sejmie. Do rozwiania ich wątpliwości wystarczyłaby sejmowa komisja ds. służb specjalnych

Dzieli się nimi również w felietonach publikowanych m.in. przez portal natemat.pl. Jego ostatni wpis zaczyna się słowami: „PiS-owskie szambo wybija niemal każdego dnia, i to coraz mocniej, a mimo wszystko Kaczyński wciąż pływa na jego powierzchni, trzymając się kurczowo władzy, uczepiony choćby i jednej szmaty (tak na siebie sam kazał mówić Kukiz)". Tak wygląda klasa parlamentarzystów, którzy bawią się w wyjaśnianie „afery". Uzasadnione wydają się wątpliwości, czy Paweł Kukiz na pewno będzie miał ochotę z nimi współpracować.

Jeśli w Sejmie powstałaby komisja śledcza, miałaby oczywiście większe uprawnienia i więcej narzędzi do ustalania faktów, a nie wyciągania opinii od świadków. Lecz czy politycy opozycji w roli prawdziwych śledczych zechcieliby zmienić swój sposób działania (nic na to nie wskazuje) i czy Kukiz ma w sobie tyle determinacji, by na każdym posiedzeniu, co chwilę przywoływać członków komisji do porządku? Znając jego temperament, na długie sejmowe badanie sprawy mogłoby mu nie wystarczyć cierpliwości.

Warto też wspomnieć, że w polskim parlamencie istniała już kiedyś komisja śledcza badająca rzekome przekraczanie uprawnień przez ludzi PiS w podobnym obszarze. Jej obrady zakończyły się po trzech i pół roku stwierdzeniem przewodniczącego Andrzeja Czumy (PO): „Zarzuty wobec rządzących w latach 2005–2007 nie znalazły potwierdzenia".

eprasa.pl 062fd4e8ab

Dzieci i młodzież w kryzysie

W 2021 r. wśród polskich dzieci i młodzieży było prawie 500 prób samobójczych więcej niż rok wcześniej. Skok z wiaduktu pod ciężarówkę czy zawiśnięcie na drzewie w parku. To tylko niektóre przykłady udanych prób samobójczych. Nastolatki są w kryzysie. Jak im pomóc?

DOROTA ŁOSIEWICZ

Jak wynika z danych Komendy Głównej Policji, od stycznia do listopada 2021 r. aż 1339 nastolatków w wieku 7–18 lat próbowało odebrać sobie życie. Według rzecznika Komendy Głównej Policji inspektora Mariusza Ciarki każdego dnia w Polsce śmiercią samobójczą ginie kilkanaście osób.

PANDEMIA JAK TRAUMA

– Dzieci i młodzież są w głębokim kryzysie psychicznym, do stanu zagrożenia życia włącznie. Najmłodsza dziewczynka, która była przyjęta do oddziału psychiatrii dziecięcej w Łodzi po próbie samobójczej, miała osiem lat. To była bardzo poważna próba lekowa – opowiada Paulina Przyrowska, psychiatra dziecięca z Wojewódzkiego Specjalistycznego Szpitala im. M. Pirogowa w Łodzi i z Ambulatorium Stresu w tym samym mieście. Dr Kamila Lenkiewicz ze Środowiskowego Centrum Zdrowia Psychicznego dla Warszawy dodaje: – Od września, od momentu powrotu dzieci do szkół, obserwujemy znaczący wzrost nasilonych myśli samobójczych oraz podejmowanie działań samobójczych. Październik i listopad ubiegłego roku to był czas, kiedy bardzo często pojawiły się w mediach informacje o udanej próbie samobójczej podjętej przez jakiegoś nastolatka. Co więcej, podjęte działania były nakierowane na samobójstwo, a nie, przykładowo, na zwrócenie na siebie uwagi – mówi dr Lenkiewicz.

Środowisko psychologów, psychoterapeutów, psychiatrów jest zgodne, że covid, lockdown, nieprzewidywalne przechodzenie od stacjonarnej nauki do zdalnej odcisną głębokie piętno na psychice dzieci i młodzieży, a większość z nich może wyjść z pandemii z objawami PTSD, czyli zespołu stresu pourazowego.

– Gdy konsultuję sytuację z kolegami i koleżankami psychologami, psychiatrami, psychoterapeutami, to wszyscy się zgadzamy, że nigdy w naszej zawodowej karierze nie spotkaliśmy się z taką skalą problemów u młodych ludzi – mówi prof. Mariusz Jędrzejko, dyrektor naukowy Centrum Profilaktyki Społecznej. – W sposób gwałtowny rośnie nienormatywne odreagowanie stresów związanych z pandemią. W tej chwili mam pod opieką 14-letnie alkoholiczki i 17-letnich chłopców całkowicie uzależnionych od narkotyków – opowiada prof. Jędrzejko.

Zestawiając wyniki badań Health Behaviour in School-aged Children – HBSC przeprowadzone w populacji ogólnej młodzieży w Polsce w 2018 r. z nowymi danymi zebranymi przez Instytut Matki i Dziecka podczas pandemii na początku 2021 r. (ankieta online wśród młodzieży 11–18 lat), można zaobserwować negatywne zmiany w wielu obszarach związanych ze zdrowiem i zachowaniami zdrowotnymi młodych ludzi. Szczególnie często na złe samopoczucie skarżyły się dziewczęta. Co druga dziewczynka odczuwa bóle głowy i bóle pleców prawie w każdym tygodniu, a co trzecia bóle brzucha. Niepokojący jest fakt, że aż 2/3 dziewcząt i co drugi chłopiec odczuwa zmęczenie częściej niż raz w tygodniu lub prawie codziennie, a ponad połowa dziewcząt i 41 proc. chłopców skarży się na przygnębienie. Przed pandemią odsetek młodzieży oceniającej swoje zdrowie jako doskonałe wynosił 21 proc., w badaniach z okresu pandemii – jedynie 13 proc., natomiast odsetek młodzieży oceniającej swoje zdrowie jako słabe przed pandemią wynosił 2,4 proc., a w okresie pandemii zwiększył się aż pięciokrotnie, do 12,3 proc. Aż połowa 17-latków znajduje się obecnie w grupie ryzyka depresji. Przed pandemią odsetek był trzykrotnie niższy. Przez kolejny rok pandemii, częstych zbiorowych kwarantann, na które wielokrotnie

eprasa.pl 062fd4e8ab

były wysyłane klasy, kondycja dzieci i młodzieży raczej się nie poprawiła.

– Ta fatalna kondycja psychiczna wynika głównie z alienacji i zamknięcia dzieci w domach. Młodym ludziom towarzyszy lęk i brak przewidywalności – tłumaczy psychiatra Paulina Przyrowska. – Oni boją się o to, co będzie i jak będzie ze zdrowiem, z przyszłością. W wielu przypadkach nakłada się na to żałoba po stracie kogoś bliskiego. Zamknięcie oznacza także konieczność przebywania cały czas z domownikami. A w wieku rozwojowym kontakty rówieśnicze są najważniejsze. Rodzice nie są w stanie zastąpić tego kontaktu – dodaje ekspert.

Innym problemem, który zauważają w gabinetach psychoterapeuci i psychiatrzy, są samookaleczenia. – Te w ostatnim czasie znacznie się nasiliły. Pandemia nie tłumaczy wszystkiego, choć dużo. Wszyscy jesteśmy zmęczeni brakiem stabilności, przewidywalności, już nawet mniej lękiem przed chorobą – mówi dr Lenkiewicz. – Jesteśmy sfrustrowani, mamy mniejszą tolerancję na odmowę, na niezaspokojenie potrzeb. Skoro my, dorośli, jesteśmy w napięciu, to ono się udziela i dzieciom. Atmosfera gęstnieje. Stąd te próby samobójcze lub samookaleczenia – dodaje psychoterapeutka.

Prof. Jędrzejko zwraca uwagę, że doszło do zachwiania pamięci społecznej dzieci. – Dorośli musieli zrezygnować z części imprez rodzinnych i spotkań z przyjaciółmi. W ten sposób utraciłem 1/30 swoich relacji społecznych (dwa lata na 60 lat życia). Dzieci w te dwa lata utraciły 1/5, 1/6 swojej pamięci. W ten sposób przeszły do relacji cyberprzestrzennych, a tym brakuje mechanizmu budowania trwałych relacji społecznych. Jak dzieci

Fot. Shutterstock

są na podwórku, na boisku, w klasie, biorą udział w relacjach, które budują strukturę społeczną, hierarchię, przynależność do grupy. To oddziaływanie wielopłaszczyznowe tworzy wiele osób. Jednak dzieci chętnie uciekają w cyberświat i się do niego przyzwyczają, ponieważ ich mózgi szybko się tego uczą. To ma wpływ na zachowania depresyjne, bo gdy młody człowiek widzi zachowania, których nie zna, nie doświadczył, to ich nie rozumie – nie ma wątpliwości prof. Jędrzejko.

CYBERŚWIAT I SZKOŁA

– Media społecznościowe stały się teraz głównym sposobem na kontakt z rówieśnikami i szkołą. Stały się też jedynym obszarem, który budzi zainteresowanie. Stąd tyle uzależnień od mediów społecznościowych. Wyjście ze świata wirtualnego do rzeczywistego wiąże się z dużym lękiem, niepokojem i okazuje się dla młodych bardzo trudne – zauważa dr Przyrowska.

O destrukcyjnym wpływie cyberświata na mózg dzieci przekonany jest prof. Jędrzejko. – Mózg dziecka między 8. a 16. rokiem życia jest w dynamicznym rozwoju. Dziecko zanurzone w technologiach cyfrowych bardzo pobudza system neuroprzekaźnikowy, który odpowiada za uczucie przyjemności. Z tym że dorośli w normalnym życiu sprawiają sobie przyjemność tylko co jakiś czas. A technologie cyfrowe powodują to, że mózg jest nieustannie pobudzony endorfinami, dopaminą, serotoniną i gdy tak pobudzone dziecko wyciągane jest do normalnego życia i np. siada z rodzicami przy stole, to się nudzi. Woli wracać do swojego świata. Miałem ostatnio w ośrodku chłopca, który nie mógł usiedzieć bez telefonu. Nawet nie wiedział, która jest godzina, bo nie umiał odczytać z zegara – opowiada prof. Jędrzejko. – Jak to zbierzemy do kupy, to zobaczymy, że nie w pełni rozwinięte emocjonalnie i intelektualnie dzieci wrzucono w nowy świat. To nam się kumuluje w narastające zaburzenia – dodaje dyrektor naukowy Centrum Profilaktyki Społecznej.

Eksperci są zgodni co do tego, że problemy młodzieży pogłębiła także szkoła.

– Kolejną sprawą, która wpływa na psychiczną słabość dzieci, jest tragiczny model edukacji, który mamy w pandemii. Zamyka się szkoły, nie rozumiejąc, że edukacja online jest zupełnie inna niż ta w kontakcie twarzą w twarz – tłumaczy prof. Jędrzejko. – Powinna być więc oparta na innych podstawach programowych. W tej formie edukacji można przekazać maksimum 60 proc. wiedzy z tej, którą przekazuje się w klasie. Poza tym nauka odbywa się przy wyłączonych kamerach, a bez kontaktu wzrokowego pracują inne partycje mózgowe. Jednocześnie wymaga się od dzieci tego samego, więc one w sposób naturalny włączają mechanizmy obronne. Poza tym dzieciaki, będąc formalnie na lekcji, jednocześnie grają z kolegami w „sieciówkę". To zjawisko masowe w przypadku chłopców. W przypadku dziewczyn masowe jest przebywanie w social mediach – dodaje.

> Środowisko psychologów i psychiatrów jest zgodne, że covid, lockdown, przechodzenie od stacjonarnej nauki do zdalnej odcisną głębokie piętno na psychice dzieci i młodzieży. Większość z nich może wyjść z pandemii z objawami zespołu stresu pourazowego

Równie krytycznie ocenia sytuację w szkołach reszta moich rozmówców.

– Mimo że prawie cały ubiegły rok szkoły działały w trybie zdalnym, a i w tym brak jest przewidywalności, to jednak kładzie się duży nacisk na ocenianie, nadganianie tematów, nadrabianie zaległości itd. Tymczasem dzieci nie są na to przygotowane ani psychicznie, ani poznawczo. Wszyscy żyjemy ostatnio w permanentnym stresie, a ten wpływa na procesy poznawcze, możliwości koncentracji uwagi. Nie jest tak, że dzieci nie chciały się uczyć, tylko w takich warunkach miały obiektywne trudności z nauką. A teraz są oceniane, jakby normalnie do szkoły chodziły – zauważa psychiatra dziecięca Paulina Przyrowska. Dr Kamila Lenkiewicz dodaje: – Nauczyciele zaczęli intensywnie weryfikować wiedzę, która została zdobyta w czasie lockdownu. Często słyszymy od rodziców i dzieci o wysypie sprawdzianów, klasówek, kartkówek. Dzieci nie wytrzymują stresu wynikającego z ciągłego oceniania i udowadniania im, że czegoś nie wiedzą i nie umieją. Nauczyciele stoją na stanowisku, że muszą zweryfikować wiedzę, a jeszcze większy problem jest w klasach granicznych – ósmej, maturalnej. Tam i tak jest duży stres związany z egzaminem, a nauczyciele dodatkowo go podkręcają. W tej sytuacji młodym ludziom trudno poradzić sobie z napięciem i dlatego sięgają po tak drastyczne metody jak samookaleczenie, które redukuje napięcie. To działa trochę jak używka, jak alkohol – wyjaśnia terapeutka.

JAK IM POMÓC?

Co do tego, że polskie nastolatki są w złej kondycji psychicznej, nie trzeba przekonywać nikogo, kto ma dzieci i widzi, co się dzieje. Warto jednak poszukać odpowiedzi na pytanie, jak pomóc dzieciakom i młodzieży. Prof. Mariusz Jędrzejko jest przekonany, że dzieci i młodzież trzeba będzie na nowo uspołecznić. – Potrzebne będzie uruchomienie wszystkich możliwych form aktywności: boisk, klubów gminnych, miejskich, by dzieci znów włączyć społecznie. Jeśli to się nie uda, zostaną w tym swoim cyberświecie i już nie wyjdą – nie ma wątpliwości terapeuta.

A tuż za rogiem już czyha na młodzież metaverse, czyli wirtualna rzeczywistość 3D, w której będzie można imprezować i spotykać się ze znajomymi, nie ruszając się z kanapy. W tym świecie już otwierają się sklepy, w których można kupić markowe ubrania dla swojego awatara. Za prawdziwe pieniądze oczywiście.

– Dzieci trzeba będzie teraz z cyberświata wyciągnąć. Jednak ponieważ siedziały tam miesiącami, to miesią-

eprasa.pl 062fd4e8ab

Fot. Shutterstock

cami trzeba będzie walczyć. Nie wystarczy powiedzieć: „Nie wchodź na Instagram". Trzeba jeszcze dziecku pokazać alternatywę: koszykówkę, taniec, muzykę, plastykę, cokolwiek. Mózg nauczył się aktywności i nie można mu powiedzieć: „Stop". Dzieci od ekranów trzeba oderwać, bo same tego nie zrobią. Na pandemię nałożyła się sieć urządzeń, które mają intensywny wpływ na mózg dziecka, a pamięć społeczna ulega zacieraniu. Czeka nas więc odbudowanie pamięci społecznej przez różnego typu zachowania wspólnotowe. Dużym wyzwaniem będzie np. powrót dzieci do Kościoła. Za tym idzie bowiem system moralny, a dziś młodzież ma problem z odróżnieniem dobra od zła – nie ma wątpliwości prof. Jędrzejko. Zauważa jednocześnie, że rodzice muszą znów przejąć wpływ na wychowanie, na skutek procesów pandemicznych nastąpiło bowiem zachwianie wypełniania funkcji wychowawczej. – Część rodziców, którzy pracują zdalnie, może są w domu, ale muszą się zająć obowiązkami zawodowymi. W ten sposób dochodzi do rozchwiania relacji rodzinnych. Każdy np. dojada sobie w przelocie, zamiast usiąść wspólnie do stołu. To prowadzi do atomizacji rodziny. Poza tym rodzice stracili zdolność do przekazywania dzieciom porządku moralnego. Utracili tę zdolność masowo, ale to nie jest wina dzieci, tylko samych rodziców – zauważa prof. Jędrzejko.

O tym, że bez silnego zaangażowania rodziców się nie obejdzie, pewna jest także dr Przyrowska. – Uwaga rodziców jest najważniejsza. Bardzo ważna jest relacja, jaką zbudowaliśmy z dziećmi. Jeśli ona jest, młody człowiek będzie szukał oparcia w bliskich osobach. Jeśli relacji nie ma, a rodzice nie są uważni w odniesieniu do dziecka, to młodzież szuka dla siebie miejsca w sieci i często wpada w patologiczne mechanizmy radzenia sobie z problemami – nie ma wątpliwości ekspertka. – Jeśli rodzic jest uważny, to zauważy, że coś się dzieje z dzieckiem. Słowo klucz to „zmiana". Jeśli dziecko radosne staje się smutne i na odwrót, to już należy sądzić, że przydałaby się konsultacja psychologiczna. Nie zawsze od razu potrzebny jest psychiatra. Kryzys u dziecka, który z naszej perspektywy jest banalny, dla młodego człowieka jest całym światem. Po kilku spotkaniach z psychologiem, psychoterapeutą może się okazać, że kryzys łatwo daje się rozwiązać. Jeśli rodzic nie obserwuje swojego dziecka, nie wie, co się z nim dzieje, nie wyłapie zmiany, to z każdym dniem i tygodniem może być trudniej – nie ma wątpliwości specjalistka.

> Innym problemem, który zauważają w gabinetach psychiatrzy i psychoterapeuci, są samookaleczenia. – Te w ostatnim czasie znacznie się nasiliły – mówi dr Lenkiewicz

– To może zabrzmi trywialnie, ale trzeba rozmawiać i próbować zrozumieć, co się dzieje – dodaje dr Kamila Lenkiewicz. – To są lata pracy i budowania relacji, by nastolatek, który ma kłopot, przyszedł i o tym powiedział. Dorosły jest dla nastolatka mało wiarygodnym źródłem i nie jest zbyt godny zaufania. Postrzegany jest jako ten, który mało rozumie, a jeśli coś mówi, to dlatego, że musi. Nie wolno bagatelizować lub umniejszać problemów młodego człowieka, bo to jest komunikat, że jego problemy nie są ważne. Każdy problem trzeba potraktować poważnie, rozumieć, dlaczego to jest ważne, i wspólnie poszukać wyjścia z sytuacji – podkreśla terapeutka.

I na koniec jeszcze apel do nauczycieli. – W tej chwili najważniejsze jest nie sprawdzanie wiedzy, ale poprawa relacji rówieśniczych. Mniej ważne są kolejne sprawdziany, a kluczowe są zajęcia z psychologiem, pedagogiem, rozmowa z nauczycielem w grupie rówieśniczej: taka o wszystkim i o niczym, żeby dzieci przypominały sobie, jak się z sobą rozmawia – nie ma wątpliwości dr Przyrowska.

Oby potwierdziły się przewidywania ekspertów, że koniec pandemii jest bliski. Wszyscy musimy wreszcie zacząć wracać do formy. Tej fizycznej i tej psychicznej.

eprasa.pl 062fd4e8ab

Lukrowany Gierek

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Zwiastun filmu obejrzało w internecie półtora miliona ludzi. Po premierze posypały się krytyczne recenzje, a sam film ze swoim przekazem oburzy zarówno prawicę – za idealizowanie Edwarda Gierka, lewicę – za pokazanie brudów PRL, oraz liberałów – za totalną drwinę z balcerowiczowskiej wizji gospodarki. Dyskusja wokół „Gierka" obnaża jednak to, jak mało przepracowaliśmy powojenną historię Polski

Sto czterdzieści minut kinowego obrazu prowadzi nas przez całą dekadę – od objęcia władzy w 1970 r. po wypuszczenie byłego I sekretarza z miejsca internowania w stanie wojennym. Edwarda Gierka gra Michał „Misiek" Koterski, który do tej roli przytył 20 kg i na ekranie faktycznie widzimy dobrze uchwycone podobieństwo. Jan Frycz gra prymasa Stefana Wyszyńskiego, który pojawia się w dwóch scenach (na początku i na końcu rządów I sekretarza PZPR), a Cezary Żak z krzaczastymi brwiami staje się Leonidem

Fot. Karolina Grabowska/Mówi Serwis Dystrybucja

eprasa.pl 062fd4e8ab

Breżniewem. Pozostałe postaci występują pod innymi nazwiskami, ale wiadomo, co to są za peerelowscy dygnitarze. Antoni Pawlicki, zaskakująco słaby, gra generała (w domyśle: Jaruzelskiego), Rafał Zawierucha – premiera Piotra Jaroszewicza, a kapitalny Sebastian Stankiewicz zdaje się w osobie towarzysza Maślaka łączyć kilka osób. Dowodzący bezpieką, mający świetne kontakty z Moskwą, będący typem twardogłowego komunistycznego trepa brzydzącego się polskością ma cechy Mieczysława Moczara (który donosił do KGB nawet na Jaruzelskiego), Franciszka Szlachcica (szara eminencja w KC PZPR) i Stanisława Kani (gra słów, nazwiska Maślak-Kania). Pierwsi dwaj pasują tu także dlatego, że filmowy Gierek wyraża uznanie dla Maślaka za to, że w czasie wojny był partyzantem, a była to wizytówka głównie Moczara, w mniejszym stopniu Szlachcica. To w obrębie tych figur na planszy nadwiślańskiego komunizmu rozgrywa się intryga.

EDWARD WIELKI?

Film jest konkretnym projektem tożsamościowym – pokazuje I sekretarza PZPR jako patriotę i modernizatora. Człowieka, który z troski o społeczeństwo chce zbudować przemysł, rozwinąć gospodarkę i zapewnić ludziom dobrobyt. Namówiony do objęcia władzy przez Maślaka przenosi się do stolicy, przewietrza atmosferę w Komitecie Centralnym i porzuca siermiężny wizerunek gomułkowskiego stylu władzy. Autorzy filmu nie kryją swojej sympatii do Gierka, ale nawet jak na admiratorów tego polityka, przestrzelili z zachwytem. Ich bohater nie ma wad, jest czułym mężem i ojcem, wyrozumiałym dla Kościoła katolickiego, mówiącym płynnie po francusku, wizjonerem, który rozsiewa po kraju fabryki, huty, kopalnie i stocznie, a nawet... myśli o uniezależnieniu się od Związku Sowieckiego. Narzędziami tej suwerennościowej strategii ma być program budowy bomby termojądrowej (autentyczne próby odbywały się pod kontrolą prof. Sylwestra Kaliskiego), niezależność ekonomiczna, plany stworzenia dla Gierka urzędu „prezydenta". W jednej ze scen filmowy I sekretarz wyjaśnia, że chciałby powtórzyć jugosłowiańską drogę Josipa Broza-Tity.

SLALOM FAKTOGRAFICZNY

Skąd taka wersja historii? Poszczególne jej elementy można wygrzebać z rozproszonych prac o latach 70. XX w., ale autorzy scenariusza korzystali nie tylko z ogólnodostępnych źródeł. Jak mówi tygodnikowi „Sieci" współautor scenariusza Rafał Woś, niektóre wątki powstały w konsultacji ze świadkami epoki. – Jedna z osób odsłaniała przed nami kulisy współpracy z bankami zagranicznymi, a dwie kolejne, z otoczenia Edwarda Gierka, opowiadały o szczegółach jego polityki, spotkaniach i planach – tłumaczy publicysta. – Czekamy też na pełną biografię Gierka, bo nadal taka nie powstała. Ten film ma być właśnie przyczynkiem do dyskusji – dodaje Woś. Zdaje się właśnie, że twórcy filmu uwierzyli we wszystkie pozytywne opinie, źródła i opowieści. Gierek nie mówił po francusku tak płynnie, by rozmawiać z przedstawicielami światowych banków – przed wojną pracował w belgijskiej kopalni i rozmówki o wierceniu dziur w ścianie czy okrzyk „podaj kilof" nie nauczyły go elokwencji na poziomie światowych elit.

Filmowy Gierek szczerze martwi się o Polskę, broni jej przed sowieckim zideologizowaniem, także w awanturze z partyjnym towarzyszem. – To jedna z najmocniejszych scen tego filmu – komentuje Woś. Filmowy Maślak drwi sobie z Gierka i jego przekonania, że trzeba mieć poparcie społeczeństwa. „Za kilkanaście, kilkadziesiąt lat nie będzie tego narodu" – rzuca złowieszczo do I sekretarza. Twórcy filmu chcieli więc pokazać lewicę społeczną w wariancie zachodniej socjaldemokracji, nie zaś miejscowego postkomunizmu. – Nawet taki radykał jak Bernie Sanders w USA często używa określenia „naród" – tłumaczy Woś. Jego zdaniem Gierek zrobił tyle, ile mógł w tamtych realiach geopolitycznych. – Bohater naszego filmu faktycznie próbował poluzować ten ucisk Związku Radzieckiego, na ile oczywiście pozwalały mu realia – stwierdza współscenarzysta.

Źródła nie potwierdzają marzeń o wybiciu się peerelowskiej władzy na niepodległość, wprost przeciwnie. W kraju nastąpiło prosowieckie i socjalistyczne przyspieszenie – włącznie z przywilejami dla partii, indoktrynowaniem młodzieży (Związek Harcerstwa Polskiego wtłaczano w ruch Harcerskiej Służby Polsce Socjalistycznej), prosowieckiej zmiany konstytucji, zacieśnienia współpracy wojskowej w ramach Układu Warszawskiego. Kremlowski urzędnik Piotr Katkow wspominał nawet, że to Rosjanie upatrzyli sobie Gierka na następcę Gomułki, i to już w 1968 r. Sam towarzysz Edward po wojnie przeszedł twardą szkołę partyjną w Łodzi i był ostrym politycznym graczem – podział kraju na 49 województw to jego sztandarowy projekt osłabiający regionalne władze. W filmie tego nie ma – jest za to dobry i naiwny Gierek, przeciwko któremu knują Jaruzelski i uosabiający partyjny beton Maślak. Ale tu mamy do czynienia z ważnym wątkiem.

GIEREK LEPSZY OD JARUZELSKIEGO?

Wizja dobrego Gierka i złego Jaruzelskiego nie wytrzyma konfrontacji

eprasa.pl 062fd4e8ab

z faktami, bo ten pierwszy pilnował, by zamordyzm nad Wisłą nie zelżał za bardzo. Bezpieka otrzymała dodatkowe wytyczne w sprawie kompromitowania Wyszyńskiego (w filmie znajdują oni wzajemne zrozumienie), milicja pałowała opozycję na „ścieżkach zdrowia", Stanisława Pyjasa nie tylko zamordowano, ale też roztoczono wokół sprawców systemowy parasol ochronny. W filmie to Gierek i jego ludzie są ofiarami SB, która ich podsłuchuje, szantażuje i zastrasza. A przecież od lat 70. nie wolno było tego robić wobec zwykłych członków PZPR, a co dopiero wobec przywódców.

Ale w tym skrajnym przerysowaniu odsłoniono ciekawy, a mało znany mechanizm. Komuniści opanowali do perfekcji ośmieszanie swoich poprzedników, by nowa ekipa przystępowała do władzy z czystą kartą. Ani Chruszczow nie był takim gwałtownikiem, jak go przedstawiali ludzie Breżniewa, ani Breżniew nie był od początku nieprzytomnym starcem, jak rozpowiadał Andropow. Podobnie było ze zmieniającymi się w PRL sekretarzami. Gomułka dostał etykietę ciemniaka od tych, którzy skorzystali na zmianie władzy, a ludzie Jaruzelskiego wyolbrzymili skalę problemów Gierka, by przykryć swoją nieudolność. Więc nie – Gierek nie był przeciwieństwem Jaruzelskiego, ale też twardogłowi następcy przesadzili – np. rozpowiadali bajki o Gierkowej, która do fryzjera miała latać specjalnie do Paryża. Film uchwycił ten propagandowy system budowania czarnej legendy.

GIEREK KONTRA BALCEROWICZ

Współautor scenariusza Rafał Woś występuje w dwóch scenach filmu. Odgrywa człowieka łudząco podobnego (pozycją, wyglądem i poglądami) do... Leszka Balcerowicza. I sekretarza namawia na urynkowienie gospodarki (niesławny ekonomista faktycznie pracował wówczas w zespole, który przygotowywał taką koncepcję), cieszy się na perspektywę bezrobocia i zapowiada „terapię szokową". Filmowcy chcieli pokazać inny punkt widzenia na kwestię kredytów w gospodarce. Woś przekonuje, że pożyczki na inwestycje są naturalną metodą rozwoju. – Skąd biedne państwa mają wziąć środki na rozbudowę gospodarki? Stalin zdobył je poprzez eksport zboża, co skończyło się wielkim głodem na Ukrainie, a więc zorganizował skok cywilizacyjny kosztem społeczeństwa – mówi współautor scenariusza. Jako drugi model modernizacji wskazuje transformację ustrojową po 1989 r. – Kończy się to panoszeniem zagranicznych graczy. Mamy więc skok cywilizacyjny, ale kosztem suwerenności gospodarczej – mówi Woś. Gierek miał jednak skorzystać z trzeciej opcji, czyli z kredytów. Woś sugeruje, że ta opcja jest dziś krytykowana przez balcerowiczowską szkołę ekonomii, dlatego mówienie o obronie suwerenności i inwestowaniu za kredyty wywołuje taki gniew elit. – Gierek spełniał słuszne i przez lata tłumione potrzeby własnego narodu – przekonuje Woś.

> Twórcy „Gierka" uznali, że obalą mity ekipy Jaruzelskiego, ale wpadli w pułapkę mitów Gierka

Dobitnym podsumowaniem ekonomicznego spojrzenia autorów filmu są napisy końcowe, w których czytamy, że PRL zadłużyło się na kwotę 9,8 proc. PKB, gdy zaś współcześnie kredyt wielkości nawet 100 proc. PKB nie przeraża światowych przywódców. W filmie przedstawia się też elementy spisku zachodnich instytucji finansowych, które chciały uzależnić m.in. Polskę od swoich funduszy.

PIĘTROWOŚĆ KOMUNIZMU

Twórcy „Gierka" uznali, że obalą mity ekipy Jaruzelskiego – ale wpadli w pułapkę mitów Gierka. Nawet projekty tego niby-otwarcia na Zachód były elementem podziału ról w państwach komunistycznych. Pozycję rzekomego przeciwnika Sowietów zajmował rumuński dyktator Ceaușescu, dzięki czemu zdobywał zachodnie technologie czy kontrakty, z czego korzystała także Moskwa. Także koncepcja przywódcy jako tego, który jest mniejszym złem i minimalizuje wpływy Moskwy, jest nie do obrony. Na wszystkich szczeblach PZPR towarzysze przekonywali, że może i było źle, ale „gdyby przyszli tamci" – tłumaczyli się. Gdyby zsumować te narracje, wyszłoby, że wszyscy chcieli dobrze, ale robili źle, bo uważali, że bez nich będzie gorzej.

Filmowy Gierek jest zbyt lukrowany, by widz mu uwierzył, a Jaruzelski zbyt groteskowy, by pokazać widzowi skalę jego zaprzaństwa. Odpowiedzią na tożsamościową konstrukcję Michnika i peerelowskich generałów nie może być opowieść o dobrym Gierku. W dyskusji nad PRL robimy krok do przodu, a potem w tył. Właściwie to drepczemy w miejscu.

Fot. Jarosław Sosiński/Mówi Serwis Dystrybucja

eprasa.pl 062fd4e8ab

Niczym wielki Houdini

Brytyjski premier i jego pracownicy hucznie imprezowali na Downing Street, gdy w kraju obowiązywał surowy lockdown. Przeciwnicy Borisa Johnsona mówią o „thatcherowskim momencie" i przewidują jego upadek. On sam jest pewien, że i ten kryzys uda mu się przezwyciężyć. I może mieć rację

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Brytyjski premier Boris Johnson posiada – jeśli wierzyć mediom nad Tamizą – wiele talentów. To m.in. umiejętność stworzenia czegoś z niczego – jak 87-mandatową większość w wyborach do Izby Gmin z 2019 r. po dymisji Theresy May, które powinny być dla torysów przegrane, udana akcja szczepionkowa w szczycie pandemii COVID-19 czy błyskawiczny brexit po latach bezowocnych negocjacji między Londynem a Brukselą. Ale Johnson ma także inną zdolność, potrafi zręcznie się wykręcić z odpowiedzialności za własne błędy. „Wielokrotnie popełniał gafy, za każdym razem uważano, że to koniec jego kariery, a on się z tych kłopotów wydostawał niczym wielki Houdini" – twierdzi brytyjski dziennik „The Daily Telegraph". Gdy występując przed przedstawicielami brytyjskiego przemysłu, zorientował się, że pogubił się w notatkach, po prostu mówił przez pół godziny o Śwince Peppie. „To był bardzo dobry występ" – przekonywał później. A Brytyjczycy uznali, że taki już jest ten premier. Nieco ekscentryczny.

Tym razem jego kłopoty są jednak o wiele poważniejsze i uniknięcie odpowiedzialności może się okazać trudniejsze niż dotychczas. Nie jest to bowiem kolejna afera lobbingowa, jak ta, która w grudniu ubiegłego roku wpłynęła na porażki torysów w wyborach uzupełniających do Izby Gmin w okręgu North Shropshire, czy skandal obyczajowy, który doprowadził w czerwcu 2021 r. do dymisji ministra zdrowia Matta Hancocka. Nie, tym razem Johnson jest oskarżony o to, że pozwolił swoim ludziom urządzać tłumne imprezy przy Downing Street, gdy w kraju panował surowy lockdown. Mało tego, sam w nich uczestniczył. Zdjęcia z tych imprez trafiły do prasy, a Johnson zamiast od razu przeprosić i przyznać się do błędu, zaprzeczał tak długo, jak tylko mógł.

Imprez było co najmniej 10, w tym jedna dla 40 osób, w maju 2020 r., gdy Brytyjczycy mogli wychodzić z domu tylko do pracy lub w celu samotnych ćwiczeń na świeżym powietrzu, a możliwość spotkań była ograniczona do dwóch osób, na zewnątrz, przy zachowaniu dystansu społecznego. Dwa miesiące później Johnson świętował w ogrodach Downing Street swoje 56. urodziny. Był tort i co najmniej 30 gości. Potem było wiele imprez w listopadzie i grudniu. Dwie kolejne odbyły się 16 kwietnia 2021 r., dzień przed pogrzebem księcia Filipa, którego królowa Elżbieta II musiała żegnać samotnie w kaplicy na zamku Windsor ze względu na covidowe restrykcje. Na jednej z nich, zorganizowanej z okazji pożegnania odchodzącego dyrektora komunikacji Johnsona Jamesa Slacka (dziś redaktora naczelnego „The Sun"), alkohol miał się lać strumieniami, a goście tańczyli i bawili się do rana, mimo lockdownu i okresu żałoby.

POZA KONTROLĄ

Tego nie da się już zakwalifikować jako wyraz typowo brytyjskiej ekscentryczności. Rysuje to obraz szefa rządu, który nie panuje nad swoją ekipą i nonszalancko odnosi się do reguł pandemicznych, które sam ustanowił. Podwójne standardy – to określenie pojawia się najczęściej w związku ze skandalem.

Wielu Brytyjczyków uważało, że restrykcje są zbyt surowe, nieproporcjonalne, ale i tak ich przestrzegało, w niektórych przypadkach nawet wtedy, gdy oznaczało to niemożność pożegnania umierających krewnych. Trudno więc wybaczyć beztroskę na wysokich stanowiskach, gdy gdzie indziej panowała taka nędza. „Prawo obowiązuje nie tylko maluczkich, jak może się wydawać niektórym na Downing Street" – przypomniał premierowi dziennik „The Guardian". Johnson w końcu przeprosił, ale dalej się upierał, że „żadne reguły nie zostały złamane". To oczywiście nie zdołało uciszyć głosów domagających się jego dymisji. Kumoterstwo, skandale obyczajowe, a teraz jeszcze to?

Jak twierdzi „BBC", część partyjnej bazy uznała, że premier jest „toksyczny" i stracił „moralne prawo" do tego, by rządzić krajem. W szeregach partii podniósł się bunt. Sześciu posłów torysów

eprasa.pl 062fd4e8ab

oznajmiło, że straciło do niego zaufanie, a minister ds. brexitu David Frost podał się do dymisji w „proteście przeciwko polityce zdrowotnej rządu".

Na domiar złego, gdy Johnson próbował przekonać w minioną środę podczas wystąpienia w Izbie Gmin posłów, że tylko on może poprowadzić Wielką Brytanię w lepszą przyszłość, a „party gate" nie powinno stanąć mu na drodze do osiągnięcia tego celu, do mediów trafiły wieści o zarzutach posłanki Partii Konserwatywnej Nusrat Ghani. Ghani twierdzi, że straciła w 2020 r. stanowisko wiceminister transportu, bo jest muzułmanką. Teraz Johnson musi się zmierzyć z dwoma wewnętrznymi śledztwami. Pierwszym, prowadzonym przez byłą szefową działu etyki w gabinecie ministrów Sue Gray, która zbada „nielegalne" imprezy na Downing Street, i drugim, dotyczącym zarzutów Ghani.

Na głównego oskarżyciela premiera wysunął się przy tym jego były doradca Dominic Cummings, który zrezygnował z funkcji pod koniec 2020 r., po tym jak posłowie torysów zaczęli się skarżyć na jego rosnące polityczne wpływy i arogancję. Cummings miał m.in. nazwać posłów z tylnych ław (backbenchers) popierających brexit „pożytecznymi idiotami". Zadaniem Cummingsa – oprócz pomagania Johnsonowi w przeforsowaniu brexitu – było dyscyplinowanie otoczenia premiera. Po jego odejściu dyscyplina na Downing Street znacznie się poluzowała, a Johnson do dziś nie znalazł nikogo, by go zastąpić. Cummings twierdzi, że Johnson wiedział o imprezach, i ostrzegał premiera, że łamią one zasady lockdownu. Bezskutecznie. Jego zeznania mają stanowić jeden z kluczowych elementów raportu Sue Gray. Niezależnie od tego dochodzenia swoje śledztwo prowadzi londyńska policja metropolitalna, ale jego wyniki, jak twierdzi stacja Sky News, spodziewane są raczej w ciągu kolejnych „tygodni niż dni".

KTO JEŚLI NIE JOHNSON?

Pozostaje pytanie, co dalej. Johnson stanowczo odrzucił wezwania opozycji do rezygnacji. Na pytanie lidera laburzystów Keira Starmera, czy zamierza złożyć dymisję, odparł stanowczo: „Nie". Lewicowo-liberalne media, krytyczne wobec Johnsona, uważają, że przeżywa on swój „thatcherowski moment", w aluzji do faktu, że „żelazną damę" obaliła jej własna partia. Tyle że torysi się wahają. Johnsona można oczywiście zastąpić innym liderem, ale czy Liz Truss, Dominic Raab, Jeremy Hunt lub Jacob Rees-Mogg poprowadzą partię do zwycięstwa w następnych wyborach? Premier może i ma swoje wady, ale tryska energią. Jest pełen życia i pasji. Rzadka to rzecz w kraju, w którym politycy są zazwyczaj flegmatyczni. Ponadto poradził sobie z COVID-19, pod jego rządami gospodarka już osiągnęła poziom sprzed pandemii, błyskawicznie zakończył brexit, po trzech latach negocjacyjnej katorgi, i twardo broni interesów Wielkiej Brytanii w postbrexitowym sporze z UE.

Jednocześnie trudno nie dostrzec wyraźnego spadku poparcia dla Partii Konserwatywnej w sondażach. 43 proc. Brytyjczyków deklaruje, że oddałoby głos na Partię Pracy, a tylko 30 proc. na torysów. I to Johnson ciągnie sondaże, a tym samym partię, w dół. Obecnie jest mniej popularny niż torysi, którym przewodzi. Jednocześnie tylko 25 proc. ankietowanych członków Partii Konserwatywnej uważa, że powinien on ustąpić. 52 proc. jest zdania, że jedynie on może dać partii kolejne zwycięstwo przy urnach. To dla torysów twardy orzech do zgryzienia. Zmusić Johnsona do dymisji i liczyć na to, że popularność kanclerza skarbu Rishi Sunaka, bo to on byłby najbardziej prawdopodobnym następcą Johnsona na czele partii, będzie miała przełożenie w wyborach, czy dać obecnemu premierowi jeszcze jedną szansę? „Partia jest podzielona. Żadna ze stron nie uważa tej walki za satysfakcjonującą. Lojaliści Johnsona mają wrażenie, że próbują wypompować wodę z tonącej łodzi tylko po to, by uderzyła w nich kolejna fala. Ci, którzy chcą, aby Johnson odszedł, obawiają się natomiast, że raport Sue Gray, gdy już powstanie, zostanie opublikowany tylko w części i tak późno, jak się tylko da, by wszystko się rozmyło. A za tym pójdzie dalsza fala utraty wiarygodności. Nastroje są fatalne.

> Tylko 25 proc. ankietowanych członków Partii Konserwatywnej uważa, że Johnson powinien ustąpić. 52 proc. jest zdania, że jedynie on może dać partii kolejne wyborcze zwycięstwo

eprasa.pl 062fd4e8ab

Fot. ComposedPix/Shutterstock.com

Nikt nie jest zadowolony" – twierdzi „The Spectator". Według gazety wydaje się, że torysi utknęli z Johnsonem, przynajmniej na razie, na dobre lub złe.

CZERWONYM MIĘSEM W DUŻEGO PSA

On sam zdaje się liczyć, że „party gate" w końcu przycichnie lub uda mu się przykryć aferę pozytywnym działaniem. W Izbie Gmin przekonywał, że jego rząd skupia się na napędzaniu wzrostu gospodarczego i przewodzeniu zachodniej odpowiedzi na kryzys ukraiński. A eskalacja napięć na wschodzie Europy to nie jest dobry moment na zmianę premiera. „Gdy tylko otrzymam raport Sue Gray, odniosę się do niego" – zapewniał. Na ten raport czekają obecnie wszyscy – przeciwnicy i zwolennicy Johnsona. Od jego treści zależy, czy do Komitetu 1922, parlamentarnej frakcji Partii Konserwatywnej, będą masowo wpływać wnioski w sprawie głosowania o wotum nieufności. Jeżeli raport wypadnie bardzo krytycznie, da się zapewne uzbierać te 15 proc. (54 posłów) konieczne do głosowania (oraz większość konieczna do jego odwołania), jeśli wypadnie łagodnie, Johnson przetrwa do wyborów samorządowych w Anglii, Szkocji i Walii w maju. A może i dłużej. Będzie to zależało od tego, jak surowo wypadnie werdykt przy urnach. Jeśli się okaże, że Johnson nie stanowi już wyborczego atutu, konserwatyści mogą próbować się go pozbyć.

Już teraz niektórzy radni mają trudności w przekonaniu wyborców do głosowania na nich. Do maja jest jednak jeszcze trochę czasu i media nad Tamizą spekulują, że Johnson go wykorzysta do tego, by przeprowadzić zmiany na Downing Street. Mowa jest o zakazie picia alkoholu, a także o zwolnieniu osób z otoczenia premiera, które wykazały się szczególnym zapałem do imprezowania. Za tym może nastąpić „reset" polityki rządu, który zapewniłby partyjną bazę o tym, że Johnson jest po jej stronie. Plan, jeśli wierzyć dziennikowi „The Daily Mail", nazywa się „Operacja Czerwone Mięso" (Operation Red Meat) i ma polegać m.in. na zniesieniu covidowych restrykcji, likwidacji obowiązkowego abonamentu RTV do 2027 r., co uderzyłoby w nielubianą przez torysów BBC, czy zaostrzenie walki z nielegalną migracją przez kanał La Manche. Jak przekonuje „Guardian", Johnson będzie próbował także pozbyć się ciągnącego się za nim podejrzenia, że tak naprawdę jest liberałem popierającym wysokie podatki i wysokie wydatki.

Plan zmian na Downing Street otrzymał nazwę „Operacja Duży Pies" (Operation Big Dog) i spekuluje się, że pierwszy zostanie zwolniony prywatny sekretarz premiera Martin Reynolds, który 20 maja 2020 r. rozesłał ponad 100 osobom zaproszenie na garden party, pisząc, by „przynieśli własny alkohol". Szef sztabu premiera Dan Rosenfield także musi się obawiać o swoje stanowisko. Lojalni wobec premiera posłowie tymczasem zaczęli wywierać presję na partyjnych buntowników, ostrzegając ich, że mogą stracić mandat „w ciągu miesięcy", jeśli będą próbowali obalić Johnsona. A Jacob Rees-Mogg, przewodniczący Izby Gmin, przekonywał w mediach, że jeśli zmieni się gospodarz Downing Street, trzeba będzie przeprowadzić przyspieszone wybory, które torysi, przy obecnym poziomie poparcia w sondażach, zapewne przegrają. Czy to wystarczy, by ugłaskać wzburzonych Brytyjczyków i spacyfikować partyjną bazę torysów? Czas pokaże.

eprasa.pl 062fd4e8ab

Pod okupacją

Choć od ostatniej zbrojnej inwazji Rosji na Gruzję minęło już prawie 14 lat, jej dramatyczne skutki Gruzini odczuwają do dziś. Jedna piąta ich kraju wciąż jest okupowana. Ludzie stają przed dramatycznymi wyborami: na zawsze zostawić dobytek swojego życia lub do jego końca trwać pod butem Moskwy

MARCIN TULICKI

Abchazja i Osetia Południowa to dwie samozwańcze republiki na północy Gruzji de facto kontrolowane przez Rosję. Czy jak kto woli przez separatystów wspieranych przez Moskwę. Wychodzi na to samo: są wynikiem imperialnej polityki Kremla. W Gruzji nie ma dziś wielkiego strachu przed ewentualnym kolejnym atakiem Rosji, bo wszyscy zdają sobie sprawę, że Władimir Putin jest skupiony na innych częściach świata – na Ukrainie i Azji Środkowej. W pierwszym przypadku słowo „wojna" pojawia się już niemal non stop i oficjalnie, a w drugim – dopiero co Rosja wsparła reżim w Kazachstanie, który postanowił krwawo stłumić protesty przeciwko podwyżkom cen, mordując ponad 160 osób.

– Najważniejsza dla Rosji jest teraz Ukraina. Jeśli spojrzeć na to, co się tam teraz dzieje, to w przyszłości zagrożone mogą być kolejne kraje, przede wszystkim Polska – mówi nam Mamuka Areszidze, politolog z Uniwersytetu w Tbilisi.

Jednak to, że militarnie Kreml skupiony jest na Ukrainie, nie oznacza wcale, że Gruzini nie obawiają się, że koszmar z 2008 r. w końcu wróci i tym razem rosyjskie czołgi dojadą do Tbilisi. Zresztą nie tak daleko, bo godzinę drogi od gruzińskiej stolicy, zobaczyć można efekty inwazji sprzed 14 lat. To dramaty gruzińskich rodzin, których domy z dnia na dzień znalazły się po tej drugiej, rosyjskiej stronie drutu kolczastego.

NA GRANICY ABSURDU. PUTIN I JEGO PROWOKACJE

Z Tbilisi do linii rosyjskiej okupacji jest bardzo blisko. To zaledwie godzina drogi samochodem. Gruzini się denerwują, gdy mówisz im, że chciałbyś pojechać na „granicę z Osetią Południową". – To nie jest granica, bo nie oddziela od siebie dwóch państw. To linia okupacji. Podobnie jak nie ma takiego państwa jak Osetia Południowa – tłumaczy Lewan, który pomaga nam poruszać się na tym skomplikowanym dla kogoś z zewnątrz terenie.

Żeby dojechać do miejsca, w którym zainstalowany został drut kolczasty dzielący Gruzję od jej okupowanej części, potrzeba zgody urzędników w Tbilisi. Ostatnie dwa kilometry pokonujemy w asyście policjantów. W końcu docieramy do miejsca, w którym droga zagrodzona jest przez zasieki. Jakieś sto metrów dalej stoi dom, z którego wolnym krokiem idzie do nas starsza kobieta. To Walia Waliszwili. Żyje w straszliwej biedzie. Kilka miesięcy temu straciła męża. Córka miała szczęście – mieszka w tej części Gruzji, której Putinowi nie udało się dopaść. Pierwsze pytanie, które w tej rozmowie nasunęłoby się chyba każdemu, brzmi: dlaczego

eprasa.pl 062fd4e8ab

nie spróbować uciec do córki? – Mam im to wszystko zostawić? Tak po prostu? Przecież dom i gospodarstwo to wszystko, co mam – odpowiada Walia, patrząc na nas z niedowierzaniem. Tak jakby odpowiedź była oczywista. Gdy się chwilę zastanowić – ma rację. W końcu to ona ze swoim dobytkiem była tam wcześniej i to nie ona rozciągnęła kilometry drutu kolczastego. – Po wojnie zajęli teren, ale nie było jeszcze tego czegoś, co odgradza nas od mojej Gruzji. To stało się nagle. W nocy zamontowano drut kolczasty i tyle. Nie pomogły żadne protesty – mówi nam inny mieszkaniec, który znalazł się w nie mniej dramatycznej sytuacji co starsza kobieta.

Fizyczny podział terenu to zagrywka separatystów, czyli de facto Rosji. Gdy do Walii przyjechała kiedyś córka z mężem, zostali zatrzymani przez osetyjską policję. Spędzili w areszcie cały dzień. Powód? Przekroczyli linię, którą separatyści nazywają granicą, a która w rzeczywistości jest linią okupacji. W taki sposób ci, którzy nie chcą przejść na drugą, rosyjską stronę mocy, mogą być gnębieni bez końca. Wielu nie wytrzymało i zostawiło swoje dobytki. Część z nich mieszka w obozie dla uchodźców kilkadziesiąt kilometrów dalej w stronę Tbilisi. – Rosjanie nikogo nie trzymają na siłę. Mówią: idź! Tylko pamiętaj, że nie ma już powrotu. Gdy ktoś decyduje się na tę podróż w jedną stronę, zostaje z niczym. Bez dachu nad głową, bez pracy i pieniędzy. Nie wszyscy są tak zaradni, żeby z dnia na dzień poukładać sobie życie w nowym miejscu. Nie wszyscy mają rodziny, na których pomoc mogą liczyć – tłumaczy Lewan.

Ci, których udało się złamać i przekabacić na swoją stronę, zwykle machnęli ręką dla świętego spokoju. Pogodzili się z nową rzeczywistością i chcąc nie chcąc, zaakceptowali to, że żyją na terenie kontrolowanym przez separatystów i Kreml. Tak Rosja w perfidny sposób próbuje prawdę zmieszać z kłamstwem i osiągnąć swój cel: z części Gruzji wyrzucić wszystko co gruzińskie, żeby za kilkanaście lub kilkadziesiąt lat postawić kropkę nad zakłamaną historią i wmawiać światu, że „to przecież nigdy nie była Gruzja".

„DZIŚ GRUZJA, JUTRO UKRAINA..."

Gruzja jest tylko jednym z przykładów. Na jej północy powstały dwie samozwańcze republiki uznawane niemal tylko przez Federację Rosyjską: tzw. Abchazja i Osetia Południowa.

W podobnej sytuacji na Ukrainie jest część Donbasu skupiona wokół Doniecka i Ługańska. Tam też, tyle że kilka lat później, Moskwa militarnie wsparła separatystów i dała zielone światło do utworzenia dwóch samozwańczych, nieuznawanych przez świat republik: ługańskiej i donieckiej. Od samego początku kłamiąc światu w żywe oczy, że „nigdy nie miała z tym nic wspólnego" oraz że to „wewnętrzna sprawa Ukrainy". To rzecz jasna bzdury, świat ma tego świadomość, ale przygląda się tylko biernie. Kilka miesięcy temu, gdy Rosja prężyła militarne muskuły, a prezydent Ukrainy Wołodymir Zełenski zaproponował Putinowi spotkanie właśnie na Donbasie, ten odmówił, bo „Donbas to nie sprawa Rosji".

Tę imperialną politykę Kremla, właśnie podczas rosyjskiej inwazji na Gruzję w 2008 r., przewidział śp. prezydent Lech Kaczyński. Na głównym placu w Tbilisi, do tysięcy Gruzinów, którym w oczy zajrzało widmo rosyjskich czołgów i rakiet, wypowiedział prorocze słowa: „Dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze kraje bałtyckie, a później może przyjść czas na mój kraj – na Polskę". – Pamiętam ten dzień bardzo dobrze. Byliśmy przekonani, że rosyjskie wojska dotrą do Tbilisi i zajmą naszą stolicę. Tamtego przemówienia prezydenta Kaczyńskiego nie zapomnę nigdy. Stanął w naszej obronie i nakłonił do tego innych przywódców. Jestem przekonany, że nas uratował. Dziś prawie każdy w Gruzji wie, kim był Lech Kaczyński – opowiada Lewan.

Gruzja wówczas przetrwała, choć nie cała. Minęło prawie 14 lat. Co się zmieniło? Do listy grabieży Putina doszła część ukraińskiego Donbasu i półwysep Krym, a granica Litwy i Polski jest w bezpardonowy sposób atakowana przez białoruskie służby, za pełnym przyzwoleniem, a pewnie i ze wsparciem Władimira Putina. Bo że migranci są tylko narzędziem – co do tego chyba nikt zdrowo myślący nie ma żadnych, choćby najmniejszych wątpliwości. Jeśli połączyć teraz ze sobą wszystkie te elementy – historię udręczonych i w części zagrabionych Gruzji i Ukrainy – perfidię w działaniu Władimira Putina, bierność czy wręcz uległość Zachodu oraz wyjątkowo słabą dziś pozycję Waszyngtonu, to wyłania się z tego bardzo klarowny obraz: obrona granicy Rzeczypospolitej jest dziś najważniejszym zadaniem, które stoi przed Polską.

Autor jest dziennikarzem „Wiadomości" TVP1

eprasa.pl 062fd4e8ab

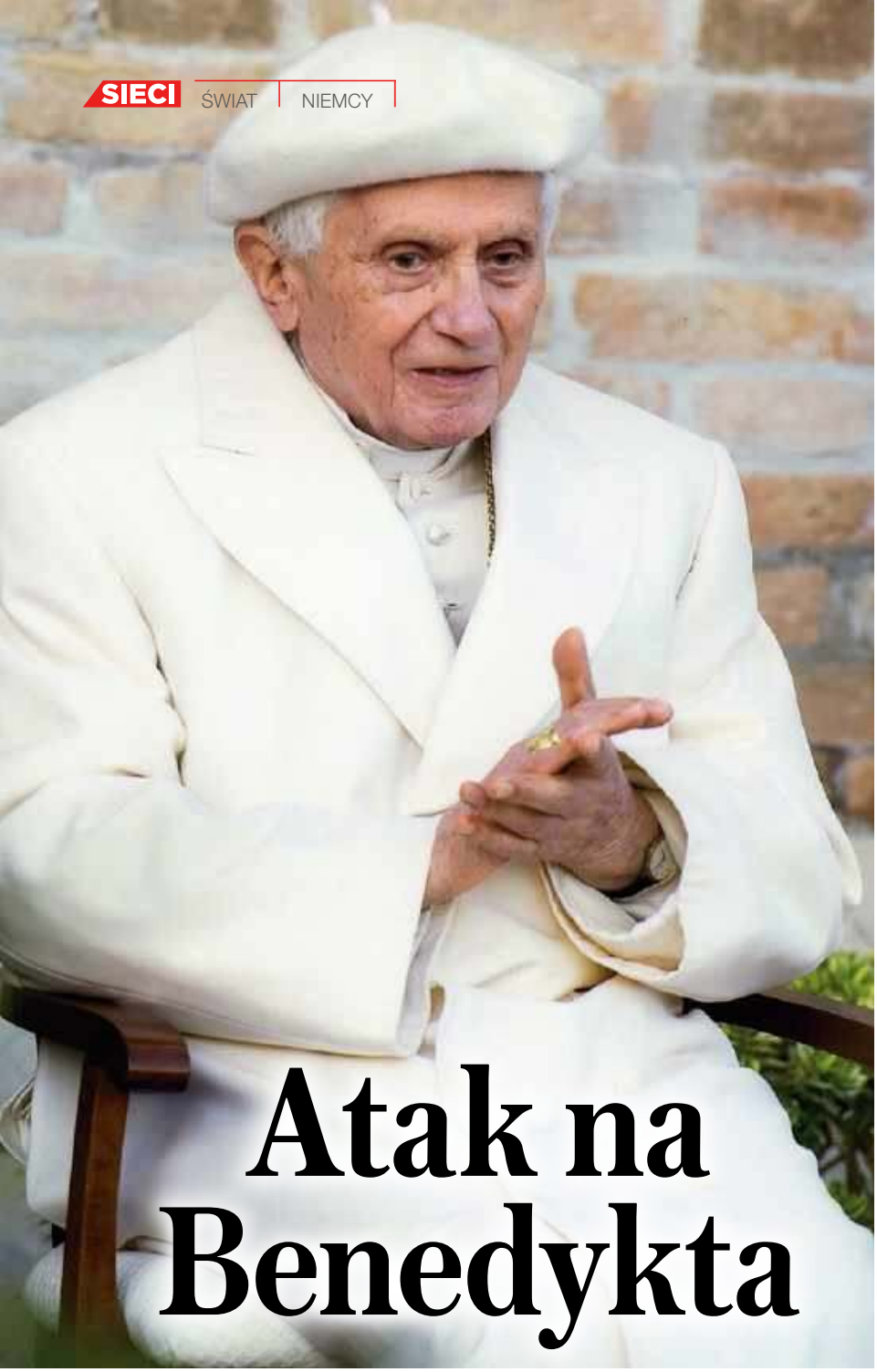

Atak na Benedykta

Benedykt XVI, były arcybiskup metropolita Monachium, tuszował pedofilię księży tej archidiecezji. Takie oskarżenie zostało postawione na niedawnej konferencji prasowej w Monachium, na której kancelaria prawna Westpfahl Spilker Wastl przedstawiła wyniki swoich badań dotyczących przestępstw seksualnych popełnionych przez księży archidiecezji monachijskiej w latach 1945–2019

GORAN ANDRIJANIĆ

Badania zostały zlecone przez samą archidiecezję monachijską, a wspomniana kancelaria zajmowała się już wcześniej takimi analizami. Wyniki pracy niemieckich ekspertów, których uważa się za niezależnych od Kościoła, są bardzo złe dla archidiecezji. Ustalono, że we wspomnianym okresie ofiarami wykorzystywania seksualnego przez księży padło 497 osób.

Nie ma jednak zbyt wielu artykułów, które teraz, po opublikowaniu tych danych, zajęłyby się konkretnymi ofiarami. Niemieccy prawnicy przebadali okres 74 lat, a emerytowany papież był arcybiskupem Monachium i Freisingu tylko pięć – od 1977 do 1982 r. Mimo tego faktu to właśnie jego pięcioletnia kadencja znalazła się w centrum uwagi na konferencji prasowej, choć warto zaznaczyć, że cały raport liczy 1,9 tys. stron.

„Doszliśmy do wniosku, że w czterech przypadkach Benedykt XVI nie zareagował odpowiednio na przestępstwa seksualne księży" – powiedział Martin Pusch, jeden z prawników prowadzących śledztwo.

WYWOŁYWANIE SKANDALU

Po tej konferencji prasowej, która odbyła się w czwartek 20 stycznia, rozpoczęła się lawina medialnych artykułów przeciwko Benedyktowi XVI oraz dyskusje o skandalu, „który na zawsze naznaczy jego spuściznę". To, że Benedykt XVI od samego początku zaprzeczał wszelkim stawianym mu zarzutom, chyba nie ma większego znaczenia.

Spośród czterech przypadków wymienionych przez prawników najwięcej mówi się o tym dotyczącym ks. Petera Hullermanna, pedofila recydywisty, o którym niemieckie media obszernie pisały. Jego sprawa wysunęła się na pierwszy plan ponownych debat na temat rzekomej winy Benedykta XVI, należy więc wyjaśnić jej okoliczności.

Fot. East News

eprasa.pl 062fd4e8ab

Hullermann został przyłapany na molestowaniu dzieci w swojej diecezji Essen w 1980 r., a następnie jego biskup wysłał go na leczenie psychiatryczne do archidiecezji monachijskiej. W Monachium pozwolono mu zamieszkać w parafii, gdzie proboszcz zaangażował go w działalność duszpasterską, w tym pracę z dziećmi.

Prawnicy twierdzą teraz, że Benedykt XVI zdawał sobie sprawę z zarzutów pod adresem księdza, a mimo to pozwolił mu wznowić pracę duszpasterską. Raport wspomina o posiedzeniu rady archidiecezji z 15 stycznia 1980 r., na którym podjęto decyzję o przyjęciu Hullermanna do archidiecezji, i łączy pośrednio to spotkanie, w którym uczestniczył również ówczesny arcybiskup kardynał Joseph Ratzinger, z decyzją o ponownym zezwoleniu na pracę duszpasterską Hullermanna.

Podczas swoich badań prawnicy skierowali pytania do Benedykta XVI, prosząc go o wyjaśnienie wątpliwości dotyczących tej sprawy.

Papież emeryt zrobił to, publikując swoją 82-stronicową odpowiedź. Stwierdził, że w ogóle nie był obecny na spornym spotkaniu. Jednak po opublikowaniu raportu zmienił zeznanie. „Wbrew wcześniejszym relacjom uczestniczył on w posiedzeniu rady diecezjalnej w dniu 15 stycznia 1980 r. Pomyłka ta jednak nie wynikała ze złych intencji, lecz była wynikiem błędu w redakcji jego oświadczenia. Papież oświadczył, że jest mu bardzo przykro z tego powodu i prosi o wybaczenie – czytamy w oświadczeniu wydanym przez prywatnego sekretarza papieża seniora arcybiskupa Georga Gänsweina, w którym podkreślono również: „Na spotkaniu, o którym mowa, nie podjęto żadnej decyzji dotyczącej przydziału duszpasterskiego tego księdza. Przychylono się raczej do wniosku o zapewnienie mężczyźnie zakwaterowania podczas leczenia w Monachium".

Gänswein powiedział też, że papież senior wyda w tej sprawie szczegółowe oświadczenie w późniejszym terminie. Prosi o zrozumienie, że pełne przejrzenie liczącego 1,9 tys. stron raportu wymaga czasu, a jego lektura napełniła go wstydem i bólem z powodu cierpienia zadanego ofiarom.

Opinia publiczna poczeka, aż Benedykt XVI zaprezentuje swoją obronę wobec nowych zarzutów, bo nie ma wątpliwości, że chodzi tutaj o znacznie więcej niż konkretne przypadki nadużyć w archidiecezji monachijskiej.

KTO OSKARŻA

Po publikacji raportu i ataku niektórych mediów pojawia się coraz więcej głosów analizujących oskarżenia wobec papieża seniora w świetle innych wydarzeń w Kościele w Niemczech, ale także w Kościele powszechnym.

Jeden z tych głosów należy do niemieckiego kardynała Gerharda Ludwiga Müllera, byłego prefekta Kongregacji Nauki Wiary. W rozmowie z „Corriere della Sera" powiązał on oskarżenia wobec Benedykta XVI z teologicznym zamętem w Kościele w Niemczech. „W Niemczech i nie tylko spotykamy ludzi zainteresowanych wyrządzeniem krzywdy Josephowi Ratzingerowi. Ratzinger reprezentuje, że tak powiem, ortodoksyjne stanowisko, ale jest wielu w Niemczech, którzy naciskają na inne podejście, takie jak zniesienie celibatu lub kapłaństwo kobiet. Ta progresywna frakcja w Kościele jest destrukcyjna" – powiedział kardynał.

Dodał, że jest dla niego jasne, iż jeśli były wtedy jakieś błędy, to jest oczywiste, że Ratzinger nic o nich nie wiedział. „W tamtych czasach nie było świadomości i protokołów w walce przeciw pedofilii, które mamy dzisiaj. Nikt nie wiedział, co robić, jak odpowiednio reagować, zarówno w Kościele, jak i w społeczeństwie".

W obronie Ratzingera głos zabrał też niemiecki historyk kościelny Michael Hesemann. Wspomniał on w wywiadzie dla strony Exaudi, że istnieje „ogromna rozbieżność między samym raportem a konferencją prasową i jej międzynarodową relacją".

W przeciwieństwie do większości dziennikarzy Hesemann przeczytał raport napisany w języku niemieckim. Nie ma w nim dowodów na to, że Benedykt XVI świadomie zrobił coś złego. „Media skoncentrowały się na nim, choć nie jest on wcale głównym bohaterem raportu. Dotyczy 65 przypadków, z których tylko cztery są związane z Ratzingerem. Jeśli się je przestudiuje, Ratzinger staje się na ich tle tylko postacią poboczną. Mimo tego wszyscy skupiają się na nim. Stawianie go w centrum uwagi jest oczywiście łatwym sposobem na ukrycie wykroczeń kilku jego następców, zwłaszcza kardynała Reinharda Marxa, który od 2008 r. jest arcybiskupem Monachium i Freisingu" – twierdzi Hesemann i zauważa, że w żadnej z czterech spraw związanych z papieżem seniorem, o których się mówi w raporcie, nie doszło do wykorzystywania seksualnego podczas jego kadencji jako arcybiskupa.

MOCNE WSPARCIE

Jednak chyba najważniejszy głos wsparcia dla Benedykta XVI pochodzi z samego Watykanu. Należy do Andrei Torniellego, włoskiego dziennikarza katolickiego i dyrektora wydawniczego w Dykasterii ds. Komunikacji Stolicy Apostolskiej.

Tornielli napisał tekst na stronie Vatican News i przypomniał w nim, że to Benedykt XVI, najpierw jako prefekt Kongregacji Nauki Wiary, a potem jako papież, zmienił stosunek Kościoła do pedofilii we własnych szeregach. „Nie można zapominać, że walczył on z tym zjawiskiem już w ostatniej fazie pontyfikatu Jana Pawła II jako bliski współpracownik papieża. A po wyborze na papieża wydał niezwykle surowe przepisy przeciwko duchownym krzywdzicielom, zwalczające pedofilię. Swoim konkretnym przykładem Benedykt XVI dał świadectwo, jak pilna jest zmiana mentalności, tak ważna w walce ze zjawiskiem nadużyć: słuchanie ofiar, bycie blisko nich i prośba o przebaczenie".

Najważniejsze słowa tekstu Torniellego brzmią następująco: „Rekonstrukcje raportu monachijskiego, który, proszę pamiętać, nie jest dochodzeniem sądowym, nie mówiąc już o ostatecznym wyroku, będą mogły przyczynić się do walki z pedofilią w Kościele, jeśli nie ograniczą się do szukania kozłów ofiarnych i ferowania wyroków. Tylko unikając tego ryzyka, mogą przyczynić się do poszukiwania sprawiedliwości w prawdzie i do zbiorowego rachunku sumienia za błędy przeszłości".

Przesłanie z Watykanu jest jasne. Jeśli ktoś chce wykorzystać ten raport jako środek walki w konfrontacjach kościelno-teologicznych lub zdjąć odpowiedzialność z prałatów, których nazwiska również są w nim wymienione, to nic nie osiągnie.

eprasa.pl 062fd4e8ab

Ofiary zarażenia społecznego

Zamiast pomagać nastolatkom przeżywającym problemy psychiczne, tworzy się społeczny mechanizm wpędzania ich w złudzenia. A to prowadzi do nieodwracalnych zmian, które tylko potęgują ich cierpienie. Przykład: narastająca fala zmiany płci wśród nieletnich

GRZEGORZ GÓRNY

W 2020 r. w Australii ukazała się książka Dianny T. Kenny, profesor psychologii z Uniwersytetu w Sydney, poświęcona problemowi dysforii płciowej u dzieci i młodzieży. Chodzi o zjawisko, które przez lata traktowane było jako zaburzenie tożsamości płciowej, polegające na tym, że mężczyźni czuli się bardziej kobietami, a kobiety mężczyznami, co stawało się dla nich źródłem dyskomfortu, a nawet cierpień. Autorka przyjrzała się bliżej zwłaszcza zabiegom zmiany płci wśród nieletnich, które w XXI stuleciu przybrały niespotykane dotąd rozmiary.

TSUNAMI DYSFORII PŁCIOWEJ

Przez długie lata specjaliści w USA uważali, że na dysforię płciową cierpi zaledwie 0,01 proc. populacji. Było to bowiem zaburzenie bardzo rzadko spotykane. Badania przeprowadzone wśród uczniów amerykańskich szkół średnich w 2018 r. wykazały jednak, że aż 2 proc. z nich przyznało, iż jest osobami transpłciowymi, twierdząc, że ich tożsamość płciowa nie zgadza się z płcią biologiczną. Podobne wyniki przynoszą statystyki z innych krajów zachodnich, według których od 2 do nawet 9 proc. nastolatków deklaruje się jako osoby transpłciowe lub odczuwające niespójność płciową.

Charakterystyczny przykład stanowi Szwecja, która jako pierwsze państwo na świecie w 1972 r. zdiagnozowała „dysforię płciową" (rozumianą jako dyskomfort spowodowany niedopasowaniem między płcią biologiczną a tożsamością płciową) i jako pierwsza dała możliwość prawnego sformalizowania statusu takich osób. Prof. Mikael Landén z Göteborga zauważa, że o ile w latach 1972–1992 zmiany płci wymagało średnio 12 osób rocznie, o tyle dziś jest ich ponad 2 tys. Szwedzki psychiatra dziecięcy Sven Roman mówi, że 2001 r. dysforię płciową zdiagnozowano zaledwie u 12 osób poniżej 25. roku życia, w 2018 r. zaś już u 1859. Odsetek dziewczynek w wieku 13–17 lat, które chcą zostać chłopcami, wzrósł w latach 2008–2018 aż o 1500 proc. Jak zauważa z przerażeniem Sven Roman: „W Szwecji testosteron otrzymuje teraz więcej dziewcząt niż chłopców!".

Prof. Dianna T. Kenny postanowiła odpowiedzieć na pytanie, dlaczego liczba dysforii płciowych w XXI w., zwłaszcza

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 062fd4e8ab

wśród młodzieży na Zachodzie, wzrosła tak radykalnie w porównaniu z czasami wcześniejszymi. Analizując powyższe zjawisko, autorka doszła do wniosku, że większość zdiagnozowanych przypadków nie wynika z rzeczywistych zaburzeń biologicznych, lecz jest rezultatem „zarażenia społecznego" (social contagion).

EPIDEMIA MORALNA

Jest to fenomen, który towarzyszy ludzkości od dawna, a który najlepiej chyba opisał szkocki pisarz Charles Mackay w swej klasycznej już pracy „Niezwykłe złudzenia i szaleństwa tłumów" z 1841 r. Autor używał na określenie tego zjawiska nazwy „epidemia moralna". W książce przypomniał m.in. gorączki spekulacyjne, jakie w XVII i XVIII stuleciu ogarniały Niderlandy, Francję i Anglię. Szczególne wrażenie robi opis holenderskiej tulipanomanii, gdy cebulki tych kwiatów osiągały cenę wyższą niż złoto, a inwestorzy wręcz się bili, by opanować ich rynek. W tworzenie mechanizmu napędzającego zbiorowe złudzenia zaangażowane były wówczas segmenty, które dziś nazwalibyśmy ekspertami, środkami masowego przekazu i opinią publiczną.

Przykładem klasycznego zarażenia społecznego może być zjawisko wywołane lekturą powieści Johanna Wolfganga von Goethego „Cierpienia młodego Wertera" z 1774 r. W finale książki tytułowy bohater, zmagający się z nieodwzajemnioną miłością, cierpiący na „ból istnienia" oraz pogrążony w rozpaczy, odbiera sobie życie. Wkrótce potem Europę ogarnęła fala samobójstw młodych mężczyzn, wśród których dominowali czytelnicy powieści. Kończyli swoją egzystencję w taki sam sposób jak Werter: strzałem z pistoletu. Przypadków było tak wiele, że w kilku europejskich miastach książka Goethego została zakazana.

W czasach nam bliższych samobójstwo pewnego młodego austriackiego biznesmena, który rzucił się pod pociąg, zapoczątkowało w 1984 r. falę podobnych zamachów na własne życie. Ich liczba przez prawie rok wynosiła średnio pięć tygodniowo. Socjologowie zauważyli, że zjawisko było potęgowane przez relacje w mediach, które rozpisywały się o szczegółach życia ofiar i okolicznościach ich śmierci. Kiedy media przestały się zajmować sprawą, liczba samobójstw natychmiast spadła o 80 proc.

PŁEĆ W SIECI

W dobie internetu wiele fenomenów zostaje nieproporcjonalnie wyolbrzymionych, co opisują niezwykle ciekawie dwaj amerykańscy naukowcy Nicholas A. Christakis i James H. Fowler w książce „W sieci. Jak sieci społeczne kształtują nasze życie". W ich rozumieniu zarażenie społeczne można opisać jako „rozprzestrzenianie się zjawisk (np. zachowań, przekonań i postaw) poprzez powiązania sieciowe". Prof. Dianna T. Kenny podążyła tym tropem, analizując wpływ wywierany na młodzież przez media społecznościowe, które podzieliła pod tym kątem na trzy rodzaje: egocentryczne, socjocentryczne i otwarte. W tym schemacie swą niezastąpioną rolę do odegrania mają liderzy opinii, trendsetterzy czy influencerzy.

Ich przekaz często trafia do młodych ludzi, którzy zmagają się z problemami charakterystycznymi dla wieku dojrzewania, nie potrafią nazwać tego, co przeżywają, czują się niezrozumiani, odrzuceni, niewysłuchani przez dorosłych. Owi nastolatkowie natrafiają na medialne wizerunki osób transpłciowych – nadwrażliwców przeżywających cierpienia z powodu swego niedopasowania do świata i czujących odrzucenie przez społeczeństwo, którzy jednak po zmianie płci zyskują radość i szczęście. Wielu młodych zaczyna utożsamiać się z nimi, a nawet odnajdywać siebie samych w ich losach. Na dodatek okazuje się, że dziś najwięksi celebryci i gwiazdorzy zaczynają upominać się o prawa osób trans, poświęcać im uwagę i troskę, a więc coś, czego tak bardzo brakuje i czego tak bardzo potrzebują zagubieni nastolatkowie.

Efektem jest samodiagnoza wielu dziewcząt i chłopców, którzy zaczynają dostrzegać u siebie dysforię płciową. Kiedy zgłaszają się do klinik, nadspodziewanie często słyszą, że rozwiązaniem ich problemów jest operacja zmiany płci. Przeważnie taka diagnoza następuje bez żadnych badań klinicznych. Z jednej strony jest to dla lekarzy intratny biznes, z drugiej zaś wpisuje się idealnie w dominujące trendy kulturowe i oczekiwania opiniotwórczych ośrodków, znajdujących się pod wpływem ideologicznego nacisku środowisk LGBTQ.

W ŚWIECIE ZŁUDZEŃ

Młodym ludziom najczęściej się nie mówi, że poddają się operacjom, które na zawsze okaleczą ich ciała, że po usunięciu jajników, macicy i jąder już nigdy nie będą mogli mieć dzieci. Niektórzy przystępują do tych zabiegów tak, jakby chodziło o zrobienie sobie kolejnego tatuażu. W efekcie wyrządzają sobie krzywdę na całe życie. Wielu z nich dochodzi potem do wniosku, że popełnili błąd i żałują swej decyzji, ale nie mogą jej już cofnąć. Niektórzy wpadają w depresję, a nawet popełniają samobójstwo.

Dziesiątki takich świadectw zebrał na swoim blogu Walt Heyer, który w 1983 r. sam poddał się operacji zmiany płci i zaczął żyć jako Laura Jensen, jednak nie rozwiązało to jego problemów, wręcz przeciwnie: pogłębiło je. Zrozumiał, że jego kłopoty miały głębszy charakter, a on sam, dokonując tranzycji, padł ofiarą oszustwa. Dziś stara się ostrzegać młodzież przed podjęciem decyzji, które na zawsze mogą zniszczyć im życie.

To samo uważa Abigail Shrier, dziennikarka „Wall Street Journal", która w 2020 r. opublikowała książkę „Nieodwracalne szkody: nastolatki i szaleństwo transpłciowe". Jej reporterskie śledztwo doprowadziło ją do tych samych wniosków, co praca naukowa prof. Dianny T. Kenny – że mamy do czynienia z epidemią zarażenia społecznego.

Do podobnych zjawisk należy takie zaburzenie żywieniowe jak anoreksja. Osobom cierpiącym na tę chorobę wydaje się, iż są potwornie grube, mimo że w rzeczywistości pozostają śmiertelnie chude. Odmawiają więc jedzenia, narażając się na śmierć głodową. Pomoc takim ludziom polega na tym, żeby wyzwolić ich z tego złudzenia. Nikomu nie przychodzi do głowy, by utwierdzać ich w fałszywym przekonaniu.

Prof. Kenny proponuje, by analogicznie spojrzeć na większość przypadków diagnozowanych dziś jako dysforia płciowa. Mamy bowiem do czynienia z olbrzymią liczbą dziewcząt, które uważają się za chłopców, i chłopców, którzy uważają się za dziewczęta. Zamiast więc pomóc im porzucić szkodliwą iluzję i rozpoznać prawdziwy problem, tworzony jest społeczny mechanizm wpędzania w niebezpieczne złudzenia.

eprasa.pl 062fd4e8ab

Polityczne odziewanie prawdy

Nie jest prawdziwe to, co jest prawdziwe, ale to, co służy lub sprzeciwia się władzy

ALEKSANDER NALASKOWSKI

Zasadne wydaje się pytanie, dlaczego jednych uczonych słuchamy, a innych nie? Właściwie nie mam wątpliwości, że decyduje tutaj polityczność nauki i coraz powszechniejsza tendencja do nadawania niemal wszystkiemu konotacji politycznych, do odczytywania każdego detalu w perspektywie politycznej. To głębokie odkształcenie, a wręcz patologia charakteryzująca myślenie większości dorosłych Polaków. To jednocześnie poważna dysfunkcja intelektualna hamująca rozwój. Ale to problem znacznie szerszy, to polityczność prawdy. To rozstrzyganie o tym, co jest prawdziwe, a co nie poprzez przypisywanie zdarzeniom, wypowiedziom, zachowaniom sympatii bądź niechęci do władzy.

Zatem nie jest prawdziwe to, co jest prawdziwe, ale to, co służy lub sprzeciwia się władzy. Do odczytania prawdy niepotrzebne jest już myślenie oparte na logice wnioskowania, analizie punktów wyjściowych określonych tez czy decyzji, lecz emocje i nade wszystko kontekst. Nie istnieje więc żadna polityczna próżnia, w której mogłyby się znajdować sądy prawdziwe, bo cała przestrzeń życia społecznego jest bez wyjątku polityczna.

PRAWDA RUCHOMA

Jeszcze przed wyborami prezydenckimi w 1990 r. Adam Michnik i jego środowisko mocno przeciwstawiali się wyborowi Lecha Wałęsy na urząd prezydenta RP. Stanowczo lansowali kandydaturę Tadeusza Mazowieckiego, nazywając Wałęsę szeryfem, zarzucając mu prostactwo i naturszczykowski sposób uprawiania polityki. Mazowiecki i tak przegrał, ale nie z Wałęsą, lecz z nikomu nieznanym człowiekiem – Stanisławem Tymińskim.

Po dziesięciu z górą latach ten sam Adam Michnik uznał Lecha Wałęsę za opokę zmian demokratycznych w Polsce, lokując go w swoistym panteonie obok Jaruzelskiego, peerelowskiego aparatczyka przebranego za generała. Ujawnienie i bezsporne udowodnienie agenturalnej przeszłości Wałęsy zostało przedstawione wyłącznie jako działanie polityczne dla utrzymania władzy. Pojawiły się nawet uliczne protesty w obronie byłego prezydenta, których cel był trudny do określenia. Miały zagłuszyć prawdę? Uznać donosicielską przeszłość jako nieistotną? Odepchnąć prawdę jako... nieprawdziwą? Walczyły z czymś, z czym wygrać się po prostu nie da – z faktami. I to się udało!

Wałęsa jako TW „Bolek" przestał dla przeciwni-

eprasa.pl 062f7fe8ab

ków władzy cokolwiek znaczyć. Prawdę postanowiono unieważnić, bo mogłaby się przysłużyć władzy. Charakterystyczne wypowiedzi tzw. ulicy z tamtego okresu: „A kto wie, jak to naprawdę było?" albo „Każdy kwit można podrobić".

PANDEMIA POLITYCZNA

Sytuacja pandemiczna w Polsce, ale też na całym świecie, jest niezwykle dynamiczna i nie ma przesady w stwierdzeniu, że co tydzień jest inna. Ale pewne jej elementy mają oznaki trwałości. Otóż ok. 50 proc. Polaków jest zwolennikami szczepień obowiązkowych, a ok. 40 proc. jest takiemu obowiązkowi przeciwnych. Pozostali nie są zdecydowani. Tego, co to oznacza dla organizacji życia publicznego – doświadczamy na co dzień. Szczepionkowy podział Polaków jest niezaprzeczalnym faktem. Każdej z grup towarzyszy odmienna narracja. Z jednej strony to cytowanie danych (np. proporcje w śmiertelności zaszczepionych do niezaszczepionych), a z drugiej głosy o nieskuteczności bądź wręcz szkodliwości szczepień. Znakomici eksperci w swoich dziedzinach miewają bowiem tu krańcowo różne opinie, a ową różnicę podtrzymuje podział w społeczeństwie.

Wybitny wirusolog, człowiek o niewątpliwej naukowej charyzmie, prof. Włodzimierz Gut na łamach dziennik.pl: „Jak słyszę o lekarzach, którzy zniechęcają do szczepień, to łapię się za głowę. Są także ci, którzy wystawiają fałszywe potwierdzenia szczepień. Oni powinni być wydalani z zawodu, powinni odpowiadać z paragrafu za narażenie życia i zdrowia wielu osób". Trudno o radykalniejsze potwierdzenie sensu szczepień przeciw COVID-19.

Natomiast nie mniej wybitna polska uczona, prof. Józefa Węsierska-Gądek, członkini zagraniczna Polskiej Akademii Nauk, pracująca na Uniwersytecie Wiedeńskim, w reakcji na któryś mój felieton napisała list, którego fragment pozwoliła mi zacytować. „BioNTech-Pfizer oferuje szczepionkę opartą na mRNA, który jak wiadomo jest ekstremalnie niestabilny, po kilkudziesięciu sekundach się rozpada. Wobec tego do produkcji preparatu zastosowano tzw. pseudonukleozydy: np. pseudouracyl itd. Jak wiadomo z literatury fachowej, pseudonukleozydy mają działanie rakotwórcze. Szczepionka firmy AstraZeneca oparta jest na zastosowaniu (jako wektora) adenowirusa. Stosowanie adenowirusa zostało zakazane przed 21 laty, gdy próbowano przeprowadzić przy jego zastosowaniu terapię genową dla ludzi z agresywnym typem raka. Adenowirus może nawet u młodych ludzi spowodować tzw. immune breakage. Z ubolewaniem patrzę na obecną sytuację; obserwuję nonszalanckie podejście do nauki i lekceważenie ważnych argumentów naukowych".

Mamy więc dwie osobowości naukowe i dwie skrajne opinie. Nie mam wątpliwości, że każdy z tych badaczy wypowiedział się adekwatnie do swojej wiedzy naukowej, a spór między nimi (i innymi uczonymi) powinien być przyczyną rzeczowej dyskusji w środowisku medycznym. Tak jednak się nie dzieje, a opinie wielu uczonych, jakże odmienne, są odczytywane wyłącznie politycznie. Głównie za sprawą mediów. Nie ma tu znaczenia naukowa opinia ekspertów. Najważniejsze jest to, jak się wpisują w narrację władzy. To jest rozstrzygające, a nie zdrowie Polaków. Zdrowsze dla Polaków jest to, co służy lub nie służy władzy. I dzieją się tu prawdziwe cuda medialne. Nie umiem jednak uwierzyć w to, że całe środowisko badaczy medycznych opanowała jakaś totalna degeneracja, demoralizacja i wszyscy (może poza kilkoma kanaliami), zbiorowo łamią przysięgę Hipokratesa.

Lewicowo-liberalna (jak dla mnie to czysto lewicowa) opozycja chce dyktatorskich posunięć (obowiązek szczepień), a „prawicowi zamordyści" chcą swobodnego wyboru w tej kwestii. Trudno nie dostrzec, że naciski opozycji na wprowadzenie obowiązku szczepień są podyktowane intencją zmuszenia rządu do niepopularnej decyzji, a tym samym spadku notowań w sondażach. A my nie znamy prawdy. I nie poznamy jej, dopóki naukowcy – zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy szczepień – nie staną w szranki i nie stoczą boju przy użyciu swoich metodologii i naukowo potwierdzonych faktów. Może w końcu dojdą do wspólnej jednobrzmiącej konkluzji, że 2+2=4 i nie inaczej. Nie możemy jednak też wykluczyć, że ich odpowiedź zabrzmi: „Nie wiemy". Ale taka debata nie musi się okazać drogą do rozwiązania sporu, bo natychmiast pojawią się zarzuty, że ten czy ów profesor pił wódkę z byłym posłem PiS, a tamten nie rozliczył się z grantu, a jeszcze inny to znany w środowisku antyklerykał i kobieciarz, a to oczywiste powody, by uznać, że przekaz jest polityczny, a tym samym niewiarygodny. Bo prawda może być tylko prawdą polityczną. I żadną inną.

IMPORT I EKSPORT PRAWDY POLITYCZNEJ

Politycznie można też traktować interes Polski. W zasadzie nie ma znaczenia jakaś racja stanu czy obiektywnie żywotny interes kraju. Widać jak na dłoni, że absolutnie każde działanie podjęte przez rządzącą prawicę zostanie nagłośnione przez usłużne media z rozmaitymi Morozowskimi, Olejnikami czy Łaszczami w roli gwiazd dziennikarskich, jako błąd, szkodliwość czy nierozważność. Potrafią się zniżyć do poziomu kuriozalnie nielogicznych twierdzeń, aby odebrać faktom ich kształt, zaprzęgając je do swojej polityki dezinformacyjnej. Turów, spory z TSUE, a ostatnio kryzys graniczny są tutaj najlepszym przykładem. Mdło się robi od słuchania, że zamieszanie wokół kopalni to sprawa zaniedbań polskiego rządu, że okropny Kaczor chce Polskę wyprowadzić z UE, a polscy żołnierze na granicy to wychowankowie Eichmanna. Można to robić tak bezkarnie jak Biedroń, ogłaszając z trybuny Parlamentu Europejskiego, że do restauracji w Polsce nie wpuszcza się homoseksualistów. I nie idzie tu ani o górników, ani o dotacje z Unii, ani o komfort homoseksualnej braci, ani też o demokrację, a jedynie o nadanie tym sprawom wymiaru politycznego i uderzenie w rządzących. Przypomina to podpalanie kamienicy, aby razem z nią spłonął drobny, ale niewygodny dokument. Każde wydarzenie, które da się skleić z przeciwnikiem politycznym, zostanie wykorzystane przeciwko niemu. Gdy obok domu żałosnego Brejzy, prowincjonalnego watażki z Inowrocławia, od niedopałka zajęła się ogniem przenośna toaleta, to ten natychmiast zgłosił do policji zamach na swoje życie. Podtekst był oczywisty – zamachu dokonał przeciwnik polityczny.

POLITYCZNA WOKANDA, POLITYCZNE MILCZENIE

Wicemarszałek Senatu Bogdan Borusewicz od blisko roku odmawia przeprowadzenia głosowania w sprawie uchylenia immunitetu jego koledze klubowemu i senackiemu zwierzchnikowi Tomaszowi

eprasa.pl 062fd4e8ab

Grodzkiemu oskarżanemu o łapówkarstwo. Prokuratura w toku śledztwa zgromadziła dowody, ale sprawa dzięki Borusewiczowi utknęła w miejscu i immunitet działa. Sam podejrzany przedstawia to jako sprawę polityczną. Opozycyjne media zgodnie milczą, choć część z nich zna już wagę i powagę zebranego przeciw Grodzkiemu materiału dowodowego. Wymiar sprawiedliwości odbija się od betonowej ściany. Nikt nic nie może. W przypadku każdego innego ordynatora wyrok zapadłby już dawno. Gdyby sprawa dotyczyła Elżbiety Witek czy Ryszarda Terleckiego, media opozycyjne cały czas miałyby temat na pierwszej stronie. Jednakże polityczna prawda to także polityczne milczenie.

Znany niegdyś dziennikarz, zdecydowany akolita opozycji i krytyk władzy, Piotr Najsztub, potrącił na przejściu dla pieszych 77-letnią kobietę. Dziennikarz był w tym momencie nieuprawniony do prowadzenia pojazdów, gdyż wcześniej stracił prawo jazdy. Sąd skazał go na grzywnę, co w tym przypadku było de facto uniewinnieniem.

W maju 2019 r. kandydat na europosła, a wcześniej komunistyczny aparatczyk i premier z ramienia SLD, Włodzimierz Cimoszewicz, skądinąd doktor prawa, jadąc autem bez ważnego przeglądu technicznego, potrącił w Hajnówce na przejściu dla pieszych kobietę, która wyniku tego zdarzenia doznała licznych urazów. Jak twierdzi prokuratura białostocka, sprawca zbiegł z miejsca wypadku, a za to grozi wyrok karny. Po trzech tygodniach Cimoszewicz otrzymał oficjalną nominację na europosła i chroni go immunitet. Parlament Europejski nie zgodził się na jego uchylenie, a tym samym prokuratura nie mogła postawić politykowi zarzutów. I znów polityczne milczenie.

POLITYCZNIE DOPUSZCZALNY BLUZG

Dziennikarz i scenarzysta Jakub Żulczyk nazwał urzędującego prezydenta RP nadzwyczaj obelżywie. Żulczyk znany jest ze swojej niechęci do obozu władzy, czemu niejednokrotnie dawał wyraz. Jednakże sędzia Tomasz Grochowicz nie dopatrzył się w znieważeniu najwyższego organu w RP przestępstwa i sprawę umorzył. A językoznawca Michał Rusinek, niegdyś sekretarz Wisławy Szymborskiej, a obecnie pracownik UJ, stwierdził, że wpis „należy potraktować w kategorii felietonu nacechowanego hiperbolizacją". Pomijając, że w ten sposób każdą obelgę można uznać za „hiperbolizację", a każdy napis na murze felietonem, było to prawne przyzwolenie do lżenia każdego i wszędzie. Oczywiście polityka nie ma z tym nic wspólnego?

Z sędzią Grochowiczem łączy się jeszcze jedna sprawa. To kwestia wulgaryzmów wylewanych w przestrzeni publicznej przez Martę Lempart i Klementynę Suchanow. Ów prawnik odesłał do prokuratury akt oskarżenia przeciwko koryfeuszkom tzw. Strajku Kobiet, żądając wskazania, kogo konkretnie niewiasty te obraziły. Jakby zupełnie zapomniał o art. 141 Kodeksu wykroczeń zakazującym używania w przestrzeni publicznej słów powszechnie uznawanych za wulgarne czy obraźliwe. Czy i tutaj Rusinek widzi hiperbolowy felieton? Przypomnę też, że za felieton uznany za obraźliwy wobec środowisk homoseksualnych, w którym nie użyłem żadnego nazwiska, byłem dwa lata temu zawieszony w czynnościach i prawach profesora, a w rzeczywistości otarłem się o wyrzucenie po 40 latach pracy z uczelni.

> Prawda jest tylko po to, aby zamienić ją w prawdę polityczną, prawda bez szaty polityczności nie ma prawa do zaistnienia, bo bezpańska staje się niebezpieczna

Polityczna prawda jest szczególnym kłamstwem. Ale kłamstwem nietrywialnym. Nie polega bowiem ono na zwykłym odwróceniu faktów i na twierdzeniu, że „X nie ukradł roweru spod sklepu z obuwiem", chociaż go faktycznie ukradł. To wypuszczanie w obieg publiczny informacji typu „X nie był sam", „to był rower, który kiedyś należał do X", „świadkowie twierdzą, że X był na miejscu kradzieży, ale rowerem odjechał ktoś inny", „X ma własne trzy rowery", „to nie był rower, tylko skuter żony, z którą X się rozwodzi", „tam w ogóle nie było żadnego roweru". Informacje te, wypuszczone w obieg jednocześnie, tworzą grunt do tworzenia prawd politycznych, na których można zbudować cały ciąg narracji w stylu „za rządów PiS o sto procent wzrosła liczba kradzieży rowerów pod sklepami z obuwiem".

PRAWDA KUPIONA

Osobną grupę politycznych prawdomówców stanowią sprzedawczycy. Czyli osoby, które wykorzystując swoją pozycję medialną, artystyczną, akademicką, a nawet sportową, traktują jak jakąś prywatną mównicę w Hyde Parku. Miejsce, z którego mogą powiedzieć każdą brednię, każdy nonsens, mogą zaprzeczyć każdej oczywistości i zawiesić prawa logicznego rozumowania. Po prostu samymi sobą z racji zagranych ról, uzyskanych stopni naukowych czy zdobytych medali gwarantują nieskazitelność i prawdziwość swoich sądów, ich jedyną słuszność. Ale nie o to im chodzi, bo celem jest zaistnienie przy boku władzy albo w środowisku jej przeciwników. Tu liczy się przekaz podskórny: „Halo, ja też jestem z wami!", wykrzyczany na tyle głośno, aby usłyszały to grupy docelowe. Gotowi są położyć u obcych i krajowych tronów jako „wpisowe" swoje filmy, książki, sukcesy, nazwiska i wyprzeć się wszystkiego, by zdobyć ich akceptację. Jakże wielu z nich zaprzecza sobie wcześniejszym, sprzeniewierzając, przehandlowując swój dorobek lub odżegnując od poglądów, które jeszcze niedawno głosili. Nasz świat zaroił się Miśkami Kamińskimi, Hołowniami, Lemańskimi, Wierzbickimi, Sikorskimi...

Trudne do oszacowania jest, ile szkody i nieodwracalnych zmian wyrządziła owa prawda polityczna. Jej ofiarą pada sztuka (wystarczy przypomnieć ostatni gniot Smarzowskiego pt. „Wesele"), padają uniwersytety, życie publiczne, Kościół, eksperci, szkoła, a nade wszystko media. Prawda jest tylko po to, aby zamienić ją w prawdę polityczną, prawda bez szaty polityczności nie ma prawa do zaistnienia, bo bezpańska staje się niebezpieczna. Nieodziana politycznie prawda jest jak sierotka, którą się adoptuje, daje swoje nazwisko, adres i wskazuje drogi.

eprasa.pl 062fd4e8ab

Dzieci i internet – nie zawsze dobre połączenie

Wirtualny świat jest pełen pułapek na najmłodszych

Dzieci coraz więcej czasu spędzają w przestrzeni wirtualnej. Nauka zdalna i rosnąca popularność wszelkich komunikatorów oraz stron internetowych serwujących lekkie, łatwo przyswajalne, choć rzadko mądre i wartościowe treści sprawiają, że najmłodszych coraz trudniej oderwać od ekranów urządzeń elektronicznych. Generuje to wiele zagrożeń, o których wiedzę powinni zdobywać i poszerzać wszyscy odpowiedzialni opiekunowie i wychowawcy młodych pokoleń w XXI w.

Według badań Ipsosu przeprowadzonych dla firmy Google w 2021 r., w czasie pandemii statystyczny czas korzystania z internetu przez osobę nieletnią wydłużył się aż o 1,5 godz. dziennie. To samo badanie wskazuje, że aż jedna trzecia wszelkich aktywności podejmowanych przez nastolatków w wieku 12–15 lat dotyczy działań w sieci. Innymi słowy, nastolatek w ciągu dnia najwięcej czasu spędza na przeglądaniu bądź umieszczaniu treści w internecie, więcej niż przeznacza na jedzenie, naukę, zabawę na świeżym powietrzu czy kontakty międzyludzkie realizowane w świecie realnym.

RODZICE LEPIEJ PILNUJĄ, ALE...

Co krzepiące, badania pokazują także, że rośnie świadomość rodziców dotycząca zagrożeń, jakie czyhają na młodych ludzi w internecie. Opiekunowie coraz częściej starają się kontrolować, w jaki sposób ich podopieczni spędzają czas, korzystając z sieci, jakie treści odbierają lub jakie sami kolportują. Niestety inne narastające zjawiska wskazują, że ta kontrola, opieka i edukacja o bezpiecznym korzystaniu z sieci powinny być stale rozszerzane, bo z rosnącej aktywności małoletnich w internecie zdają sobie sprawę także osoby, które chcą dzieci krzywdzić. Policja na całym świecie, w tym także w Polsce, coraz częściej zatrzymuje osoby, które fałszują swoją tożsamość w sieci i w ten sposób starają się skłonić dzieci do zachowań satysfakcjonujących pedofilów. Do zatrzymań najczęściej dochodzi w tych przypadkach, gdy odpowiednio wcześniej zareaguje rodzic, który przejmie korespondencję prowadzoną przez grasującego w sieci pedofila, nawiązaną z jego dzieckiem. Natomiast wciąż otwarte pozostaje pytanie, jak wiele tego typu spraw nie zostaje wykrytych lub zostaje wykrytych zbyt późno, gdy doszło już na przykład do sytuacji, w której dziecko zostało zmanipulowane.

TO NIE JEST NIEWINNA ZABAWA

Dorośli powinni pamiętać, że krzywda wyrządzona dziecku za pośrednictwem komunikatorów internetowych może się stać dla niego piętnem na całe życie, a często prowadzić do załamania nerwowego, depresji czy nawet samobójstwa. Odarte z godności dziecko łatwo staje się obiektem szyderstw ze strony rówieśników, gdy intymne zdjęcia czy filmy zawierające gorszące sceny trafiają do sieci i rozchodzą się w tempie lawinowym wśród bliższych i dalszych znajomych.

Kluczową rolę w usuwaniu skutków takich przestępstw odgrywa pomoc psychologiczna i tu zawsze warto przypomnieć, że osoby, których nie stać na korzystanie z płatnych świadczeń, mogą się zwrócić po bezpłatną pomoc do miejsc świadczenia pomocy, działających w ramach ogólnopolskiej Sieci Pomocy Osobom Pokrzywdzonym, finansowanej ze środków Funduszu Sprawiedliwości. Jednym z podstawowych zadań realizowanych z pieniędzy, jakie zasilają Fundusz, jest pomoc osobom pokrzywdzonym przestępstwem, świadkom oraz osobom im najbliższym, w tym także dzieciom i młodzieży. ●

*Po pomoc w ramach Funduszu Sprawiedliwości można się zgłosić bezpośrednio do jednego z Okręgowych Ośrodków lub Lokalnego Punktu Pomocy Pokrzywdzonym Przestępstwem, tworzących ogólnopolską Sieć Pomocy Osobom Pokrzywdzonym, lub telefonicznie za pomocą Linii Pomocy Pokrzywdzonym pod nr telefonu **222 309 900**, lub przez skrzynkę pocztową **info@numersos.pl**.*

*Koszt połączenia z numerem jest analogiczny do połączenia z każdym numerem stacjonarnym (wg stawki operatora). Jednocześnie więcej sposobów kontaktu można znaleźć na stronie **www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl**, gdzie m.in. zamieszczono wykaz kilkuset placówek w całej Polsce, które tworzą ogólnopolską Sieć Pomocy Osobom Pokrzywdzonym.*

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 062fd4e8ab

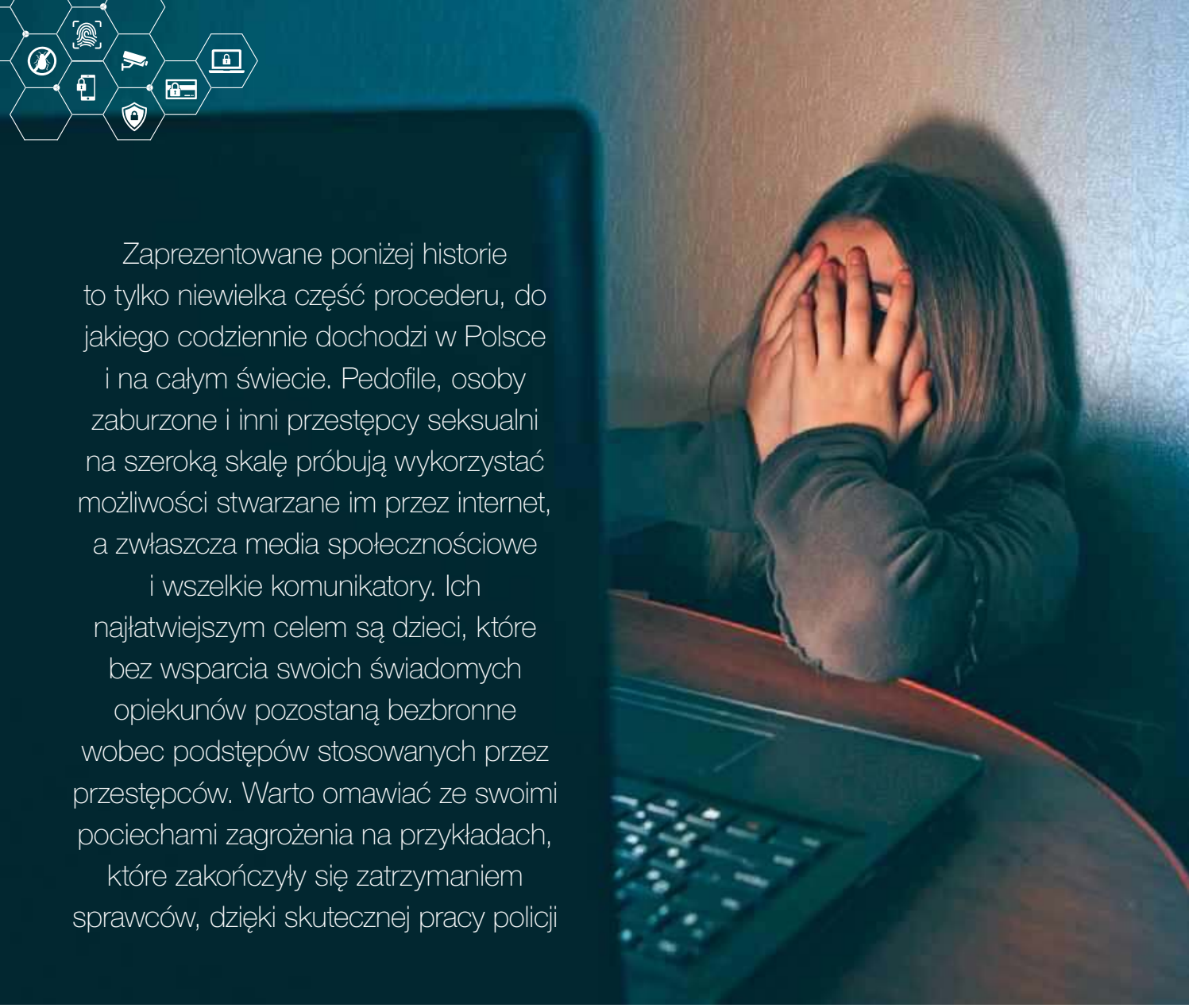

Zaprezentowane poniżej historie to tylko niewielka część procederu, do jakiego codziennie dochodzi w Polsce i na całym świecie. Pedofile, osoby zaburzone i inni przestępcy seksualni na szeroką skalę próbują wykorzystać możliwości stwarzane im przez internet, a zwłaszcza media społecznościowe i wszelkie komunikatory. Ich najłatwiejszym celem są dzieci, które bez wsparcia swoich świadomych opiekunów pozostaną bezbronne wobec podstępów stosowanych przez przestępców. Warto omawiać ze swoimi pociechami zagrożenia na przykładach, które zakończyły się zatrzymaniem sprawców, dzięki skutecznej pracy policji

Policja ma coraz więcej pracy przy łapaniu internetowych pedofilów

Każdego dnia trwa polowanie na dzieci w internecie

W pracy operacyjnej policjanci zazwyczaj są informowani o sprawcach przestępstw popełnianych w internecie dopiero wówczas, gdy doszło już do nawiązania niepokojącej relacji dziecka z obcą osobą, która ma wobec małoletniego złe zamiary. Zaprezentowane niżej historie pochodzą z akt spraw komend wojewódzkich policji w Polsce i dowodzą w sposób jednoznaczny, jak wielką rolę mają do odegrania rodzicie i opiekunowie w ustrzeżeniu małoletnich przed staniem się ofiarą internetowych przestępców seksualnych.

DZIEWCZYNKA WYSYŁAŁA SWOJE ZDJĘCIA

Policjanci z Wydziału do Walki z Cyberprzestępczością Komendy Wojewódzkiej Policji w Poznaniu zatrzymali

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl 062fd4e8ab

POLICJA APELUJE DO RODZICÓW I... POTENCJALNYCH PRZESTĘPCÓW

Rodzicu! Zainteresuj się tym, co Twoje dziecko robi w internecie! Czy wiesz, z kim się kontaktuje? Czy wiesz, jakie treści umieszcza w sieci? Czy jesteś pewien, że treści, które ogląda, są adekwatne do jego wieku i rozwoju? Czy masz jakiś wpływ na to, z kim i o czym koresponduje? Czy wiesz, że kiedy beztrosko siedzi przed komputerem, jest narażone na ogromne niebezpieczeństwo, które może skutkować traumą na całe życie? Czy rozmawiałeś z nim o tym?

Internauto! W sieci nie jesteś anonimowy. Każda twoja aktywność zostawia ślad. Każda dorosła osoba, która za pomocą internetu lub sieci telekomunikacyjnej nawiązuje relację o charakterze seksualnym z dzieckiem poniżej 15. roku życia, popełnia przestępstwo zagrożone karą do 12 lat więzienia!

kolejnego mężczyznę, który odpowie za tzw. grooming. 37-latek namówił nastoletnią dziewczynkę do przesłania mu swoich „rozbieranych zdjęć". Decyzją sądu został aresztowany na trzy miesiące. Sprawa zaczęła się od zgłoszenia, jakie otrzymali policjanci z Konina. Właśnie do nich zwróciła się o pomoc matka nastoletniej dziewczyny, która znalazła w telefonie córki niepokojące treści. Wtedy okazało się, że za pośrednictwem komunikatora internetowego z dziewczynką kontakt nawiązał dorosły mężczyzna. Skutecznie namówił ją do przesłania mu swoich zdjęć o charakterze seksualnym. Zatrzymany 24-latek przyznał się do popełnionego przestępstwa. Nigdy w przeszłości nie był notowany przez policję. W związku z tą sprawą policjanci zabezpieczyli telefon i komputer, z których korzystała dziewczynka. Sprzęt został poddany szczegółowej analizie, której efektem było kolejne zatrzymanie. Z przeprowadzonej analizy wynikało, że zatrzymany wcześniej 24-latek nie był jedynym mężczyzną, który korespondował w ten sposób z dziewczynką.

Kilka dni później na terenie województwa zachodniopomorskiego policjanci z Komendy Miejskiej Policji w Koninie wspólnie z policjantami z Wydziału do Walki z Cyberprzestępczością zatrzymali 37-letniego mężczyznę, który również nawiązał kontakt z tą samą dziewczynką i także namówił ją do przesłania swoich „rozbieranych zdjęć". Zatrzymany usłyszał zarzut popełnienia przestępstwa o charakterze pedofilskim i na wniosek prokuratora z Prokuratury Rejonowej w Koninie został tymczasowo aresztowany przez sąd na trzy miesiące. Podejrzany 37-latek nigdy wcześniej nie był notowany przez policję. Za popełnione przestępstwo grozi mu do 12 lat pozbawienia wolności.

NAMAWIAŁ NA SEKS 12-LATKĘ

Policjanci z oświęcimskiej komendy policji zatrzymali 20-letniego mieszkańca Śląska i przedstawili mu zarzuty usiłowania nakłonienia 12-latki do obcowania płciowego. Zatrzymanie podejrzanego było efektem czujności matki małoletniej i interwencji obywatelskiej grupy osób zajmujących się wyszukiwaniem pedofilów w internecie.

Najpierw dyżurny oświęcimskiej komendy policji otrzymał zgłoszenie od przedstawiciela tzw. łowców pedofilów dotyczące przebywającego na dworcu kolejowym w Oświęcimiu mężczyzny, który za pośrednictwem komunikatora internetowego próbował nakłonić 12-latkę do obcowania płciowego. Korespondencję tę odkryła matka dziewczynki, przeglądając wiadomości na telefonie córki. Natomiast „łowcy pedofilów" zlokalizowali 20-latka na oświęcimskim dworcu i wezwali policję.

We wskazane miejsce natychmiast ruszył patrol. Przed dworcem funkcjonariusze zastali grupę osób, która wskazała podejrzewanego. 20-letni mieszkaniec Śląska trafił do pomieszczeń dla zatrzymanych oświęcimskiej komendy. Na prośbę oświęcimskich policjantów funkcjonariusze ze Śląska w miejscu zamieszkania zatrzymanego przeprowadzili przeszukanie, zabezpieczając m.in. jego sprzęt komputerowy.

Policjanci wydziału kryminalnego oświęcimskiej komendy szybko zweryfikowali informacje wynikające ze zgłoszenia i zebrali dowody świadczące o tym, że podejrzany na przełomie października i listopada 2021 r. poprzez korespondencję prowadzoną za pośrednictwem popularnego komunikatora internetowego namawiał 12-letnią dziewczynkę do obcowania płciowego. Na tej podstawie przedstawili 20-latkowi zarzut usiłowania nakłonienia małoletniej poniżej lat 15 do zbliżenia. Za takie przestępstwo grozi kara do dwóch lat pozbawienia wolności. Tymczasem prokurator zastosował wobec podejrzanego dozór kuratora i zakaz kontaktów oraz zbliżania się do pokrzywdzonej.

MATKA ZORIENTOWAŁA SIĘ ZBYT PÓŹNO

Wielkopolscy policjanci zatrzymali 24-latka, który za pośrednictwem komunikatora internetowego namówił nastoletnią dziewczynkę do czynności o charakterze seksualnym, a następnie przesłania mu swoich zdjęć. Sprawca został tymczasowo aresztowany. Grozi mu do 12 lat pozbawienia wolności.

Sprawa ma swój początek pod koniec kwietnia ubiegłego roku, kiedy do policjantów z Komendy Miejskiej Policji w Koninie zgłosiła się matka 13-letniej dziewczynki.

eprasa.pl 062fd4e8ab

Kobieta poinformowała, że w związku z niezrozumiałym i niepokojącym zachowaniem jej córki i wynikłym z tego konfliktem zajrzała do jej komputera i znalazła tam niepokojące treści. Okazało się, że za pośrednictwem komunikatora internetowego z dziewczynką kontakt nawiązał dorosły mężczyzna. Podczas prowadzonej korespondencji skutecznie namówił ją do wykonania czynności seksualnych, a następnie przesłania mu swoich zdjęć. O sprawie natychmiast zostali poinformowani policjanci z Wydziału do Walki z Cyberprzestępczością Komendy Wojewódzkiej Policji w Poznaniu, którzy namierzyli sprawcę. Mężczyzna został zatrzymany w miejscu pracy w Poznaniu. To 24-letni mieszkaniec Grodziska Wielkopolskiego. W przeszłości nigdy nie był notowany przez policję i cieszył się raczej dobrą opinią w swoim otoczeniu. Mężczyzna usłyszał zarzut popełnienia przestępstwa o charakterze pedofilskim i przyznał się do niego. Składając wyjaśnienia, nie potrafił racjonalnie wytłumaczyć motywów swojego działania. Decyzją sądu na wniosek prokuratora z Prokuratury Rejonowej w Koninie 24-latek został tymczasowo aresztowany na trzy miesiące.

Śledczy zajmujący się tą sprawą zabezpieczyli komputer pokrzywdzonej dziewczynki oraz telefon i sprzęt informatyczny zatrzymanego 24-latka. Niestety zgromadzone dowody wskazały jednoznacznie, że 13-latka nie jest jedyną pokrzywdzoną w tej sprawie. Zatrzymany 24-latek kontaktował się także z innymi dziewczynkami. Ich tożsamość jest ustalana przez policjantów. Lista zarzutów i zatrzymanych pedofilów również nie jest zamknięta. Pracując nad sprawą, policjanci wpadli na trop kolejnych sprawców tzw. groomingu. Ich zatrzymanie jest kwestią czasu.

UWIÓDŁ DZIECKO MŁODSZE O 39 LAT

Zabrzańscy policjanci razem z podkarpacką policją doprowadzili do zatrzymania 52-letniego mężczyzny, który jest podejrzany o obcowanie płciowe z 13-latką. Na wniosek zabrzańskiej prokuratury 52-latek został aresztowany na trzy miesiące. W trakcie przesłuchania przyznał się do postawionych mu zarzutów. Jak ustalili zabrzańscy policjanci, 52-letni mieszkaniec województwa podkarpackiego od lutego do marca 2021 r. trzy razy spotkał się z 13-letnią mieszkanką Zabrza. Mężczyzna dziewczynkę poznał na jednym z popularnych portali internetowych. Do spotkań dochodziło w hotelu na terenie Zabrza. Sytuacja wyszła na jaw dzięki czujności szkolnego pedagoga, który zauważył niepokojące zachowanie dziewczynki. Kiedy o możliwości popełnienia przestępstwa zostali poinformowani kryminalni z zabrzańskiej komendy, rozpoczęli intensywne działania śledcze zmierzające do zebrania obszernego materiału dowodowego i zatrzymania mężczyzny. Podczas przesłuchania mężczyzna przyznał się do wykorzystywania seksualnego 13-latki. Teraz grozi mu do 12 lat więzienia. Sprawa jest rozwojowa i nie jest wykluczone, że zatrzymanemu przedstawione zostaną kolejne zarzuty.

CO TO JEST GROOMING

Nieznana wcześniej w polskiej terminologii nazwa przestępstwa została skopiowana z języka angielskiego, jak się to zwykle dzieje w przypadku zjawisk związanych z nowymi technologiami. Trudno bowiem zastąpić słowo „grooming" polskim terminem „uwodzenie", gdyż grooming odnosi się precyzyjnie do wykorzystania w tym celu internetu. Zgodnie z definicją, grooming to działania podejmowane w celu zaprzyjaźnienia się i nawiązania więzi emocjonalnej z dzieckiem, aby zmniejszyć jego opory i później je seksualnie wykorzystać. Jest to także mechanizm używany, by nakłonić dziecko do prostytucji czy udziału w pornografii dziecięcej. Potocznie poprzez child grooming rozumie się uwodzenie dzieci przez internet.

PEDOFIL WPADŁ W SIDŁA

Mławscy policjanci zatrzymali 48-letniego mężczyznę, mieszkańca Mławy, podejrzanego o prezentowanie treści pornograficznych i składanie osobie małoletniej propozycji obcowania płciowego. Mężczyzna nie wiedział, że za 13-latkę podszył się dorosły internauta. 48-latek został aresztowany na trzy miesiące. Trwają czynności policji i prokuratury. Sprawa rozpoczęła się od tego, że mławska policja została powiadomiona przez grupę osób, zajmujących się ujawnianiem pedofilii, że mężczyzna mieszkający na terenie Mławy za pośrednictwem czatu internetowego składał propozycje czynności seksualnych oraz przesyłał treści pornograficzne użytkownikowi zalogowanemu jako 13-letnia dziewczynka. Profil ten należy do dorosłego mężczyzny, członka grupy zajmującej się ujawnianiem pedofilii. Powiadomieni o całej sytuacji mławscy policjanci wkroczyli do akcji. Mieszkanie mławianina zostało przeszukane, policjanci zabezpieczyli telefon, z którego mężczyzna łączył się na czacie. 48-latek został osadzony w mławskim areszcie. Usłyszał już zarzuty usiłowania prezentowania treści pornograficznych oraz składania propozycji obcowania płciowego małoletniemu.

Na wniosek Prokuratora Rejonowego w Mławie decyzją sądu podejrzany został aresztowany na trzy miesiące, grozi mu kara do trzech lat pozbawienia wolności. ●

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl 062fd4e8ab

Nuda nie jest wrogiem naszych dzieci. Niszczy je uzależnienie

Nauczymy młode pokolenia poprawnie korzystać z internetu

Niebezpieczeństwa czyhające na dzieci w związku z korzystaniem przez nie z internetu nie pochodzą tylko z zewnątrz, tzn. nie są generowane jedynie przez zawieranie znajomości z ludźmi o złych intencjach. O wiele bardziej powszechnym problemem, jaki wiąże się z nieodpowiednim używaniem sieci przez młode pokolenie, jest uzależnienie. Skutkuje ono swoistym okaleczeniem mózgu młodego człowieka, generuje trudności w przeżywaniu swojego prawdziwego, realnego życia i stawianiu czoła codziennym kłopotom i troskom. Uzależnienie od internetu może być równie destrukcyjne co zniewolenie przez używki

eprasa.pl 0321d4e8ab

Psychologowie są zgodni, że mechanizm prowadzący do uzależnienia od wszelkich urządzeń wyposażonych w ekrany (dziś dotyczy to głównie smartfonów) jest identyczny jak w przypadku wszelkich innych nałogów, czy to behawioralnych, wynikających z pewnych zachowań, czy to substancjalnych, polegających na używaniu określonych substancji. Od strony chemicznej uzależnienie wiąże się z produkcją przez nasz organizm dopaminy – związku chemicznego, który odpowiada za takie odczucia jak satysfakcja, zadowolenie, spełnienie czy po prostu poczucia szczęścia.

WSZYSCY CHCĄ SZCZĘŚCIA I AKCEPTACJI

Obsesyjne korzystanie z mediów społecznościowych, zbieranie tzw. lajków czy serduszek pod swoimi postami czy umieszczanymi w sieci zdjęciami może być jednym ze sposobów na dopaminowe wspomaganie swojego mózgu. Oczywiście taki sposób poszukiwania spełnienia, szczęścia czy satysfakcji nie jest ograniczony jedynie do młodych pokoleń, ale to właśnie wśród młodych osób jest najbardziej destrukcyjny. Dlaczego? Odpowiedzi na to i wiele innych pytań udziela psycholog Bogna Białecka, prezes Fundacji Edukacji Zdrowotnej i Psychoterapii, która pomaga rodzicom odpowiednio zajmować się dziećmi w świecie zdominowanym przez urządzenia cyfrowe.

– Internet sam w sobie nie jest zły, tylko tyle, że należy się nauczyć z niego dobrze korzystać. I tutaj akurat my, dorośli, wychowani jeszcze przed epoką smartfonu mamy przewagę nad młodymi pokoleniami, wynikającą z tego, że musieliśmy się nauczyć pewnych umiejętności w świecie realnym i dopiero później mogliśmy wykorzystać je i przełożyć na poruszanie się w internecie. Dla nas internet może być genialnym narzędziem do wyszukiwania informacji, artykułów naukowych, poszerzenia wiedzy, zdobywania informacji na temat swojego hobby. Starsze pokolenia chętnie oglądają tzw. tutoriale, które pokazują, jak zrobić różne praktyczne rzeczy. Jest masa rzeczy naprawdę wartościowych w internecie i dotyczy to także tak często krytykowanych mediów społecznościowych czy komunikatorów. Przykładem mogą być grupy osób chorujących na jakieś niezwykle rzadkie choroby, które w świecie realnym pewnie nigdy nie miałyby szansy na spotkanie, a dzięki jakiejś grupie, która działa na poziomie ogólnoświatowym, członkowie tej grupy otrzymują wzajemne wsparcie od ludzi, którzy idealnie rozumieją dany problem, mogą się wymieniać swoim doświadczeniem czy poradami. Czyli nawet w mediach społecznościowych mogą być rzeczy, które są dobre, nie możemy więc ogólnie podsumować, że internet, ekrany to jest po prostu szatan wcielony i trzeba to przekreślić i wyrzucić i w ogóle nie mieć z tym kontaktu – mówi Bogna Białecka. Refleksja ta pochodzi z wywiadu, jaki rektor Szkoły Podstawowej i Liceum im. św. Tomasza z Akwinu ks. Szymon Bańka FSSPX zamieścił na kanale Szkoły Akwinaty w serwisie YouTube. Wywiad z Bogną Białecką został zatytułowany „Ratuj swój mózg", bo to właśnie mózgi najmłodszych są najbardziej narażone na nieprawidłowy rozwój w przypadku złego sposobu korzystania z internetu.

RATUJ SWÓJ MÓZG!

– Nastolatki mogą przewyższać ludzi dojrzałych sprawnością intelektualną, ale nie są na tyle dojrzałe, żeby panować w pełni nad swoimi emocjami. To wynika z neurobiologii, z faktu, że ludzki mózg dojrzewa do 23.–25. roku życia. Jako ostatnie dojrzewają struktury mózgu, które są odpowiedzialne za samokontrolę, za racjonalną ocenę sytuacji, za niepoddawanie się impulsom. I w takiej, nazwijmy to, „normalnej" sytuacji, w jakiej dorastały poprzednie pokolenia, rozwój mózgu przebiegał w sposób naturalny i miał więcej czasu na przejście procesu dojrzewania. Natomiast jeżeli w okresie dojrzewania mózg będzie cały czas funkcjonował na dopaminowo-adrenalinowym „haju", gdzie liczą się przede wszystkim emocje, a nie informacje i rozumowanie, to wówczas prawidłowy rozwój fizyczny mózgu może się nawet zatrzymać. Zwłaszcza w przypadku uzależnień w młodym wieku struktury mózgu odpowiedzialne za samokontrolę często wcale nie dojrzewają – wyjaśnia Bogna Białecka.

Szukanie akceptacji i „małych sukcesów" poprzez zbieranie lajków czy serduszek to tylko jedna z odsłon szerokiej palety sposobów, w jaki może uzależnić internet. Jednym z najbardziej destrukcyjnych przejawów uzależniania jest oczywiście pornografia, która wyzwala w umysłach młodych ludzi istne potoki dopaminy, skutkując jednocześnie degradacją ich relacji z innymi ludźmi w realnym świecie. Zgubny wpływ pornografii na umysły i zachowania młodych ludzi może mieć tak wielorakie skutki dla późniejszego życia, że nie sposób ich wszystkich omówić. Jednym z najpowszechniejszych jest z pewnością trudność ze zbudowaniem normalnej, zdrowej miłosnej relacji z drugą osobą, którą osoba uzależniona często traktuje jak kolejną odsłonę swojego nałogu i oczekuje od niej zachowań, które dadzą jej dopaminową satysfakcję na tym samym poziomie, co oglądane filmy czy zdjęcia pornograficzne. Stąd już tylko krok do patologicznych relacji, rozbitych rodzin i wielu innych dramatów. O ile w ogóle uzależniony od pornografii nastolatek da radę osiągnąć etap próby założenia rodziny, bo już nawet to może być dla niego bardzo trudne.

RODZICE MAJĄ NARZĘDZIA

Świadomi rodzice i opiekunowie muszą zatem zdawać sobie sprawę, że ich obowiązkiem jest pomoc swoim dzieciom we właściwym korzystaniu z internetu. Z pewnością podejście skutkujące całkowitym zakazem jakiejkolwiek aktywności w sieci nie będzie najlepszym rozwiązaniem.

– Oczywiście, że zawsze lepiej jest zapobiegać, niż leczyć, czyli najlepiej kiedy ktoś od samego początku jest uczony zdrowego korzystania z elektroniki. Niestety niewielu rodziców ma wiedzę, jak to właściwie zrobić. Bo to rzeczywiście nie jest proste. Pierwszy problem jest taki, że generalnie dajemy za wcześnie dzieciom dostęp do elektroniki, do ekranów, do komputerów, a szczególnie do smartfonów. Stowa-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 062fd4e8ab

rzyszenia pediatrów z całego świata szacują, że człowiek najwcześniej jest gotowy, żeby dać sobie radę z wyzwaniem, jakie stanowi smartfon, od 13. roku życia. Jaka tymczasem jest średnia wieku, kiedy dzieci dostają smartfon? Z badań wynika, że to 7–8 lat, na przykład na I Komunię Świętą dzieci bardzo często dostają smartfon. To jest zdecydowanie za wcześnie i dzieci sobie z tym nie radzą. Mało tego, nawet kiedy smartfona dostanie 13-latek, to także nie powinien być to smartfon pozbawiony ograniczeń. Są dobre narzędzia wsparcia dla rodziców, jak Google Family Link czy ESET Parental Control. Są to oprogramowania, które instaluje się i na smartfonie rodzica, i na smartfonie nastolatka. U rodzica to jest wersja rodzicielska, u nastolatka wersja dla nastolatków i ta wersja rodzicielska pozwala kontrolować opiekunowi, co na przykład dziecko zainstaluje na swoim smartfonie. Rodzic może nawet w sklepie z aplikacjami wyłączyć dostęp do tych, które są od 18 lat, i nastolatek ich nawet tam nie zobaczy, więc nie będą dla niego pokusą. Ta kontrola umożliwia także opiekunowi położenie smartfona dziecka „spać", czyli zaprogramować tak, że na przykład o godzinie 20 będzie się on wyłączał i włączał dopiero rano – tłumaczy Bogna Białecka. – Oczywiście dzieci są najczęściej przeciwne temu, rozpoznają taką kontrolę jako ingerencję w swoją prywatność, bo przecież smartfon jest bardzo prywatną rzeczą, niemal jak szczoteczka do zębów, a tutaj mama w nim „grzebie". Jest to niezbędne ze względu na to, żeby nauczyć dziecko korzystać z niego w zdrowy sposób. Dzieci nabywają w ten sposób nawyków takich, że nie chodzą ze smartfonami do łóżka, nie śpią z nimi pod ręką. Oprócz wspomnianych narzędzi rodzice mają też dużo innych możliwości edukowania swoich pociech. Mogą uczyć dzieci, by zawsze zasiadały przed ekran z jakimś celem, z planem, co konkretnie chcą w tym internecie zrobić. Taki sposób korzystania z sieci wyklucza jałowe „zabijanie czasu", a młodzi ludzie bardzo często w ten sposób reagują na nudę, klikają bez celu. To często nie jest tak, że oni chcą przez następne trzy godziny siedzieć na TikToku, tylko siedzą tam, bo i tak im się nudzi. Oglądają już nawet nie to, co ich interesuje, tylko cokolwiek – dodaje psycholog.

Jak zatem nauczyć młodych ludzi tego, by internet i możliwości, jakie daje, stały się dla nich użytecznym i pomagającym poszerzać swoją wiedzę i horyzonty narzędziem? Jak ustrzec dzieci przed tym, by nie stały się niewolnikami narzędzi wyposażonych w ekrany, by potrafiły się cieszyć życiem poza siecią, by uśmiech na ich twarzach pojawiał się chociażby z powodu ładnej pogody czy spotkania z krewnymi czy znajomymi w realnym świecie? Z pewnością opiekunowie i rodzice nie mogą bagatelizować zagrożeń płynących z internetu. Skrajnie nieodpowiedzialną postawą jest pozostawienie dzieci na pastwę gadżetów elektronicznych w imię poszukiwania świętego spokoju. Rodzice i opiekunowie powinni zacząć od edukowania samych siebie, jak radzić sobie z wyzwaniami pedagogiki w XXI w. Jeśli dobrze odrobimy tę lekcję, nasze dzieci będą nam kiedyś za to wdzięczne, nawet jeśli dziś nie wszystko im się spodoba. ●

POZWÓLMY NASZYM DZIECIOM NA NUDĘ!

My, rodzice czujemy presję, wydaje się, że jesteśmy odpowiedzialni za to, by nasze dzieci zawsze miały jakieś zajęcie i nigdy się nie nudziły. Jednak – wręcz przeciwnie do oczekiwań – nuda, ten czas, gdy umysł człowieka błądzi pozornie bez celu i bez zajęcia, jest nie tylko korzystna, lecz jest nam wręcz niezbędna. Dziennikarka Manoush Zomorodi opisuje korzyści z nudzenia się w książce: „Bored and Brilliant: How Spacing Out Can Unlock Your Most Productive and Creative Self". „Znudzony i błyskotliwy – jak zagapienie się może uwolnić twą produktywność i kreatywność". Gdy się nudzimy, w mózgu włącza się obwód, który można nazwać „jałowym przebiegiem". Choć ciało działa na tzw. autopilocie mózg wbrew pozorom działa na pełnych obrotach. Gdy pozwalamy umysłowi błądzić, mózg zaczyna łączyć pozornie niezwiązane z sobą fakty i skojarzenia, może się znienacka okazać, że niejako przypadkiem rozwiązaliśmy jakiś problem. Współcześnie, nadużywając technologii, pozbawiamy się właśnie tych momentów zawieszenia, swobodnego błądzenia myślami. Wydawałoby się, że gdy przerzucamy uwagę z jednego medium na drugie (na przykład z ekranu telewizora na smartfon), umysł podobnie błądzi od jednej myśli do innej, jednak to zupełnie inny mechanizm niż przy marzeniach na jawie. Szybko zmieniające się na ekranie sceny wymuszają na mózgu przerzucenie uwagi z jednego bodźca na inny. W swobodnych rozmyślaniach skojarzenia pojawiają się z impulsu wewnętrznego, są wynikiem tego „jałowego przebiegu", sposobu, w jaki mózg stara się uporządkować już posiadane dane.

** Tekst w ramce pochodzi ze strony Bognabialecka.pl, gdzie rodzice znajdą kompendium wiedzy o tym, jak pomagać dzieciom bezpiecznie i użytecznie korzystać z dobrodziejstw internetu i elektronicznych gadżetów*

eprasa.pl 062fd4e8ab

Jak uzyskać pomoc z Funduszu Sprawiedliwości

Fundusz Pomocy Osobom Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej – Fundusz Sprawiedliwości jest funduszem celowym ukierunkowanym nie tylko na pomoc ofiarom przestępstw i osobom im najbliższym, zawiera więc w sobie ideę kompleksowego przeciwdziałania skutkom przestępstwa. Chociaż Fundusz Sprawiedliwości został utworzony już w 1997 r., to dopiero w ostatnich kilku latach zaczął pełnić znaczącą funkcję poprzez dynamiczny wzrost środków będących w dyspozycji Funduszu. Jeszcze w latach 2013–2017 ośrodki świadczące pomoc ofiarom przestępstw otrzymywały rocznie mniej niż 20 mln zł do podziału, w 2018 r. było to 25 mln zł, a w 2019 r. niemal 76 mln zł! Pieniądze te pochodzą ze świadczeń zasądzanych od sprawców przestępstw, a więc to sprawcy finansują pomoc ofiarom

Środki Funduszu Sprawiedliwości przeznaczane są na takie cele jak:

- pomoc osobom pokrzywdzonym przestępstwem oraz osobom im najbliższym jak również świadkom przestępstw, zwłaszcza pomoc medyczna, psychologiczna, rehabilitacyjna, prawna oraz materialna,
- pomoc postpenitencjarna dla osób pozbawionych wolności, zwalnianych z zakładów karnych i aresztów śledczych oraz dla ich najbliższych, udzielana przez zawodowych kuratorów sądowych oraz Służbę Więzienną,
- działalność podejmowana lub powierzona przez Dysponenta Funduszu, mającą na celu wsparcie i rozwój systemu pomocy dla osób pokrzywdzonych przestępstwem i świadków oraz pomocy postpenitencjarnej, a także przeciwdziałanie przyczynom przestępczości, polegającą w szczególności na:
  - promowaniu i wspieraniu inicjatyw oraz przedsięwzięć służących poprawie sytuacji osób pokrzywdzonych przestępstwem oraz skutecznej readaptacji skazanych,
  - podejmowaniu przedsięwzięć o charakterze edukacyjnym i informacyjnym, w tym dotyczących przyczyn i uwarunkowań przestępczości oraz jej zapobiegania,
  - pokrywaniu kosztów związanych z organizowaniem i prowadzeniem kształcenia, studiów podyplomowych, kursów dokształcających,
  - podejmowaniu, organizowaniu i zlecaniu badań naukowych, prac rozwojowych, współpracy z innymi jednostkami w tym zakresie, dotyczących sytuacji oraz potrzeb osób pokrzywdzonych przestępstwem, świadków, osób skazanych, a także przyczyn i uwarunkowań przestępczości oraz sposobów jej zapobiegania,
  - promowaniu systemu pomocy osobom pokrzywdzonym przestępstwem i świadkom oraz pomocy postpenitencjarnej,
  - upowszechnianiu wiedzy na temat praw osób pokrzywdzonych przestępstwem oraz alternatywnych metod rozwiązywania konfliktów, w szczególności mediacji w sprawach rodzinnych, nieletnich i karnych,
  - działaniu wspierającym rodziny zagrożone dysfunkcyjnością, w szczególności w zakresie profilaktyki i terapii uzależnień oraz współuzależnień i rozwiązywania konfliktów w rodzinie.

PLACÓWKI FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI SĄ W CAŁEJ POLSCE

Osoby pokrzywdzone przestępstwem nie mogą zostać same!

Po pomoc w ramach Funduszu Sprawiedliwości można się zgłosić bezpośrednio do jednego z Okręgowych Ośrodków lub Lokalnego Punktu Pomocy Pokrzywdzonym Przestępstwem, tworzących Ogólnopolską Sieć Pomocy Osobom Pokrzywdzonym, lub telefonicznie za pomocą Linii Pomocy Pokrzywdzonym pod nr telefonu 222 309 900, lub przez skrzynkę pocztową info@numersos.pl.

Koszt połączenia z numerem jest analogiczny do połączenia z każdym numerem stacjonarnym (wg stawki operatora). Jednocześnie więcej sposobów kontaktu można znaleźć na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl, gdzie m.in. zamieszczono wykaz kilkuset placówek rozsianych po całej Polsce. ●

TAK WSPIERA FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

- Pieniądze od sprawców przestępstw ratują pacjentów już ponad 150 szpitali w całej Polsce, do których trafił sprzęt medyczny wart ponad 52 mln zł. Będą ratować pogrążonych w śpiączce chorych w tworzonej przez fundację Ewy Błaszczyk Klinice Budzik dla dorosłych, na której budowę Fundusz Sprawiedliwości przeznaczył 37 mln zł. Niosą ratunek w walce z koronawirusem, na którą Fundusz przekazał niebagatelną kwotą 25 mln zł.
- Pieniądze od sprawców przestępstw wspierają w ratowaniu ludzkiego zdrowia i życia strażaków ochotników, którzy z Funduszu Sprawiedliwości otrzymali w latach 2017–2021 już ponad 190 mln zł na zakup nowoczesnego sprzętu. Chronią przed wypadkami na drodze dzieci, do których trafiły 3 mln kamizelek odblaskowych.
- Fundusz Sprawiedliwości to także kilkaset miejsc świadczenia pomocy w całym kraju, tworzących Sieć Pomocy Pokrzywdzonym, gdzie ofiary przestępstw codziennie otrzymują prawne, psychologiczne i materialne wsparcie. Nigdy wcześniej skala pomocy nie była tak wielka. Korzystają z niej dziesiątki tysięcy osób, których dotknęła tragedia – zostały pozbawione przez przestępców środków do życia, straciły zdrowie w wypadku, padły ofiarą przemocy domowej.

STOWARZYSZENIE AKADEMIA SPORTU Artura Siódmiaka

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Współfinansowano ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

Dodatek powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 80/0122/F

eprasa.pl 062fd4e8ab

Od chłopca do króla

O tym, że ma jeszcze w rękawie sporo aktorskich asów, Andrew Garfield – Człowiek Pająk, który przypomniał o sobie w megaprodukcji „Spider-Man: Bez drogi do domu", zdobywca Złotego Globu 2022 za główną rolę w „Tick, Tick... Boom!" – pokazał też w filmach „Król internetu" i „Oczy Tammy Faye", które wchodzą właśnie do polskich kin

eprasa.pl 062fd4e8ab

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Był sobie aktor – z talentem, potencjałem i charyzmą – który świetnie sprawdzał się w rolach zagubionych chłopców i poszukujących drogi młodych ludzi. Nie bez powodu to właśnie jego wybrał Mel Gibson do roli Desmonda Dossa, heroicznego pacyfisty z „Przełęczy ocalonych" (2016). Andrew Garfield został za tę kreację nominowany do Oscara i Złotego Globu. Miał już wtedy... 33 lata.

Był znany widzom m.in. jako ekranowy Człowiek Pająk (stał się nim w „Niesamowitym Spider-Manie" z 2012 r. i kontynuacji z 2014). Przejmując kostium po poprzednim odtwórcy (Tobey Maguire), stworzył postać „brawurową, dowcipkującą" i – jak na wcześniejsze odsłony superbohatera – nonszalancką, ale w takim właśnie wcieleniu pokochali go widzowie. I z powrotu – choćby na chwilę – takiej wersji Człowieka Pająka ucieszyli się, idąc na najnowszy przebój Marvela „Spider-Man: Bez drogi do domu" w reż. Jona Wattsa. Utrzymywaną w tajemnicy niespodzianką produkcji był udział w niej dwóch aktorów, którzy wcielali się w postać Człowieka Pająka przed obecnym odtwórcą, Tomem Hollandem. Garfield i tym razem nie zawiódł widzów, potwierdzając, że ma w swoich rolach znacznie więcej do zaoferowania niż tylko wyćwiczone mięśnie i życiowe wycofanie postaci, skrytej pod obcisłym strojem.

OTWARTA STRATEGIA

Od kiedy zadebiutował na ekranie w brytyjskim serialu „Sugar Rush" (2005), wśród licznych filmowych tytułów na jego koncie znalazły się m.in. „The Social Network" Davida Finchera i „Nie opuszczaj mnie", gdzie partnerował m.in. Keirze Knightley (oba z 2010 r.), a także „Ukryta strategia" (2007). Tu miał okazję pracować z Meryl Streep, Robertem Redfordem i Tomem Cruise'em. Spotkanie to zaowocowało tytułową postacią w brytyjskim dramacie „Chłopiec A" (historii 24-latka, który po wyjściu z więzienia, gdzie kilka lat wcześniej osadzono go za zabójstwo, próbuje sobie ułożyć życie).

W 2022 r. Garfield wszedł z impetem. Złoty Glob trafił do niego za rolę w filmie „Tick, Tick... Boom!". Zagrał w nim bohatera wzorowanego na autentycznej postaci Jonathana Larsona, autora m.in. najdłużej granego na Broadwayu musicalu „Rent" (którego premiera odbyła się tuż po nagłej śmierci kompozytora, w styczniu 1996 r.) oraz „monologu rockowego »Tick, Tick... Boom!«". Jon jest niespełnionym twórcą. Dobiegającym trzydziestki, ale wciąż na początku drogi artystycznej i uczuciowych rozdrożach.

Rola w filmie, który dla platformy Netflix wyreżyserował Lin-Manuel Miranda, pozwoliła 38-letniemu aktorowi wykazać się nie tylko znanymi już widzom umiejętnościami. W musicalowo-dramatycznej formule także śpiewa (i to naprawdę nieźle) oraz gra na fortepianie. W jednym z wywiadów stwierdził: „Chciałbym dalej robić coś ze swoim wokalem. Lin-Manuel dał mi wielki prezent, pozwalając zaprezentować taką umiejętność. Postawiłem pianino w swoim pokoju i przez najbliższe tygodnie będę szlifował swoje umiejętności gry na nim. Tylko dla siebie. Taka nauka przypomina mi medytację".

Kto interesował się życiem prywatnym aktora, patrząc na prowadzenie historii w „Tick, Tick... Boom!", może wspomnieć Oscarowe „La La Land" z 2016 r., potwierdzające nowe trendy w kinowych muzycznych produkcjach. Wśród kilku statuetek Złotego Rycerza, przyznanych za tamten projekt, jedną odebrała Emma Stone. To ona partnerowała Garfieldowi w „Niesamowitym Spider-Manie" oraz kontynuacji. Przez trzy lata byli w związku.

GWIAZDY SWOICH CZASÓW

Z jednej strony Człowiek Pająk, z drugiej poszukujący własnej drogi artysta... Między te bardzo różne postaci Garfield może jeszcze wpisać wykreowaną w ostatnim czasie rolę kostiumową, choć z nie tak odległej przeszłości. Film „Oczy Tammy Faye" przybliża historię spektakularnej kariery i upadku telewizyjnej ewangelistki Tammy Faye Bakker. W latach 70. i 80. ubiegłego stulecia Tammy Faye (Jessica Chastain) i jej mąż Jim Bakker (w tej roli Garfield) zbudowali imponującą religijną sieć medialną oraz chrześcijański park rozrywki. Pasmo ich sukcesów i wielką popularność Tammy (słynącej również z wyrazistego makijażu) zniszczyły skandale finansowe. Misternie budowane przez bohaterów imperium runęło. Pół wieku później, w zupełnie innych technologicznie realiach, widowiskowego upadku doświadczył Link, bohater filmu „Król internetu" wyreżyserowanego przez wnuczkę Francisa Forda Coppoli i bratanicę Sofii Coppoli, Gię.

Reżyserka wspomina: „Wszystko zaczęło się od »Twarzy w tłumie« [ang. „A Face In The Crowd"] z 1957 r., której akcja dzieje się w momencie, gdy telewizja szturmem zdobywała uwagę wszystkich, wypierając radio czy kino. Główny bohater z dnia na dzień zostaje gwiazdą telewizji, całkowicie zachłystując się sławą. Niesamowite, jak bardzo to, co się dzieje w związku z rozwojem social mediów, koresponduje z czasami rozkwitu telewizji. Szukając pomysłów na film, równie ważne były dla mnie dwa ikoniczne filmy o telewizji: »Sieć« i »Broadcast News«. Oba pokazują, jak działają na nas media" – dodaje reżyserka.

Deklaruje, że film zrobiła ku przestrodze, to ostrzeżenie. „Wciąż nie wiemy, jak odnaleźć się w komunikacyjnej rzeczywistości, ani też nie potrafimy ocenić,

eprasa.pl 062fd4e8ab

jaki wpływ social media będą miały na nasze zdrowie psychiczne w przyszłości. Kolejne wyzwanie to zbadanie, jak bardzo jesteśmy podatni na działanie trwającego niemal bez przerwy oceniania ze strony innych ludzi".

Showmana influencera – który zachłystuje się i gubi w tym, co na początku sam piętnował i obśmiewał – wprowadza mimowolnie do show-biznesu, również nieświadoma konsekwencji i nie do końca na nie przygotowana Frankie. Gra ją Maya Hawke (gwiazda serialu „Stranger Things" i filmu Quentina Tarantino „Pewnego razu... w Hollywood").

MIĘDZY BIEGUNAMI

Do roli Linka, sympatycznego chłopaka, który jako showman staje się bezdusznym graczem, od samego początku przewidywany był Garfield. Reżyserka, wielka fanka talentu i charyzmy aktora, uważa, że proponując mu udział w „Królu internetu", dała mu szansę na wyjście z dotychczasowych zawodowych ram. Mówi: „Obsadzano go w rolach superbohaterów albo miłych chłopaków. Tu miał możliwość zagrania zupełnie innej postaci niż dotychczas. Mam nadzieję, że jego publiczność będzie zaintrygowana jego nowym obliczem". I rzeczywiście graniczące z brawurą poczynania aktora (także te kręcone w happeningowych realiach, wśród nieświadomych filmowej sytuacji przechodniów) pokazują, że w warsztatowym i zawodowym spektrum nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

On sam w wywiadzie dla strony internetowej IndieWire scenę, gdy niemal nago biegał po centrum Hollywood, skomentował: „To było jak jazda na rollercoasterze". Nawiązując do przekraczania granic, w tej samej rozmowie wspomina, że jako ułożony i spokojny nastolatek wybrał na przyszłe życie aktorstwo, bo dzięki niemu pozwolono mu m.in. doświadczyć rzeczy zabronionych, gdy dorastał. „Nagle zostałem zachęcony do bałaganu, wrażliwości, wściekłości. Dano mi przestrzeń na bycie brzydkim, groteskowym, wszystkim tym, co jako istoty ludzkie staramy się w sobie tłumić, by być kochanymi i akceptowanymi".

Przywołując cytat z wiersza Rilkego: „Weź swoje talenty i rozciągnij je między dwoma przeciwnymi biegunami, ponieważ Bóg uczy się w człowieku", rozwija myśl: „Jeśli mogę umieścić swoje ciało między dwoma przeciwnymi biegunami i rozciągać się, rozciągać, rozciągać, rozciągać... to się rozszerzam i mam nadzieję, że daję ludziom możliwość poszerzenia własnej świadomości i empatii".

Pytany o Spider-Mana deklaruje, że chciał nim być „od kiedy mógł mówić", ale też wiele z tego, co zrobił od czasu roli Człowieka Pająka, polegało na szukaniu balansu. Pozwoleniu sobie na inne wybory. W tym także na stworzenie tak kontrowersyjnej postaci jak Link w filmie „Król internetu".

Debiut na 50-lecie legendy

O tym, że Dariusz Kozakiewicz jest wybornym gitarzystą, wie każdy fan rocka w Polsce. Dwupłytowy album „Krokodyl", wydany na 70-lecie urodzin i 50-lecie jego obecności na scenie, dokumentuje popisy instrumentalne jubilata, ukazuje także mniej znane oblicze muzyka: jako kompozytora i wokalisty.

Adam Ciesielski

Młodsze pokolenie kojarzy Kozakiewicza tylko z Perfectem, z którym artysta był związany od 1997 r. do niedawnej decyzji o zaprzestaniu działalności grupy. Nie tylko grał w niej, lecz także skomponował takie przypomniane teraz utwory jak m.in. „Dar", „Raz po raz", „Dobre dni", „Wszystko ma swój czas", napisał też muzykę do pożegnalnego singla formacji – „Głos". Wszakże Darek to kawał wcześniejszej od Perfectu historii polskiego rock and rolla.

Zaczynał w zespołach Pięciu i Test, słychać go w albumie Breakoutu „Blues" (teraz na płycie mamy jego riffy w utworach „Oni zaraz przyjdą tu", „Pomaluj moje sny", „Gdybym był wichrem", „Przyszła do mnie bieda"). Poza rockmanami cenili go i zapraszali jazzmani ze Zbigniewem Namysłowskim i Wojciechem Karolakiem na czele. Z jego muzyki lub akompaniamentu chętnie korzystali wokaliści – od Anny Jantar, Wojciecha Kordy, Marka Piekarczyka, Ryszarda Rynkowskiego, do Natalii Sikory i Patrycji Markowskiej. Wszystkich ich słyszymy na płytach. W pamięć zapada przebój „Uciekaj moje serce" zaśpiewany i nagrany przez Grzegorza Markowskiego z towarzyszeniem Dariusza Kozakiewicza dla Polskiego Radia w dziewiątą rocznicę śmierci Agnieszki Osieckiej.

Pierwszy album sygnowany nazwiskiem Kozakiewicza wieńczy debiut wokalny jubilata w skomponowanej przezeń balladzie „To nie żart" z nader aktualnym tekstem Jacka Cygana. Czyżby początek nowego rozdziału w bogatej karierze gitarzysty?

Dariusz Kozakiewicz
„Krokodyl. 50 lat na scenie"
Wyd. Polskie Radio

eprasa.pl 062fd4e8ab

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Narty i wojenne ciernie – film o Marusarzu

Podobało mi się, acz odczuwam niedosyt. To moja reakcja na film „Marusarz, tatrzański orzeł". TVP1 pokazała go zaraz po konkursie skoków narciarskich.

Z czasów swojej młodości pamiętam jeszcze Stanisława Marusarza, narciarza i kuriera tatrzańskiego. Dla mnie był starszym panem, który przed kamerami gierkowskiej telewizji wygłaszał czasem pogadanki o narciarstwie i o wojnie. Pamiętam, że był dla mnie autorytetem, choć o samych sportach zimowych miałem niewielkie pojęcie. Wiedziałem, że miał siostrę Helenę, która zginęła podczas wojny zamordowana przez Niemców, oglądałem w Zakopanem jej grób. Film ma w sobie trochę staroświeckiego uroku zapamiętanego z wystąpień pana Marusarza w góralskim swetrze.

Jest on dziełem zdolnego tandemu: Marek Bukowski, zwykle aktor, a tu reżyser, oraz Maciej Dancewicz, historyk, współscenarzysta. To oni opowiedzieli nam ciekawą historię o Tadeuszu Dołędze-Mostowiczu w Teatrze Telewizji sprzed trzech lat. Oni też fenomenalnie uczcili ostatnio 40. rocznicę antysolidarnościowego puczu Jaruzelskiego przypomnieniem prozy Marka Nowakowskiego w sugestywnym filmie „Babilon. Raport o stanie wojennym". Patronuje im producent Piotr Mikołajczak.

Spektakl o pisarzu Dołędze zachwycał niesztampowym, dalekim od lakiernictwa podejściem do II Rzeczpospolitej. „Babilon" posługiwał się chwilami konwencją komiksu, a przecież oddawał grozę wiosny 1982 r. w Warszawie, tak jak ją przeżywał Nowakowski. Na tym tle film o narciarzu może się wydawać skromniejszy. Nieco ponad godzina, ledwie kilka scen z życia sławnego górala i sportowca.

Mamy urokliwe obrazki z dzieciństwa Staszka i Heleny (wspaniali Janka Cholewa i Mateusz Bożek), kiedy uczyli się nart, mamy ich losy z czasów wojny, kiedy byli kurierami, i wszystko to wspominane jest z perspektywy wizyty Stanisława wraz z żoną na sylwestra roku 1966 w niemieckim Garmisch-Partenkirchen, kiedy przyjęli zaproszenie tamtejszych środowisk sportowych. Sport, wiara w jego czystość i ponadpolityczność, zderza się tu boleśnie z odczuwaniem cierni tkwiących w ciele człowieka doświadczonego przez wojnę. Cierni, których Marusarz nie umie się pozbyć, choć może próbować, choćby skacząc w wieku ponad 50 lat ze szczególnie wymagającej skoczni.

Odwołujemy się tu bardziej do emocji niż spójnej narracji, ale dla mnie była to emocja oczyszczająca. A przy okazji dodatkowe wrażenia, choćby to, jak bardzo przedwojenni sportowcy, także ci dwujęzyczni górale, byli elitą polskiego narodu.

Sport nie może zaleczyć ran, choć są i elementy optymizmu, choćby serdeczna, pełna empatii postać norweskiego narciarza zagranego świetnie przez Krzysztofa Szczepaniaka. Ale on nie jest Niemcem. Niemcem jest za to krążący wśród miłych sportowców volksdeutsch, który próbował Marusarza złamać w krakowskim więzieniu, namawiając do współpracy – przy użyciu sportowych argumentów (znakomity Robert Czebotar). Ciężko jest sportowi wygrać z tak totalną polityką. Przeżywamy to i dlatego, że walkę z samym sobą wiarygodnie gra modny ostatnio aktor Mateusz Janicki (w roli tytułowej).

A skąd niedosyt? Bo to materiał na długometrażowy film, może i serial. Warto by postawy takich ludzi jak Marusarzowie czy Bronisław Czech, kolejny narciarz męczennik (Marcin Stępniak) zderzyć z pokusami części góralskiej społeczności, aby pójść na kolaborację motywowaną mętnymi rasowymi teoriami. Powstaje film Marcina Koszałki o Goralenvolku. To mogłoby być oświetlenie tego samego tematu jak gdyby z drugiej strony.

Piotr Zaremba

eprasa.pl 062d4e8ab

Odszedł Jacek Trznadel

22 stycznia zmarł Jacek Trznadel. Był przede wszystkim wybitnym krytykiem literackim, choć ostatnie dekady jego życia wypełniała tematyka katyńska. Domagał się też powołania międzynarodowej komisji do zbadania przyczyn katastrofy smoleńskiej. Profesor przeżył 91 lat

Mniej więcej do 45. roku życia nic nie wskazywało, że będzie się zajmował czymkolwiek innym niż literatura. Początki swojego wykształcenia odebrał w rodzinnym Olkuszu – choć nie były one łatwe, bo rozpoczętą w 1937 r. naukę szybko przerwała wojna. Miał jednak to szczęście, że jego matka Irena Trznadlowa była nauczycielką, mógł więc liczyć na jej pomoc i odpowiednie lektury. Z okresu wojennego wyszedł z gotowym pomysłem na życie. Miało być ono poświęcone karierze uniwersyteckiej i literaturze. Dokładnie wtedy, gdy rozpoczynał studia na Uniwersytecie Wrocławskim (1948 r.), zaczynał obowiązywać w Polsce socrealizm. Nawet tak wybitni później twórcy jak Tadeusz Konwicki czy Marek Hłasko mieli swoje literackie epizody wychwalające świat pracy socjalistycznej i tropiące wrogów systemu.

Szczęściem w nieszczęściu było to, że Trznadel był już wówczas człowiekiem dostatecznie dorosłym, by obserwować te zjawiska świadomie, a jednocześnie zbyt młody, by samemu publikować. Jako student obserwował więc po prostu całe to socrealistyczne uderzenie. Widział postawy pisarzy i stosunek władz do pisarzy, a potem hałaśliwy upadek całej tej wyjątkowo nietrafionej idei. Wcale jednak nie ukrywał, że w pewnym momencie dał się ponieść powszechnemu uniesieniu, a w jego mieszkaniu portret Stalina wisiał w widocznym miejscu. Podobno miało to wpływ na jego pracę magisterską. Ale to właśnie poczynione wówczas obserwacje – zarówno kolegów, jak i siebie samego – stały się po latach podstawą do najsłynniejszej jego książki, czyli „Hańby domowej". Na nią jednak będzie trzeba poczekać do 1986 r.

Tymczasem jego kariera rozwija się w naturalnym tempie karier uniwersyteckich. Studiuje we Wrocławiu, w Krakowie, w Warszawie – doktorem zostaje w wieku 34 lat, habilitację uzyskuje osiem lat później. W 1956 r. został członkiem PZPR. Data znamienna: odwilż, zmiany, nadzieje. To z pewnością pomogło mu uzyskać zgodę na wyjazd do Francji, gdzie pełnił funkcję szefa katedry literatury polskiej na paryskiej Sorbonie. Otrzeźwienie przyszło podobno w roku 1969 i agresji Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Legitymację partyjną złożył jednak dwa lata później, po krwawej rozprawie reżimu z robotnikami strajkującymi na Wybrzeżu.

Mniej więcej wtedy rozpoczęła się jego współpraca z paryską „Kulturą" i związki z rodzącą się powoli opozycją. Wciąż był przede wszystkim badaczem literatury, pisał o Jastrunie i Leśmianie, na temat tego ostatniego habilitował się w 1976 r. Rok wcześniej podpisał jednak słynny List 59 w proteście przeciwko planowanym zmianom w konstytucji. A to już była jasna deklaracja polityczna. Na karierę dr. Trznadla przełożyła się dosłownie – profesorem został dopiero 16 lat później, już po przełomie roku 1989.

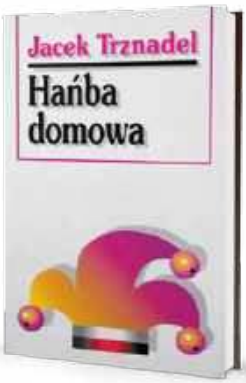

Choć miał już wtedy ugruntowaną pozycję badacza literatury, to prawdziwą sławę przyniosła mu dopiero „Hańba domowa". Ten wydany w 1986 r. na emigracji i w podziemiu oraz tłumaczony na kilka języków zbiór wywiadów z pisarzami mającym za sobą flirt ze stalinizmem był w pewnym momencie sensacją. Dlaczego? Bo była to właściwie spowiedź pewnego pokolenia. Pokolenia, do którego należał również Trznadel. Dziś są to sprawy znane, nikt nie robi z nich tajemnicy. W 1986 r. musiały jednak robić wrażenie podważania wiarygodności polskiej opozycji – bo wśród rozmówców Trznadla, a także tych, którzy udzielenia wywiadu odmówili, znajdowało się wielu ludzi, którzy mniej lub bardziej gloryfikowali przed laty stalinizm, a później przeciwstawili się komunistycznemu systemowi. Trznadel poruszył ten wątek pierwszy.

Kiedy w 1992 r. Jacek Trznadel zostawał profesorem, miał już 62 lata, a na koncie mnóstwo publikacji krytycznych i literaturoznawczych, powoli zbliżał się do uniwersyteckiej emerytury. W tym właśnie momencie był inicjatorem powołania Polskiej Fundacji Katyńskiej i Niezależnego Komitetu Historycznego Badania Zbrodni Katyńskiej, temu też wątkowi poświęcił pióro przez kolejnych 18 lat. Zaostrzył je raz jeszcze w 2010 r., kiedy złożył w biurze premiera petycję z żądaniem powołania międzynarodowej komisji do zbadania przyczyn katastrofy smoleńskiej. Miał już wówczas 80 lat. Ostatnich kilka lat poświęcił tej właśnie sprawie. Z pewną jednak szkodą dla poezji, która była jego pasją przez większą część życia.

Wojciech Lada

Barbara Krafftówna: czarodziejka sceny i ekranu

Barbara Krafftówna zmarła 23 stycznia 2022 r. w wieku 93 lat. Była jedną z najbardziej cenionych i najwszechstronniejszych polskich aktorek.

Rodowita warszawianka, część przedwojennego dzieciństwa spędziła w Łucku, gdzie ojciec był architektem. Po jego śmierci cudem uniknęły z matką sowieckiej wywózki na Sybir i wróciły do zajętej przez Niemców stolicy. Od 1943 r. uczestniczyła w tajnych kompletach aktorskich Iwona Galla, kontynuowanych po wojnie w jego studium w Krakowie. Debiutowała w 1946 r., już w Gdyni, gdzie Iwo Gall objął Teatr Wybrzeże. Grała w Łodzi i Wrocławiu, by w 1953 r. trafić do Warszawy.

Ważnym etapem był dla niej angaż w Teatrze Dramatycznym, jednym z najodważniejszych repertuarowo w dobie popaździernikowej odwilży. Inscenizowano tu zabronioną w czasach stalinowskich dramaturgię zachodnią, a także niewystawianych autorów polskich. Uwagę krytyki zwróciła m.in. w 1957 r. tytułową kreacją w „Iwonie, księżniczce Burgunda" Witolda Gombrowicza w reżyserii Haliny Mikołajskiej. Chwalono także jej „Księżniczkę Turandot" Carlo Gozziego (1959) w reż. Konrada Swinarskiego i postać Abigail Williams w „Procesie z Salem" według Arthura Millera w reż. Ludwika René.

SPECJALNOŚĆ: IRONIA

Kolejne sukcesy święciła w Teatrze Narodowym za dyrekcji Kazimierza Dejmka. Popisowe role w „Kurce wodnej" (1964) i „Janie Karolu Macieju Wścieklicy" Stanisława Ignacego Witkiewicza (1966) w reż. Wandy Laskowskiej ugruntowały jej wizerunek jako specjalistki od gry ironicznej, sprawdzającej się w poetyce groteski. W tym nurcie sytuowały

Fot. Bartosz Krupa/East News

się występy aktorki w Teatrze Współczesnym m.in. w „Matce" Witkacego (1970) oraz w sztuce „Macbett" Ionesco (1972) w reż. Erwina Axera. Wszakże na tej scenie Krafftówna ujawniła daleko szerszy wachlarz środków, choćby jako Alicja w „Play Strindberg" Dürrenmatta w reż. Andrzeja Wajdy (1970), gdzie jej partnerem był Tadeusz Łomnicki.

Miliony telewidzów kochały ją jako Honoratkę w serialu „Czterej pancerni i pies". Z niezrównanym wdziękiem śpiewała w legendarnym Kabarecie Starszych Panów. Przez blisko 80 lat tworzyła wybitne kreacje na scenach teatralnych. Międzynarodowe uznanie przyniosła jej rola Felicji w filmie „Jak być kochaną" Wojciecha Jerzego Hasa

„PRZEKLNĘ CIĘ"

Teatr nie wyczerpywał możliwości artystki. Jej potencjał komiczny, zarówno aktorski, jak i wokalny, dostrzegli Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski. Od 1959 r. była gwiazdą Kabaretu Starszych Panów. Całe pokolenia miłośników tych programów pamiętają ją z takich piosenek jak „Ubóstwiam drakę", „Zakochałam się w czwartek niechcący" czy „Przeklnę cię". Kulisy tego ostatniego przeboju, brawurowo śpiewanego w duecie z Bohdanem Łazuką ujawniła wykonawczyni w rozmowie z Remigiuszem Grzelą w książce „Krafftówna w krainie czarów": „Trzeba było widzieć, jak myśmy to katorżniczo ćwiczyli. Bohdan jest genialnie muzykalny i radził sobie lepiej niż ja. [...] Oddzielnie swoje fragmenty śpiewaliśmy idealnie, ale jednocześnie to była katastrofa. Jerzy wpadł na pomysł, abyśmy zatkali uszy i śpiewali swoje. Wasowski dyrygował, byliśmy w niego wpatrzeni i tak każdego dnia było lepiej, aż zezwolił na odetkanie jednego ucha, a potem obu".

W kabarecie Krafftównę docenili nie tylko Wasowski i Przybora. Występowała także m.in. U Lopka Kazimierza Krukowskiego, a także Pod Egidą z Janem Pietrzakiem i Jonaszem Koftą, których po latach wspominała z rozczuleniem.

KOCHAĆ JAK FELICJA

Na wielkim ekranie pojawiła się kilkadziesiąt razy. W historii światowego kina zostanie na pewno przejmująca postać Felicji w „Jak być kochaną" Wojciecha Hasa, nagrodzona na Festiwalu Filmowym w San Francisco w 1962 r. Zagranie bohaterki tragicznej, która w swym krakowskim mieszkaniu ukrywa poszukiwanego przez Gestapo ukochanego (Zbigniew Cybulski) i dla jego bezpieczeństwa ryzykuje współpracę z okupantem, on zaś okazuje się niegodny takiej ofiary, pokazało nową twarz artystki, kojarzonej wcześniej z konwencją charakterystyczno-komediową.

No a seriale? Trudno uwierzyć, ale wcale nie chciała zagrać Honoraty w „Czterech pancernych i psie". Że dalekie wyjazdy w plenery poligonów, upały, niewygoda. Do przyjęcia roli zmusił ją syn, który z entuzjazmem oglądał wcześniejsze odcinki serialu.

Z WITKACYM W KALIFORNII

Długie lata sukcesów na scenach, estradach i ekranach nie stępiły u artystki ochoty na nowe wyzwania. W 1982 r., gdy w polskim życiu wciąż dominuje przygnębiająca smuta stanu wojennego, dostaje propozycję wyjazdu do USA, by zagrać tytułową „Matkę" Stanisława Ignacego Witkiewicza. Po angielsku! To dopiero wyzwanie, bo Krafftówna tym językiem nie włada. Do tego zapraszającym jest zupełnie nieznany jej wcześniej Leonidas Dudarew-Ossetyński, przedwojenny polski aktor i reżyser funkcjonujący na obrzeżach teatralno-filmowego środowiska Hollywood. Nie mając pewności, czy to sprawa poważna, nasza bohaterka uczy się w Polsce angielskiego tekstu fonetycznie, załatwia tysiące obowiązujących w tamtym czasie formalności wyjazdowych i leci do Los Angeles. Rzeczywistość na miejscu raz po raz ją zaskakuje, ale do premiery rzeczywiście dochodzi (23 września 1983 r.), a polska aktorka grająca po angielsku, oczywiście, za tytułową rolę dostaje nagrodę branżowego miesięcznika „The Drama Logue".

Drogi Krafftówny i Ossetyńskiego rozchodzą się, ale warszawianka, która swój pobyt w USA planowała na najwyżej pół roku, zostaje w Ameryce na lat kilkanaście. Grywa dla Amerykanów i Polonusów. Dostaje z czasem obywatelstwo USA, a nawet miejsce w domu seniorów, ale w 1997 r. wraca do Polski. Ma tu wciąż sporo do zagrania. I tych okazji nie przegapia.

RODZINNE DRAMATY

Życie rodzinne Krafftówny nie układało się tak szczęśliwie jak kariera. Pierwszy mąż, aktor Michał Gazda, zginął w 1969 r. – doznał zawału podczas prowadzenia samochodu. Ich syn Piotr Gazda zmarł w 2009 r. w Kanadzie. Drugi mąż artystki, poznany w USA Arnold Seidner, dyrektor międzynarodowego instytutu do spraw emigrantów w San Francisco, zmarł na zawał w 1986 r., pół roku po ślubie.

Mało kto wiedział o tych tragediach, bo artystka – wbrew obecnej modzie – nie zwykła zwierzać się publicznie. Ratunek znajdowała w pracy. Imponowała formą mentalną i aktorską, elegancją, krzepiącą innych pogodą ducha. Grała niemal do końca, bo jeszcze w 2021 r. uczestniczyła w kręceniu dokumentu filmowego „Krafftówna w krainie czarów", pokazanego właśnie w TVP. Warto teraz częściej przypominać niezliczone dokonania tej filigranowej z wyglądu, ale duchem i czynem wielkiej aktorki.

Adam Ciesielski

3 MIŁOŚCI

My, Rosjanie i Niemcy

ROBERT TEKIELI

Imperia powstają poprzez odwołanie się ich założycieli do transcendencji. Cywilizacje są organicznie tworzącym się dziełem rozumu i zmysłu wiary. Imperia się buduje. Cywilizacje powstają.

Alain Besançon w wydanym dziesięć lat temu po polsku eseju „Święta Ruś" dokonał genialnej analizy kolejnych ideologicznych odsłon rosyjskości. Dla zrozumienia polskiej historii ostatnich 350 lat i zawiłości współczesnej polityki międzynarodowej najważniejszy w „Świętej Rusi" jest właśnie wątek styku polityki i ducha.

Besançon pisze o pokusie prawosławia, jaką jest przeskoczenie ponad naturą prosto do łaski. Co sprawia, że gdy natura upomina się o swoje prawa, pozostaje tylko przemoc oraz kłamstwo. W ten sposób właśnie ukształtowana została „rosyjska dusza", kłamliwa, sentymentalna, przedkładająca wzruszenie nad prawdę i sumienie.

Religijny fundament Rosji to Bizancjum. Moskwa skradła Konstantynopolowi cesarską koronę. Mieni siebie świętą Rusią, a car chce być traktowany jako król królów. Zupełnie bezpodstawnie, z własnego nadania. Tak działają ludzie zakompleksieni. Patrzący z perspektywy dzikiego stepu na grecki teatr, rzymskie Koloseum i paryskie katedry. Rosja to cywilizacja europejskich kulturowych nuworyszy. A jej mit „świętej Rusi" jest prostackim narzędziem agresywnego imperium.

Jednym z wyrazistszych współczesnych głosicieli idei „świętej Rusi" jest Aleksander Dugin, ideolog Putina, lider rosyjskiego ruchu faszystowskiego. Od 20 lat jego strategię skrupulatnie wciela w życie cały polityczny establishment współczesnej Rosji. Na czym polega ten plan? „Jedną z najpilniejszych potrzeb geopolitycznych Rosji jest przywrócenie imperium". Polityczne cele, by je uwznioślić, by tłum mógł się nimi zachłystnąć, należy umieścić w sferze sacrum: „Rosja w swoim geopolitycznym oraz sakralno-geograficznym rozwoju nie jest zainteresowana istnieniem niepodległego państwa polskiego w żadnej postaci. Nie jest też zainteresowana istnieniem Ukrainy. Nie dlatego, że nie lubimy Polaków czy Ukraińców, ale dlatego, że takie są prawa geografii sakralnej i geopolityki".

Sakralizacja i rozmach: bo przecież co tam Polska, co tam Ukraina, celem Rosji jest Eurazja od Tokio do Azorów: „Rosjanie zmobilizują się dla wielkiego celu. A jest nim przyłączenie Europy, rosyjski car czy rosyjski prezydent – jedyny dla całej Europy. Europejskie, Rzymskie, Greckie, Bizantyjskie Imperium z rosyjskim carem na czele".

Jest już Krym, jest Donbas, co dalej? „W wielkim starciu cywilizacji atlantyckiej i kultury eurazjatyckiej to wszystko, co znajduje się między nami – Polska, Ukraina, Europa Środkowa – musi zniknąć, zostać wchłonięte". „Rosja musi zniszczyć »kordon sanitarny«, utworzony z małych, gniewnych i historycznie nieodpowiedzialnych narodów i państw, z maniakalnymi roszczeniami i niewolniczym uzależnieniem od talassokratycznego Zachodu. W roli takiego »kordonu sanitarnego« tradycyjnie występuje Polska i kraje Europy Wschodniej... Zadaniem Eurazji jest to, aby ta bariera nie istniała".

„My, Rosjanie i Niemcy, nie jesteśmy zainteresowani istnieniem niepodległego państwa polskiego w żadnej formie. Na eurazjatyckim kontynencie dla Polski miejsca nie ma".

Sercem polskości jest katolicyzm i Dugin to rozumie: „Trzeba rozkładać katolicyzm od środka, wzmacniać polską masonerię, popierać rozkładowe ruchy świeckie, promować chrześcijaństwo heterodoksyjne i antypapieskie. Katolicyzm nie może być wchłonięty przez naszą tradycję, chyba że zostanie głęboko przeorientowany w kierunku nacjonalistycznym i antypapieskim". Czy ktoś wie, ile pieniędzy wyłożono w ciągu ostatnich trzech dekad na powstanie nacjonalistycznej, antyatlantyckiej siły politycznej w Polsce?

Rosja długo była krajem słabym i zagrożonym. Rosyjskość powstawała w takich właśnie warunkach. Polskość rodziła się, gdy Rzeczpospolita była państwem silnym. Polskość nie jest kontrideologią wobec rosyjskości. Jest mierzeniem się polskiej wspólnoty z Bogiem i rzeczywistością. Polska była silna, gdy odrzucała myślenie w kategoriach imperium, siły, mitologii, PR czy perswazji. Liczyła się w świecie, gdy o jej potędze świadczyła uniwersalna, promieniująca na sąsiadów kultura. Za nią to dopiero szła pozycja militarna.

Pomiędzy Moskwą a Berlinem nie ma miejsca na błędy. Potrzebną nam siłę znajdziemy dzięki poszukiwaniu prawdy – za pomocą sztuki, literatury i nauki. By budować potęgę gospodarczą oraz militarną. Zawsze wszystko co dobre i wielkie zaczyna się od wysiłku duchowego. Od wiary.

Dugin: „Gdzie my jesteśmy, tam jest centrum piekła. I tak naprawdę nie trzeba nam myśleć, czy nie nadejdzie koniec świata, musimy myśleć, jak tego dokonać".

eprasa.pl 062fd4e8ab

Warte „Elizawieta wychodzi z Żółtego Domu, nie wie jeszcze, że po raz ostatni. Staje przed bramą, wyciąga delikatnie stopę i dotyka czubkiem sandałka asfaltu, jakby droga była rzeką, a ona sama wystraszoną dziewczynką sprawdzającą, czy aby woda nie za zimna". Dla takich właśnie obrazów czytam jeszcze fikcyjne opowieści.

Ukazało się właśnie nowe wydanie książki Piotra Goćka *„Czarne bataliony 2.0"*. W stosunku do wydania sprzed siedmiu lat mamy w niej trzy nowe opowiadania. Gociek swoje historie kreśli lekkim piórem, trochę jak Nienacki z Niziurskim ożenieni z pirxowskim Lemem. Bohaterami drugoplanowymi są i marchewki na sterydach, i pasikonik w tużurku. Nie ma tu science zadęcia. Nie ma pompatycznego fiction. No i opowieści nie nudzą. A to mamy fruwających superbohaterów osadzonych w siermiężnym uniwersum bolszewizmu. A to zastanawiamy się, co byłoby, gdyby we wnętrzu najbogatszego polskiego oligarchy obudziło się sumienie. Oczywiście ten najbogatszy z Polaków nazywa się Fulczyk.

Czy ktoś z państwa się zastanawiał, jakie są najnowsze techniki psychomanipulacji? Reklama, public relations i fundacje dobroczynne. A jak tłumaczy się z korpojęzyka „car area executive operator"? Wiadomka: cieć z garażu.

W „Czarnych batalionach" mamy też historie alternatywne. Raz czytamy, jak to światem rządzi 80-letni Napoleon, a Adam Mickiewicz, który został biskupem, zakochał się romantyczną miłością w pracy organicznej. W innym zaś świecie alternatywnym związek nasz bratni ogarnął cały świat. W jednym z opowiadań mamy nieoczywistą i świeżą wersję historii wyprawy trzech króli, którzy w rzeczywistości byli magami. W innym Gociek oddaje piekielną sprawiedliwość czerwonemu bandycie w czarnych okularach. Moim absolutnym numerem pierwszym jest otwierające tom opowiadanie „Czołg". Dlaczego? Proszę je przeczytać.

Piotr Gociek to pisarz odrobinę postfantastyczny. W gąszcz zwrotów akcji, puent i kreacji bohaterów wpleciona jest subtelna kpina z sf i fantasy. Lekki dystans do zapisywanych słów. Na tyle delikatny, że zabawny.

Gociek rozważa tematy zaiste zasadnicze, jak istnienie i kaprysy woli zbiorowej lub pytanie, czym w swej istocie jest moment wypełnienia się czasu i czasów, jednak w mojej pamięci głębokiej pozostaje opowiadanie „Chłopiec z plakatem". Dlaczego? I dlaczego kojarzy mi się z prozą Stephena Kinga?

King często brał na warsztat fenomeny mitologii miejskiej czy wiejskiej, przekształcał je, a mimo to jego opowiadania dalej swoją moc czerpały z ich archetypowego wzorca. Trwanie i popularność choćby historii z wampirami czy opowieści o wyczynach Chupacabry wskazuje bowiem wyraźnie, iż jest w nich jakiś wspólny wszystkim ludziom, dziedziczny wzorzec reagowania i postrzegania świata. Czy idę w dobrym kierunku, szukając w tym mechanizmie wyjątkowości opowiadania „Chłopiec z plakatem"? Nie wiem.

Bardzo ważną warstwą prozy Piotra Goćka są próby mierzenia się ze świadomością, iż wbrew modnym kiedyś intelektualnym bajkom zamiast płynnej ponowoczesności, my i nasze rodziny tkwimy w twardej rzeczywistości odwiecznych koncertów mocarstw. W dodatku nadal mieszkając na przewiewnej środkowoeuropejskiej nizinie. Jedna z opowieści toczy się wręcz „wkrótce po tym, jak otwarto front czarnomorski, to znaczy po tym, jak Rosjanie zaczęli się na serio naparzać się z Ukraińcami, walcząc o korytarz wzdłuż wybrzeża, łączący Mariupol z Krymem i dalej z Naddniestrzem", a Ukraińców mocno wspierają „amerykańscy instruktorzy udający Gruzinów oraz rumuńscy i węgierscy »ochotnicy«, czyli tamtejsi specjalsi przebrani w cywilne łachy". Dziwnie się czyta takie frazy w chwili, w której nie wiadomo, czy między wysłaniem tego tekstu do redakcji a pojawieniem się tygodnika w kioskach nie okaże się, że fikcja zamieniła się w rzeczywistość.

Robert Tekieli
Polskie Radio

Piotr Gociek

Fot. Karol Serewis/East News

eprasa.pl 062fd4e8ab

Wojciech Stanisławski

Těšínská opowieść

Środkowoeuropejskie miasto to może być oczywiście Wiedeń, Zagrzeb, Lublana lub Budapeszt – te jednak są obarczone poważnymi obowiązkami, pociągnięte werniksem globalizacji. A gdyby ustanowić stolicę Europy Środkowej we Lwowie lub w Timişoarze? A może w Cieszynie?

Ostatnie zdania traktatu, który tu polecamy, poświęcone są oszczędnej, lecz szczerej pochwale piwa Brackiego, zwłaszcza wieńczącej trunek piany. Idę jednak o zakład, że żaden z kufli, żadna ze szklanek wzniesionych w barze Kurczak, któremu poświęcony jest czterostronicowy apendyks, nigdy nie pieniła się tak hojnie, nigdy nie oferowała takiej kipieli koncepcji, interpretacji, ocen, co rozważania Marcina Dębickiego i Radosława Zenderowskiego o Cieszynie. O Cieszynie – ale też o fenomenie „środkowoeuropejskości", jej cechach konstytutywnych, jej mitologizowaniu.

Obaj badacze (jeden urodzony w Cieszynie, obaj z nim związani, co pozwala im na ćwiczenie perspektyw autoetnografii, pisania o „mieście osobistym") zajmują się tymi zagadnieniami od lat. Pozwala im to na lekkość w żonglowaniu teoriami i narzędziami badawczymi: ta książka wyraźnie nie jest owocem mrówczej pracy wyrobnika nauki, drżącego, by nie zejść na krok ze ścieżki ortodoksji. Jest w tych rozważaniach szczypta intelektualnej zabawy – jak mogłoby być inaczej, skoro już tytuł sugeruje rzeczywistość po trzykroć wyobrażoną: Europę Środkową, perspektywę posiadania przez nią „stolicy", wreszcie wysunięcie do tej niezwykle zaszczytnej roli właśnie miasta nad Olzą? Zarazem praca ta, uświetniona fajerwerkami fantazji, napisana jest z odwagą. Odwagą dyscyplinowania aparatu badawczego geografii historycznej i kulturowej, stawiania – przynajmniej na gruncie polskim – pionierskich kroków w badaniu wyobrażeń kulturowych, warunkowanych przez historię, stereotypy, urazy i uprzedzenia, często rozstrzygających w naszym myśleniu i decydowaniu o świecie.

Zwłaszcza w przypadków tworów wyobrażonych, do jakich należy Europa Środkowa, obracamy się wśród obrazów, mitów, haseł. Środkowoeuropejskie miasto – to może być oczywiście Wiedeń, Zagrzeb, Lublana lub Budapeszt. Te największe ośrodki są jednak stolicami państw, kosmopolitycznymi metropoliami: obarczono je powinnościami politycznymi, pociągnięto werniksem globalizacji. Esencja Europy Środkowej kryje się w mniejszych miastach – podkreślają autorzy traktatu, wyliczając ze smakiem nie tylko Graz, Kraków, Lwów i Czerniowce, lecz także Koszyce, Ołomuniec, Brno, Oradeę, Kluż, Timişoarę, Triest, a także słowackie Nowe Zamki, ukraińskie Mukaczewo, rumuńską (transylwańską) Alba Iulię, serbską Suboticę oraz, no właśnie, Cieszyn. Wszystkie one mają szansę na „stołeczność prowincjonalną".

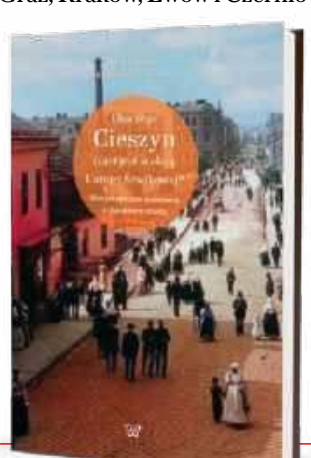

Marcin Dębicki, Radosław Zenderowski, „Dlaczego Cieszyn (nie) jest stolicą Europy Środkowej? Idiosynkratyczne mniemania o charakterze miasta", Wydawnictwo UKSW, 2021

Żeby odpowiedzialnie wybierać nominatów do takiej stołeczności, trzeba wypracować kryteria ich oceny – i ocenie Cieszyna poświęcona jest blisko połowa pracy. Nie jest to banalne studium urbanistyczne czy historyczne (choć nie zabrakło oczywiście rozdziału o przeszłości, rozważań o osiach komunikacyjnych, terenach zielonych i „zabytkach"). Marcin Dębicki i Radosław Zenderowski wyróżniają – i to jest prawdziwy diadem tej pracy, korona, jaką snadnie mógłby nosić na skroniach Mieszko I Cieszyński, założyciel księstwa i miejscowej dynastii Piastów – sześć warstw czy aspektów Cieszyna, rozumianego jako „tekst kultury". Są to jego epos, genos, logos, etos, topos i bios.

Oczywiście, każda z tych warstw opisu domaga się rozwinięcia: epos to dla autorów symbol pamięci historycznej, świadomość ciągłości rozwoju danej wspólnoty, raczej historyczna pamięć zbiorowa, wyróżniająca legendy, otwarta na mity, niż kronikarski zapis przeszłości. Genos to przekonanie o posiadaniu wspólnych przodków i wielkich bohaterów, znów – również zmyślonych, byle ważnych. Logos to nie tyle nawet „język etniczny", ile sposoby komunikacji wewnątrz wspólnoty, paleta wspólnych

eprasa.pl 062fd4e8ab

pojęć... Etos to normy i instytucje regulujące życie wspólnoty, tradycje i zwyczaje, topos to postrzeganie i organizowanie przestrzeni, bios to szeroko pojęta lokalizacja geograficzna i wszystkie wynikające z niej uwarunkowania, od krajobrazowych po klimatyczne.

Taka propozycja, taki „heksagram miasta", mający solidną podbudowę naukową (autorzy powołują się zwłaszcza na włoskiego antropologa i socjologa Carla Tullia-Altana), jest na gruncie polskim czymś nowatorskim, uruchamiającym nowy sposób postrzegania wszelkich wspólnot lokalnych: mogę sobie wyobrazić go jako narzędzie opisu zarówno Warszawy, jak Podlasia, pomocny w ukazaniu ścięgien, sworzni i słabych stron społeczności; warto polecić tę część książki wszystkim lokalsom, chcącym lepiej zrozumieć swoją ziemię.

A sam Cieszyn, duopolis leżące na dogasających beskidzkich wzniesieniach? W ostatnim rozdziale Dębicki i Zenderowski szczerze rozważają atuty i mankamenty miasta jako kandydata na stolicę Europy Środkowej. „Karpacki" i „habsburski", kilkujęzyczny, ze zróżnicowanymi tradycjami, położony na przejrzystej i przejezdnej granicy, gęsty historycznie Cieszyn nie jest jednak aż tak wielowyznaniowy i bogaty w zabytki jak jego konkurenci, nie pojawiał się też dotąd, co ważne, w fantazjach c.k. nostalgików lub jedynie na ich obrzeżach. Nawet jednak, jeśli w najbliższych latach nie wygra rywalizacji o tytuł stolicy krain Międzymorza z Suboticą (moja faworytka!), Triestem czy Lwowem, traktat dwóch autorów wydobywa go z zapomnienia, pokazuje – niczym przekrój fliszu karpackiego – wielość warstw, które składają się na miasto.

W fantazmatycznej Europie Środkowej zakorzenić się można przede wszystkim za sprawą literatury. Cieszyn zagościł tam, przynajmniej dla mnie, za sprawą świetnych wierszy Jerzego Kronholda, przyrastających od lat jak pień lipy, pachnących (by przytoczyć jego wers o słodyczy języka czeskiego) pszczołami i muzyką. Na miejscu ojców miasta ufundowałbym jednak również sute stypendia dla Jaroslava Rudiša, Andrzeja Stasiuka (może Marka Krajewskiego, może Lucie Faulerovej?) – tak, by kochankowie, inspektorzy policji i flaneurzy krążyli między Zamkiem a kąpieliskiem miejskim nad leniwą Hrabinką, Liburnią a Kauflandem przy Jablunkovskiej – no i oczywiście po moście Przyjaźni, i dalej, aż dotrą do baru Kurczak przy Górnym Rynku.

Małe piekła

W „Sroce na szubienicy", powieści napisanej na Białorusi przed 13 laty (wówczas znacznie łatwiej było ją zakwalifikować jako polityczną dystopię), a onegdaj wydanej po polsku, dla każdego znajdzie się coś niemiłego; bo też Alhierd Bacharewicz, były rockman i awangardowy poeta, lubi pisać cierpko i ironicznie, mieszać konwencję, w prozę realistyczną wplatać groteskę, uszczypliwości pod adresem cierpiętnictwa białoruskich opozycjonistów. Bohaterce „Sroki", Weronice, każe wędrować po korytarzach zarządu, blokowiskach Mińska i w wirtualnej przestrzeni gry MVG. Wysmakowane, obliczone na elastyczność frazy akapity o osobliwościach ludzkiej patofizjologii są jak z francuskich modernistów, zwodniczość niektórych konstrukcji, cicha radość z wpuszczania czytelnika w labirynt luster przypomina mi „szachowe" powieści Nabokova, ot, choćby „Obronę Łużyna" czy „Prawdziwe życie Sebastiana Knighta".

Świetnie też pokazuje sprawność w odwracaniu znaczeń – i ten akurat wątek, choć w intencji autora odnosi się bez wątpienia do Białorusi, można odczytać ze zgrozą i podziwem również w polskim kontekście. W powieściowym świecie Bacharewicza państwowa propaganda odniosła pełen sukces w przypisaniu rozproszonej społeczności opozycjonistów miana faszystów: z odrazą określają ich tak (i postrzegają) zwykli ludzie, mieszkańcy blokowisk stłoczeni w metrze, my zaś możemy się zadumać nad obrotowością tego epitetu, najbardziej chyba uniwersalnego z obelg politycznych, zdumiewająco często przypisywanego osobom, których zgoła nic nie łączy z wyznawcami Duce.

Największe wrażenie w „Sroce" robi jednak na mnie rzecz, do której autor być może przywiązuje najmniejsze znaczenie: wierny, plastyczny, nieprzerysowany obraz „życia codziennego w postsowieckiej autokracji w XXI w.". Osoby, którym nie dane było gościć na Białorusi, w Naddniestrzu czy bodaj w Rosji, tamtejszy świat jawi się nieraz jako groteskowa głubinka z błota i eternitu albo odwrotnie – jako przytulny skansen z czasów Gierka, gdzie niebo nad domami błękitne, szczęśliwe dzieci bez komórek igrają na placu zabaw, a babcia czeka z zupą.

Alhierd Bacharewicz, „Sroka na szubienicy", tłum. Igor Maksymiuk, Jan Maksymiuk, Pogranicze, 2021

Jest inaczej. Jak? Ten dziwny stan, niby podobieństwo – a odrębność, jakby drgnęło robione z ręki zdjęcie, świetnie pokazuje proza Bacharewicza. Bo niby jest tam bardzo podobnie jak u nas: są sieci pizzerii i salonów kosmetycznych, jest internet, komórkę można kupić w salonie albo w lombardzie, na studenckich imprezach może więcej procent, a mniej innych używek, ale dynamika w zasadzie ta sama. I w polskich urzędach można sobie wyobrazić wianuszek pochlebców wokół łysawego naczelnika, i w polskich blokowiskach zdarza się, że dorosłe dzieci mieszkają z rodzicami, tłocząc się i kisząc.

A jednak jest coś radykalnie innego. Może to fakt, że markowe ciuchy częściej bywają podróbkami? Może to siła pozorów, jakim podporządkowane jest całe życie w stałym cyklu akademii, wieców i potępień, „zapach niby-kapusty / i niby-wódka, niby-brud i niby-czas"? A może to, że kariera urzędnicza szarookiej blondynki po nudnych studiach, owszem, różnie może meandrować, nie doprowadzi jej do fotela w zarządzie obozów?

eprasa.pl 062fd4e8ab

Pęknięte szkiełko

Nazwałem ją „Mama Jesień", kiedy jeszcze żyła, a jakieś parę miesięcy później zamieniłem na „Mama Listopad". Znalazłem Ją w Konstancinie około 9.30. Był 28 listopad 2014 r.

KRZYSZTOF LOGAN TOMASZEWSKI

Gdy wbiegłem z impetem do pokoju, ujrzałem ją śpiącą na prawym boku, z odwróconą głową do ściany. – Mamo! Jestem! – zawołałem, lecz ona nie drgnęła. Wyciągnąłem rękę, dotknąłem jej ramienia. Była jeszcze ciepła, ciało znieruchomiałe. Doznałem skurczu serca! Żadnego bólu. Po prostu poczułem przeszywający skurcz w całym ciele, w każdym jego centymetrze. Był to rodzaj wstrząsu duchowego, bliski pomieszania zmysłów. Nie miałem pojęcia, że w tym samym momencie doznaję „cichego zawału". Wyjawił mi to pół roku potem, po zrobieniu elektrokardiogramu, pewien doktor.

Źle zniosłem tę wieść, bo jak mawia przyjaciel, prof. Krzysztof Bielecki, pacjentowi można powiedzieć wyłącznie to, co może udźwignąć. Lecz żyję dalej już siódmy rok, mam się nieźle. Nad łóżkiem Mamy wisiała makatka, a nad nią – pobejcowana półka, na której ustawiła, zrobione własnoręcznie z wyszukanych w lesie korzeni, śliczne ludki. Do dzisiaj widzę te baśniowe głowy z pomalowanymi farbką rysami twarzy. Stare kobiety mają dużo czasu. Przesiadują w fotelach, szydełkują na drutach szaliki i swetry dla wnuków, malują temperami lub akwarelami kwiaty i pejzaże, wklejają do albumu rodzinne fotografie, spacerują w parku, stawiają sobie kabałę, po kąpieli nacierają zwiotczałe ciało balsamem. To czas sepii, czas zadumy, czas pożegnań. Każdego z nas dosięgnie – nie łudźmy się. Mam po mojej Mamie dwa szaliki. Noszę je podczas zimowych spacerów z Solomonem. Szczególnie lubię ten najkrótszy, w zielono-szaro-bordowe pasy; nawet w nim sypiam. Ktoś powie: co za zwyczaj! To nie zwyczaj – odpowiadam. W przywiązaniu do szala, w jego każdym ściegu, w zapachu, zawarta jest moja tęsknota za Mamą. I tyle.

Pielęgniarka w domu seniora PAN zaproponowała Mamie, że pomoże jej się umyć. To była jej ostatnia kąpiel. Podziękowała, umyła się sama. Jakże była – mimo 90 lat – energiczna, samodzielna, ceniąca do przesady swą prywatność i niezależność. Po wzięciu krótkiego prysznica zjadła skromny posiłek w swoim pokoiku na pierwszym piętrze. Składał się z kilku kromek bułki posmarowanej masłem, dwóch plasterków szynki, łyżeczki dżemu, szklanki herbaty z cytryną. Wszystko w tych jej ostatnich latach było zwyczajne, proste, bezpretensjonalne. W jej pokoiku stało łóżko, stylowy stolik z przedwojnia, fotel i krzesło. Za parawanem, przy wejściu, mieściły się umywalka i klozet. Była też biała ścienna szafa, wewnątrz palta, sukienki, trochę swetrów, pończochy, czapki. W pawlaczu pościel i ręczniki. Miała niewiele tego. Może trzy, cztery pary butów. Pokoik – całe 4 na 6 mkw., przypominający więzienną celę – miał pobielony balkon. Za szybą zaglądały do Matki postrzępione chmury na siwym niebie, strzeliste sosny, kilka smukłych świerków, nieco dalej, na skraju lasu była działka i kilkanaście grządek, na których latem lubiła sadzić marchewkę, botwinkę, cebulę, szczypiorek. Zapamiętałem taki obrazek. Mama w kapeluszu słomkowym, w błękitnej sukience, klęczy na poduszce i pieli chwasty na swoim poletku, ja biegnę, jakbym miał znów siedem lat, a Mama odwraca głowę i uśmiecha się promiennie.

Ta ostatnia kąpiel. Dbała o czystość, była estetką. Pamiętam, jak mi opowiadała, że najgorszą rzeczą w czasie powstania warszawskiego było to, że nie mogła się umyć. „Panował niesłychany brud! Na ulicach, w piwnicach spalonych domów, wszędzie unosił się smród rozkładających się ciał. Chowano zabitych na podwórzach. Pod krzyżami z desek. I te wszy! We włosach, w ubraniu, wszędzie wciskały się obrzydliwe wszy".

Minęło siedem lat. Cóż mi moja miła, czuła, moja kochana, dobra i szlachetna Mama dała? Czego starała się mnie nauczyć? A co wpoić w mój krnąbrny, zbuntowany charakter? Jakie wartości zaszczepić? Ile przekazać ze swego życia – z doświadczeń młodziutkiej, pięknej, obdarzonej talentem muzycznym po swej babci pianistce, a później sanitariuszce AK?

Mama uczyła mnie muzyki. Byłem niesfornym uczniem. Gamy, pasaże, a potem czytanie nut, nie wciągało mnie to. Pamiętam moje pierwsze bourrée. Ślęczałem nad nutami, Mama cierpliwie objaśniała mi każdy znak, każdy takt. Dziś żałuję, że nie przyłożyłem się do gry na pianinie, może wyrósłby ze mnie niezły pianista? Matka to istota, która próbuje dawać dziecku dobry przykład. Uczy czytać świat. Próbuje zaszczepić dekalog wartości. Prawie każda zna się na tym, gdyż przekazali go jej rodzice i dziadowie. Dziś wiem jedno: ważne jest nasze

eprasa.pl 062fd4e8ab

Fot. Archiwum autora

pochodzenie. Skąd się wywodzimy, skąd nadeszliśmy? Z jakiej ulepiono nas gliny? To, jakiego pokroju i barw było tamto pokolenie. Jakie miało cechy? Dawni ziemianie, hrabiowie, kawalerzyści, inżynierowie, robotnicy, wynalazcy, matki i ich dorodne córki. W co wierzyli? Jakie mieli talenty? Co studiowali i jakie mieli pasje? Z tego dekalogu zapamiętałem więcej niż połowę: „Krocz spokojnie wśród zgiełku i pośpiechu, pamiętaj, jaki spokój może być w ciszy". I jeszcze to: „Zachowaj ostrożność w swych przedsięwzięciach, świat bowiem pełen jest oszustwa. Lecz niech ci to nie przesłania prawdziwej cnoty; wielu ludzi dąży do wzniosłych ideałów i wszędzie życie pełne jest heroizmu".

Pamiętam, jak moja Mama prała, a potem prasowała ojca koszule. Z czystą miłością. Dokładnie, z uczuciem, nieledwie pasją. Pamiętam jej dłonie. Ile było w jej palcach czułości. Mam w oczach stos poukładanych w rogu deski do prasowania jego pocerowanych skarpetek, chusteczek do nosa, krawatów. Tych ostatnich, wzorzystych, z jedwabiu, przybywało. Ojciec co kilka miesięcy wyjeżdżał za granicę. Z Londynu, z RFN, Włoch, Finlandii, z olimpiad w Melbourne, Tokio i z Meksyku, zawsze przywoził choć jeden piękny krawat. Dziś to kolekcja. Nie mam po Ojcu pieniędzy – mam krawaty.

Zdejmuję z półki jeden z albumów z fotografiami ukazujący czas dzieciństwa i młodości Mamy. Patrzę na fotografię mojej babci – jej matki – Zofii z Rabcewiczów. Ile w tej urodzie było czystego piękna, delikatności, dostojeństwa. A potem przewracam karta po karcie pamiętnik Mamy. Pracowała nad nim przez ostatnie dwa lata życia, pokazywała mi jego fragmenty, kserowane stare fotografie, wycinki z przedwojennego archiwum mojej prababci – Zofii Poznańskiej z Rabcewiczów – znakomitej pianistki, członka jury Konkursu Chopinowskiego w 1937 r., uczennicy Antoniego Rubinsteina. „Babcia – pisze Mama – mieszkała przy ulicy Marszałkowskiej 33, obok kościoła Zbawiciela (dom ten zburzono w czasie powstania). Kościół był moją parafią, gdzie wraz z Mamą i bratem Jerzym, bywałam co tydzień na mszy. Mieszkanie babci składało się z pięciu pokoi, dużego przedpokoju i służbowego pokoju przy kuchni. W salonie stały dwa fortepiany, jeden Beckera – do ćwiczeń, drugi koncertowy Bechsteina. Nad fortepianem wisiały dwa portrety: Babci i Dziadka w mundurze generalskim. Był niesłychanie zazdrosny o karierę i urodę małżonki. Nie pozwalał jej koncertować. – Masz zajmować się domem, wychowywaniem dzieci! – krzyczał. Jej kariera wyhamowała, choć uczyła muzyki i grała koncerty do 1947 r.".

Gdy zmarła moja Mama, zrozumiałem, że tylko Ona potrafiła mnie kochać. O miłości Matki mędrcy mawiają, że jest to uczucie absolutne. Fakt. Pewnie dlatego usiadłem pewnego poranka do pisania. Namalowałem słowami jej portret w trzy kwadranse. Muzykę skomponował Maciek Czemplik, przed mikrofonem zaś z uczuciem zaśpiewała całość Natalia Lubrano.

Leży na strychu, wśród płyt i książek,
tyka cichutko, kwili jak dziecko.
Od dnia, gdy znikła, cicho bez słowa,
całkiem spokojnie, sobie odeszła.
Kiedy stanęło jej stare serce, sprężynka
pękła i pękło szkiełko.
Więc pomyślałem: – Tak się spóźniłem,
by naoliwić lub wstawić wieczko.
A dziś na strychu, wita mnie cisza,
w uszach mi dzwoni, patrzę na szkiełko.
Widzę wskazówki: 8.30, to pozostało
– pęknięte szkiełko.
Wszystko przepadło, już nie zawrócisz
życia na przekór, gdy gdzieś dobiegło.
W małym puzderku, zielona broszka,
którą kupiła, na pustym skwerku.
A dziś na strychu, wita mnie cisza,
w uszach mi dzwoni, patrzę na szkiełko.
Widzę wskazówki: 8.30 – to pozostało
– pęknięte szkiełko.

eprasa.pl 062fd4e8ab

Gospodarka po pandemii – drogi wyjścia

Wszystkie poważne zagraniczne doniesienia naukowe, jak również publiczne wypowiedzi szefów koncernów farmaceutycznych dowodzą, że w ciągu kilku miesięcy świat wróci do normalnego lub prawie normalnego funkcjonowania. Wirus nie zostanie wyeliminowany, ale będzie powracającą chorobą w rodzaju grypy, z którą trzeba żyć. Opadająca powoli pandemiczna wrzawa odsłoni wygranych i przegranych ostatnich dwóch lat

KONRAD RACZKOWSKI

Nieliczni będą zwycięzcami, w przeciwieństwie do większości państw, którym przyjdzie słono zapłacić za wygenerowane zadłużenie publiczne, które trzeba spłacić wzrostem obciążeń podatkowych, przy rosnącym koszcie emisji obligacji skarbowych. Do tego dochodzi utrwalany coraz mocniej trend wzrostu inflacji, który zmniejsza dochody gospodarstw domowych i będzie problemem na co najmniej kilka najbliższych lat. Zwiększony globalny protekcjonizm przy nieodbudowanym rynku produkcyjnym, wzrost płac w Chinach i poszczególnych państwach, a zwłaszcza konieczność dostosowania się poszczególnych gospodarek do niskoemisyjności to silna presja inflacyjna. Wzrost cen energii elektrycznej oraz gazu także będą wywierały presję na wzrost cen, prowadząc do utrzymywania i dalszego wzrostu inflacji.

Zapowiadane od marca 2022 r. podwyżki stóp procentowych w USA przesuną kapitał światowy w kierunku dolara, osłabiając euro. Jeżeli w kierunku zaostrzania polityki monetarnej pójdą inne banki centralne świata, co raczej będzie konieczne, oznaczać to będzie ograniczenie zakupu aktywów i wzrost kosztów pożyczek. Globalny wzrost gospodarczy wg badań Banku Światowego dalej będzie zwalniał w 2022 r. (4,1 proc.) i 2023 r. (3,2 proc.), tworząc bańki cenowe na rynku aktywów. I wreszcie najważniejsze długofalowo, a więc porzucone w myśleniu i działaniu przez polityków. Starzejące się społeczeństwo oraz wydatki socjalne będą wymagały w państwach OECD, którego Polska jest członkiem, wzrostu dochodów strukturalnych o 8 pkt proc. do 2060 r., co oznacza trudności w ustabilizowaniu wskaźników długu publicznego i jeszcze wyższe podatki w kolejnych latach. W przeszłości mieliśmy 68 przypadków restrukturyzacji i zawieszenia spłat długu krajowego przez tzw. duże gospodarki, którym zawsze towarzyszyła hiperinflacja. Jednak były to z reguły długi preferencyjne i akceptowane w szerokim konsensie. Dziś sytuacja jest inna, a nowa rola i znaczenie Chin oraz korporacji międzynarodowych zmieniają ten układ diametralnie.

CO Z TYM DŁUGIEM PUBLICZNYM?

Bank Światowy pod koniec 2021 r. wezwał do konieczności opracowania kompleksowego planu złagodzenia presji zadłużenia. Przyrost światowego długu publicznego w 2020 r. był najwyższy od 50 lat, a obecnie zagraża dalszemu rozwojowi 70 państw, podkopując fundamenty gospodarki. Wiele wskazuje jednak na to, że rządy poszczególnych państw są groteskowo nieprzygotowane na nową sytuację narastającego wzrostu zadłużenia, a nawet nie zdają sobie sprawy, co ona oznacza, i to nie w perspektywie dekad, ale najbliższych miesięcy i kilku lat. W zadłużeniu publicznym wielu państw rozpocznie się nowy rozdział – myślenie o bankructwie i restrukturyzacji niemożliwych do spłaty długów. Widać to już na Sri Lance, która ogłosiła kryzys gospodarczy na skraju kryzysu humanitarnego, a wojsko otrzymało uprawnienia do sprzedaży podstawowych artykułów, jak cukier i ryż, po ustalonych przez rząd cenach – co zamiast pomóc, pogrążyło kraj w ruinie, zwiększając przestępczość i czarny rynek. Prawie pewne w układzie międzynarodowym wydaje się wprowadzenie pomysłu długu wieczystego, tzw. obligacji wieczystych, o nieskończonym terminie wykupu. Takie obligacje to Święty Graal dla pożyczkodawcy, a dla pożyczkobiorcy zaciskająca się pętla i iluzja taniego pieniądza, który w istocie byłby wielokrotnie droższy i mógłby zmuszać dany bank centralny do kreacji pieniądza.

Ubytek ludności, katastrofy naturalne i niekontrolowane zadłużenie doprowadziły do największego w historii

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 062fd4e8ab

bankructwa na rynku długu komunalnego w Portoryko, zatwierdzonego planem restrukturyzacji w styczniu 2022 r. w sądzie okręgowym USA. Czas pokaże, na ile te wydarzenia będą jednorazowe, a na ile zapoczątkowują trend dalszej zmiany praw własności.

POPANDEMICZNA GOSPODARKA W POLSCE NA TLE ŚWIATA

„The Economist" sklasyfikował Polskę na szóstej pozycji spośród 23 tzw. bogatych państw, pod kątem radzenia sobie z pandemią. Jest to dobry wynik, biorąc pod uwagę, że liderami były Dania, Słowenia i Szwecja, a najgorzej wypadły Hiszpania, Wielka Brytania oraz Japonia. Martwić może duży, gdyż 7,1-proc. spadek inwestycji, który wciąż możemy odbudować, jeżeli postawimy na najważniejsze wyzwania rozwojowe, jakie stoją przed nami – atom. Budowa elektrowni atomowych z jednoczesną pełną modernizacją dystrybucji energii elektrycznej to priorytet, który trzeba pilnie wdrożyć, zapewniając na 12 lat przedsiębiorstwom i gospodarstwom domowym osłonę wobec planowanych corocznych podwyżek prądu i gazu rzędu kilkudziesięciu procent.

EUROPEJSKIE SZALEŃSTWO ZEROEMISYJNOŚCI?

Dla polskiej gospodarki europejski pakiet klimatyczny Fit for 55 jest skrajnie niekorzystny ze względu na zaniedbania w sektorze energetycznym w ostatnich kilkudziesięciu latach. Niestety dobrowolnie przystaliśmy na taką agendę, a prawna możliwość jednostronnego wypowiedzenia pakietu klimatycznego nie istnieje. Wiemy zatem, że obowiązuje nas konieczność redukcji emisji gazów cieplarnianych, inwestycji w źródła odnawialne i podnoszenia sprawności energetycznej. Wiemy też, że odejście od węgla do 2030 r. w tym stopniu, jaki przyjęliśmy, jest niemożliwe, chociażby ze względu na długość procesów inwestycyjnych i 70-proc. obecnie produkcję energii elektrycznej z węgla. Wiemy też, że pogłębia się deficyt na rynku uprawnień do emisji CO_2, a ceny wzrosną co najmniej kilkanaście razy do 2030 r., jeżeli mechanizm

eprasa.pl 062fd4e8ab

EU ETS nie zostanie całkowicie zmieniony, zasilając w dużo większym stopniu Fundusz Modernizacyjny, z którego korzysta dziesięć państw o najniższych dochodach (w tym Polska, która już ma 43 proc. tego budżetu).

Wiemy też, że rachunki za prąd do 2030 r. będą rosły w przedziale średnim 600–800 zł rocznie. Wreszcie wiemy, że nakłady inwestycyjne na sieci dystrybucyjne i sieci przesyłowe muszą wzrosnąć blisko 30 proc. wobec tych założonych w planach spółek energetycznych, żeby możliwa była dalsza rozbudowa OZE i uniknięcie problemu blackoutów. Zmiana polityki klimatycznej w UE i realizacja Fit for 55 gwałtownie zwiększyły ceny kontraktów gazowych TTF (tzw. Dutch TTF), generując dużo większy popyt na gaz ziemny, przy celowo zmniejszonych dostawach tego surowca z Rosji, które pokrywają 43 proc. zapotrzebowania rynku w Europie. Jeżeli do tego dołożymy fakt, że większość przedsiębiorstw w Polsce dostała albo niedługo dostanie podwyżki rachunków za gaz rzędu 350–800 proc. (przy zastosowaniu 1,5-miesięcznej 25-proc. obniżki rządowej), z zapowiedzią kolejnych podwyżek w kolejnych latach, to mamy dwa wyjścia.

Pierwszym wyjściem jest dryf wsteczny, akceptacja nieuchronnej wyższej inflacji, która byłaby wówczas utrzymywana w całym okresie dostosowania energetycznego, a więc ok. 12 lat. Prowadziłaby wprost do zubożenia energetycznego, zubożenia społecznego i likwidacji tysięcy firm. Takiego scenariusza jednak nie chcemy.

Drugim wyjściem może być pilne uruchomienie programu jądrowego z budową zapowiadanych co najmniej ośmiu elektrowni jądrowych oraz modernizacja sieci. Potrzebujemy planu Marshalla w energetyce i odważnych decyzji, do których Zjednoczona Prawica wciąż ma potencjał, jeżeli wykorzysta posiadane kadry. To może być druga część nowego, realnego otwarcia, pobudzenia inwestycji i pozyskania sojuszników w państwach, od których kupimy technologię atomową. Mówiąc wprost, do czasu zakończenia inwestycji w polską energetykę jądrową, należy zadbać o tani gaz i prąd, którego składowe będą głównym wyznacznikiem presji inflacyjnej w całej gospodarce. Ponieważ proces inwestycji trwałby ok. 12 lat, należałoby rozważyć możliwość zbuforowania tego okresu kontraktami zakupu zielonej energii pochodzącej z elektrowni atomowej na Ukrainie i Białorusi. Nie należałoby również wykluczać możliwości zakupu elektrowni atomowej Chmielnicki, która była nam już oferowana w 2017 r., a którą modernizuje amerykański koncern Westinghouse, dostarczając również paliwo jądrowe.

Tutaj czary nie pomogą, a gospodarka musi być wyznaczana przez politykę gospodarczą bazującą na faktach i twardej grze rynkowej. Jeżeli wiemy, że za 11 miesięcy wygasa kontrakt jamalski z Rosją, i wiemy, że przepustowość Baltic Pipe będzie ograniczona w perspektywie zapotrzebowania naszej gospodarki na zwrot zeroemisyjny, a tankowce z gazem LNG, np. z USA, płyną tam, gdzie jest wyższa cena (obecnie Azja), to czy na pewno mamy zapewnioną realną dywersyfikację i łańcuch dostaw? Czy przy koniecznej dywersyfikacji i uniezależnianiu się od dostaw z Rosji nie potrzebujemy jednak przedłużenia kontraktu jamalskiego, oczywiście na innych zasadach i warunkach niż obecnie?

Na rynkach nazywamy takie działanie dywersyfikacją ryzyka, żeby nagle się nie okazało, że wszyscy wszystko obiecali, ale nie wyszło, a gospodarka przegrywa z polityką, za którą płacą gospodarstwa domowe i polskie przedsiębiorstwa.

A CO Z CENAMI REGULOWANYMI?

Państwo może wpływać na ceny, regulując czy zawieszając stawki podatkowe lub inne opłaty parapodatkowe, stwarzając bariery ochronne zabezpieczające konkurencyjność własnej gospodarki. Jest to normalne i szeroko praktykowane na całym świecie. Inną rzeczą są pojawiające się w przestrzeni publicznej pojedyncze doniesienia o możliwości ustawowej regulacji cen czy też marż, zwłaszcza żywności i usług. Dobrze, że takich opinii nie wypowiada nikt poważny, gdyż tego rodzaju zapowiedzi słychać było na świecie tylko wtedy, gdy inflacja wymykała się spod kontroli, a kraj był w kryzysie. Ostatnim przykładem jest Argentyna, która przy ponad 50-proc. inflacji pod koniec 2021 r. i na potrzeby wyborów zamroziła ceny ponad 1 tys. artykułów gospodarstwa domowego. Nie poprawiło to sytuacji, narosła fala protestów, a szara strefa zdobyła nowe przyczółki.

Węgry również na potrzeby zbliżających się kwietniowych wyborów wprowadziły ceny regulowane na sześć produktów, bo tam poziom inflacji należy do najwyższych w UE. Ostatni raz kontrolę cen w USA w celu ograniczenia inflacji wprowadził Richard Nixon w 1971 r. (wówczas wynosiła 5,8 proc.), jednak wzrosła do 11 proc. w 1974 r., a OPEC rok wcześniej ogłosił embargo na dostawy ropy naftowej do USA.

W zeszłym miesiącu profesor ekonomii i nauk politycznych Michael C. Munger przedstawił w „Wall Street Journal" rozsądniejszą i realną perspektywę na ten temat. „Ekonomiści z całego spektrum ideologicznego zgadzają się, że rządowe plany zarządzania cenami nie sprawdziły się" – napisał. „Ale koncepcja ta żyje dalej, z nadzieją, że tym razem będzie inaczej. W latach 70., kiedy zorganizowano federalny zarząd, aby zarządzać wzrostem cen, rezultatem były ogromne zyski dla kilku korporacji oraz utrata miejsc pracy i możliwości konsumpcji dla klasy średniej".

Warto pamiętać, że w czasach kryzysowych, popademicznych, gospodarka i społeczeństwo potrzebują odbudowy i utrzymania rentowności działalności gospodarczej, bez konieczności wchodzenia w ramy szarej strefy i zasiłku socjalnego państwa. Dlatego dobrze, że i w tym kontekście Ministerstwo Rodziny i Polityki Społecznej oblicza również realne straty polskich mikro- i małych przedsiębiorstw oraz spadku dynamiki produktywności, jakie powstałyby, gdyby na nakładkę Polskiego Ładu wprowadzono dodatkowo pełne oskładkowanie umów-zleceń. To w sposób oczywisty wypchnęłoby dorabiających emerytów oraz 650 tys. tzw. zaradnych i pracowitych osób (nie bójmy się tego słowa) do szarej strefy zatrudnienia lub porzucenia czy też ograniczenia tej dodatkowej pracy, którą wykonują.

Prof. Konrad Raczkowski jest dyrektorem Centrum Gospodarki Światowej UKSW

Reklama | 84/0921/F

eprasa.pl 062fd4e8ab

*Przeszło 83% Franczyzobiorców osiągnęło 18 tys. zł lub więcej przychodu miesięcznie w okresie 01-11.2021 r.

żabka

Otwórz Żabkę i osiągnij

18 000 zł

przychodu miesięcznie*

NOWA OFERTA

Franczyzobiorczyni
Blanka Skotarczak-Zys

www.franczyza.zabka.pl

eprasa.pl 062fd4e8ab

Czas na lokalną przedsiębiorczość

Każdego miesiąca w 2021 r. w ramach sieci Żabka otwierało swoje sklepy średnio ponad 100 lokalnych przedsiębiorców. Ponad 6,6 tys. franczyzobiorców prowadzących sklepy Żabka dzięki wsparciu sieci mogło stabilnie funkcjonować w kolejnym roku pandemii. W obecnym roku sieć wspólnie z franczyzobiorcami stawia sobie dalsze ambitne plany rozwoju nowoczesnej przedsiębiorczości dostosowanej do obecnych czasów. Już od początku 2022 r. Żabka mocno akcentuje potrzeby współpracujących z nią przedsiębiorców, wprowadzając nową, jeszcze ciekawszą ofertę franczyzową

ROK 2021 PEŁEN WYZWAŃ DLA BIZNESU

Miniony rok, tak jak 2020 r., naznaczony był kolejnymi falami pandemii COVID-19. Gospodarka i przedsiębiorcy, przy wsparciu od państwa, zmuszeni byli stawiać czoła wyzwaniom, z których wyszli wzmocnieni. Branże takie jak handel idą prężnie do przodu, rozwijając drobną przedsiębiorczość w całym kraju, płacąc lokalnie podatki czy tworząc nowe miejsce pracy. W trudnych czasach przedsiębiorcy z tego sektora, działający w ramach sieci franczyzowych, często mogą liczyć na dodatkowe wsparcie ze strony partnera biznesowego. Tak od początku pandemii dzieje się w sieci Żabka, od której franczyzobiorcy wciąż otrzymują wiele środków ochrony osobistej czy higienicznych dla zapewnienia bezpieczeństwa im, ich pracownikom oraz klientom.

– Od lat staramy się zaproponować ambitnym i zmotywowanym osobom atrakcyjny biznes w stabilnej branży, z prestiżem i możliwością działania dla siebie. Niezwykle ważną rolę w wyznaczaniu dalszych kierunków rozwoju w naszej sieci odgrywają przy tym franczyzobiorcy – oni najlepiej wiedzą, czego potrzebują. Ich głos wyrażany jest m.in. poprzez Radę Franczyzobiorców, składającą się z przedstawicieli współpracujących z nami przedsiębiorców. Wspól-

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 84/0921/F

eprasa.pl 062fd4e8ab

nie z nimi wypracowujemy rozwiązania, które bezpośrednio służą franczyzobiorcom, ulepszając ich biznesy i przekładając się na rozwój drobnej przedsiębiorczości w całym kraju – podkreśla Damian Rybak, dyrektor Departamentu Rozwoju i Wsparcia Franczyzobiorców w Żabka Polska. W ubiegłym roku Rada Franczyzobiorców podjęła kilkadziesiąt inicjatyw i zrealizowała kilka projektów z różnych obszarów, w tym dotyczących logistyki czy nowych produktów.

Największa sieć franczyzowa wprowadza nieustannie nowe rozwiązania, które służą ulepszaniu obecnych formatów sklepowych, a także rozwojowi kolejnych, których oczekują od nich konsumenci w XXI w. Franczyzobiorcy mają możliwość wzrostu i osiągania atrakcyjnych przychodów finansowych w ramach sklepów na stacjach paliw, w których sieć pojawiła się w 2021 r., placówek sezonowych w miejscowościach turystycznych.

Żabka chroni przy tym franczyzobiorców przed ewentualnym niepowodzeniem ich biznesu. W ubiegłym roku jako pierwsza sieć franczyzowa na rynku wprowadziła specjalne ubezpieczenie Polisa na Biznes, która stanowi rodzaj zbiorowego ubezpieczenia dla współpracujących z nią przedsiębiorców. Ma ono zapewniać ochronę finansową franczyzobiorców w przypadku wystąpienia ujemnego salda w chwili zakończenia działalności pod szyldem Żabka. W takiej sytuacji powstałe zobowiązania pokrywa ubezpieczyciel, tj. TUW PZUW. Z Polisy może skorzystać każdy franczyzobiorca, a dzięki skali działania Żabki koszty składek, po części finansowane też przez sieć, są niezwykle atrakcyjne.

NOWE ZMIANY – NA LEPSZE!

Nowe, jeszcze lepsze zmiany weszły w życie już z początkiem 2022 r. – franczyzobiorcy sieci mogą liczyć na bardziej przejrzystą ofertę współpracy. System rozliczeń opiera się obecnie na trzech filarach: bezpieczeństwo, motywacja oraz partnerstwo. Przychód oferowany jest każdemu współpracującemu z siecią przedsiębiorcy, nie jak dotychczas jedynie nowym franczyzobiorcom, którzy rozpoczynają biznes z Żabką. Według założeń nowej oferty przychód ma pokrywać szacowane średnie koszty prowadzenia działalności przez franczyzobiorcę, w tym prowadzenie administracji działalności gospodarczej czy realizacji zobowiązań podatkowych i ZUS. Co ważne, przedsiębiorcy współpracujący z Żabką mają możliwość generowania dodatkowego przychodu poprzez zwiększenie poziomu sprzedaży, a także utrzymywanie wysokiej jakości obsługi klientów oraz prowadzonej placówki. Co więcej, sieć gratyfikuje finansowo przedsiębiorców, którzy związani są z nią powyżej trzech lat. W ubiegłym roku w okresie styczeń–listopad aż 83 proc. franczyzobiorców osiągnęło miesięczny przychód w wysokości 18 tys. zł miesięcznie lub więcej.

Każdy nowy franczyzobiorca otrzymuje, jak do tej pory, gotowy do prowadzenia sklep – w pełni wyposażony, umeblowany i zatowarowany, w wynajętej przez sieć lokalizacji. Przedsiębiorcy działający z Żabką mogą również liczyć na wsparcie technologiczne, logistyczne, serwisowe czy marketingowe, a także znany brand oraz wiele szkoleń. Wchodząc do sieci, potrzebują jedynie ok. 5 tys. zł wkładu własnego, który pokrywa zakup kasy fiskalnej czy produktów regionalnych.

WSZYSTKIEGO MOŻNA SIĘ NAUCZYĆ

Od kandydatów na franczyzobiorców sieć nie wymaga kierunkowego wykształcenia ani wcześniejszego doświadczenia w handlu czy prowadzeniu własnego biznesu. Docenia z kolei takie cechy jak przedsiębiorczość, zaangażowanie i motywacja. Już na etapie rekrutacji i szkoleń Żabka kształci przyszłych przedsiębiorców – w ramach szkolenia wstępnego prowadzonego przez jej Trenerów ds. Szkoleń. Osoby, które chcą zostać franczyzobiorcami, mogą się zapoznać z funkcjonowaniem sklepów Żabka, jeśli chodzi o sprzedaż, rozliczenie z siecią czy promocje, a także w ogóle z prowadzeniem własnej działalności gospodarczej – w zakresie podatków czy HR. Okres wdrożeniowy trwa osiem dni i jest indywidualnie dostosowywany do każdego z kandydatów, uwzględniając jego wiedzę i kompetencje. Już po podpisaniu umowy z siecią wszyscy franczyzobiorcy mogą dalej liczyć na wsparcie merytoryczne, m.in. dzięki dostępowi do specjalnej platformy e-learningowej, która stanowi kompendium wiedzy o sieci, prowadzeniu sklepu Żabka i wdrażanych nowościach. Aby wzmocnić wiedzę franczyzobiorców o finansach, niedawno sieć powołała również specjalną jednostkę Centrum Wiedzy o Finansach, która w prosty i przystępny sposób będzie przybliżać zagadnienia związane z tym obszarem.

W tym roku franczyzobiorcy będą mieli szansę kontynuować rozwój w placówkach o różnych formatach, przy dalszej optymalizacji prowadzenia sklepów, a także oferując klientom wzbogacany nieustannie asortyment produktowy i usługowy. Dalszy dynamiczny rozwój ich biznesów to z kolei rozwój drobnej, jakże ważnej, przedsiębiorczości w naszym kraju.

Więcej informacji o franczyzie Żabki na: www.zabka.pl/franczyza

eprasa.pl 062fd4e8ab

Ryba, która zmieniła historię i prawo

Jeśli chcemy przywrócić jesiotry w Bałtyku i jego dorzeczu, w tym przede wszystkim w Wiśle, musimy hodować i wypuszczać do naszych akwenów jesiotry ostronose. Mamy ten gatunek do dyspozycji, wciąż żyje on bowiem w Ameryce Północnej. Prace takie rzeczywiście są prowadzone

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

W 1996 r. w Bałtyku u wybrzeży Estonii złowiono wielką rybę, która zmieniła bieg historii i treść aktów prawnych kilku państw. Tą niezwykłą rybą był jesiotr, samica o długości niemal 3 m i masie ciała 136 kg. Została schwytana przypadkiem przy okazji połowu śledzi. Jej wiek – a jest on sprawą istotną – oszacowano na 50 lat. Świat nauki zatrząsł się, a później zmianie uległy rozporządzenia ministerialne państw mających łączność z Bałtykiem. Dlaczego? Żeby to wyjaśnić, musimy pokrótce opisać jesiotra bałtyckiego, a później cofnąć się do początków tej historii, czyli miliony lat wstecz, do dewonu.

Pośród osobliwych ryb europejskich jesiotr bałtycki niewątpliwie i zasłużenie miał od zawsze jedno z najprzedniejszych miejsc. Zwłaszcza w Polsce, na której terenie znajdowały się najważniejsze i największe na kontynencie tarliska tych ryb. W samym tylko 1897 r. w rejonie ujścia Wisły złowiono – dziś nie mieści się to w głowie – aż 130 ton jesiotrów. Chociaż zawsze był cenioną i szlachetną rybą, z racji swojej powszechności w drugiej połowie XIX w. na warszawskim targu był tańszy niż ładny szczupak, węgorz czy sum. Największe okazy jesiotrów dorastały do długości ponad 4 m i przeszło 400 kg masy ciała. Z gigantem tym wiąże się tyle zagadek i tajemniczych historii, co chyba z żadną inną rybą.

ZACZĘŁO SIĘ JESZCZE W DEWONIE

Z tej odległej epoki geologicznej pochodzą najstarsze znane ślady obecności ryb kostnochrzęstnych, czyli inaczej kostołuskich, do których zaliczają się jesiotry. Niemal wszyscy przedstawiciele tej grupy ryb wymarli w zamierzchłej przeszłości; do dziś dotrwały tylko jesiotry. O ich pradawnym rodowodzie świadczy pysk, wydłużony w kształt osobliwego rostrum zakończonego wąsikami, tak zwane łuski ganoidalne, zdobiące zębatymi grzbietami boki i grzbiet jesiotrów niczym u dinozaurów lub baśniowych smoków, jak również nietypowa, niesymetryczna płetwa ogonowa nazywana heterocerkiczną.

Wygląd jesiotra jest rzeczywiście niezwykły. Nic dziwnego, że dał początek bazyliszkowi – a przynajmniej temu z godła kamienicy z ul. Starowiślnej 84 w Krakowie. W różnych opisach godło nad bramą tego budynku, zaprojektowanego przed drugą wojną światową przez Leopolda Bachnera i Maurycego Stiela dla cadyka i filantropa Rabinowicza Szlomo Chanocha ha-Kohena, określane jest jako „bazyliszek". Kiedy jednak stanąłem przed kamienicą i przyjrzałem się stworzeniu, nie miałem wątpliwości. Wąsy, wydłużony pysk, grzebieniasty grzbiet i boki mają w sobie coś smoczego i pradawnego, jednak niewątpliwie jest to jesiotr. Kiedy projektowano kamienicę i rzeźbiono wielką rybę, jesiotry żyły jeszcze w Bałtyku i w Wiśle. Może modelem był okaz ze straganu, z któregoś z krakowskich placów handlowych?

JESIOTR BAŁTYCKI – CZYLI CO?

Spośród żyjących na świecie jesiotrów, najbliższy nam jest jesiotr bałtycki, jedyny rodzimy nasz gatunek. Jak wspomniałem, przez wieki to właśnie na terenie Polski znajdowały się

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 062fd4e8ab

największe i najważniejsze tarliska jesiotrów bałtyckich. Główny ich zasięg obejmował Wisłę i jej dopływy. Największe rozrodcze zgromadzenia tych ryb odbywały się w Wiśle od podkrakowskiego Tyńca aż do Sandomierza.

Jesiotry to ryby dwuśrodowiskowe. Wiosną wpływały z Bałtyku do rzek, odbywały tarło i wracały do morza, gdzie intensywnie polując na denne gatunki ryb, skorupiaki i inne bezkręgowce, szybko przybierały na masie. Do morza spływały również młode osobniki, by po osiągnięciu dojrzałości wrócić na miejsce, w którym przyszły na świat i dać początek nowym pokoleniom jesiotrów. Tak było przez wieki.

Od zawsze też, odkąd powstała nowoczesna systematyka przyrodnicza, uważano, że jesiotry bałtyckie były podgatunkiem czy też odmianą jesiotrów zachodnich *Acipenser sturio*, żyjących w Morzu Śródziemnym i Atlantyku i odbywających tarło m.in. w rzekach Francji.

WSTRZĄS WIELKI JAK JESIOTR

Kłusownictwo, połowy w czasie tarła, a zwłaszcza podczas wędrówek na tarło, jak również postępujące zanieczyszczenie wód – a nade wszystko zapory przegradzające rzeki, w tym najbardziej złowieszcza zapora we Włocławku – to wszystko sprawiło, że wielkie stada jesiotrów odeszły w przeszłość. Całkiem – jak sądzono – i nieodwołalnie. Ostatniego jesiotra w Polsce – trzymetrową i 135-kilogramową rybę – złowiono w Wiśle pod Chełmnem w 1965 r. (pojawiają się nie do końca potwierdzone informacje o złowionym jesiotrze z początków lat 70.).

Kiedy wydawało się, że ryby te definitywnie wyginęły, wydarzyła się wspomniana już historia – w 1996 r. w wodach estońskich złowiono wielkiego przedstawiciela jesiotrów bałtyckich. O tym, że należał on do przedstawicieli dawnej populacji, świadczył wiek ryby – około 50 lat. Przyszła więc na świat w czasach, kiedy ryby te wciąż – rzadko lecz regularnie – spotykane były w Bałtyku i jego dopływach.

Kiedy zbadano DNA złapanej samicy jesiotra, naukowcy osłupieli. Okazało się, że nie jest to, jak sądzono, jesiotr zachodni *Acipenser sturio* (do którego to gatunku zaliczano zawsze jesiotry bałtyckie), lecz jesiotr ostronosy *Acipenser oxyrinchus* znany z Ameryki Północnej.

Przypadek? Ryba, która przepłynęła ocean lub którą ktoś wpuścił do naszego morza? Nic z tych rzeczy. Nie spodziewając się niczego specjalnego, z poczucia obowiązku sprawdzono DNA muzealnych okazów jesiotrów pochodzących z Bałtyku i jego polskich dopływów. Kolejny wstrząs – żaden z nich nie był jesiotrem zachodnim, wszystkie należały do gatunku jesiotr ostronosy. Nauka myliła się więc, przyjmując założenie bez jego sprawdzenia. W Polsce i w Bałtyku nie było więc nigdy jesiotrów zachodnich, lecz miejscowy podgatunek jesiotra ostronosego. Jakie ma to znaczenie? Kolosalne.

TUR I BAWÓŁ

Po tym odkryciu zmianie musiały ulec rozporządzenia ministrów właściwych do spraw środowiska, wymieniające gatunki zwierząt podlegających ochronie prawnej. Zniknął z nich jesiotr zachodni (który widnieje w starszych wersjach

Fot. Archiwum autora

Bazyliszek z krakowskiej kamienicy przy ul. Starowiślnej 84 jest jesiotrem

rozporządzeń dla przypomnienia, żeby w naukach przyrodniczych nie przyjmować nic za pewnik bez sprawdzenia), a pojawił się jesiotr ostronosy. Zmieniono też plany restytucji, czyli przywrócenia jesiotrów bałtyckich przyrodzie. Jesiotr zachodni, którego bez powodzenia wpuszczano do naszych rzek dotychczas, wymaga zwłaszcza podczas tarła cieplejszych wód niż jesiotr ostronosy. Cieplejszych niż polskie rzeki.

Są również inne różnice w wymaganiach i biologii tych odrębnych gatunków. Podejmowane wcześniej próby hodowli i wypuszczania jesiotrów zachodnich w Bałtyku przestały więc mieć sens – jeżeli chciałoby się zasiedlać Bałtyk i jego dorzecze tym obcym gatunkiem ryby, to tak jakby wiedząc coś z grubsza o wymarłym niegdyś w Polsce turze, wypuszczać bawoły afrykańskie, żeby zastąpić lukę przyrodniczą.

Jeśli chcemy przywrócić jesiotry w Bałtyku i jego dorzeczu, w tym przede wszystkim w Wiśle, musimy hodować i wypuszczać do naszych akwenów jesiotry ostronose. Mamy ten gatunek do dyspozycji, wciąż żyje on bowiem w Ameryce Północnej. Prace takie rzeczywiście są prowadzone.

Oczywiście, różnice pomiędzy jesiotrami z Ameryki a dawnymi jesiotrami bałtyckimi niewątpliwie istnieją – jak się przypuszcza, jesiotry bałtyckie wydzieliły się z tego gatunku kilka tysięcy lat temu i od tego czasu zaczęły się przystosowywać do miejscowych warunków, wytwarzając wiele własnych zachowań. Można jednak sądzić, że potencjał genetyczny i przystosowawczy amerykańskich jesiotrów – bądź co bądź tego samego gatunku, do którego należały nasze jesiotry – po raz drugi w dziejach pozwoli im na stworzenie bałtyckiej populacji. Może też, kto wie, w głębinach Bałtyku kryje się jeszcze jakiś epigon jesiotrów bałtyckich, którego geny będą mogły wzbogacić geny wsiedlanych osobników?

Pamiętajmy też, że warunkiem powrotu jesiotrów (a także warunkiem przeżycia ryb w naszych rzekach w ogóle, smutna historia jesiotra nie jest wyjątkiem) jest czysta woda, naturalność i brak zapór przegradzających rzeki w sposób nie do przebycia dla ryb. Mamy możliwość, aby to wszystko osiągnąć. A czy zdamy sobie sprawę z ważności takich działań, niezbędnych nie tylko jesiotrom, lecz nam samym – i czy je podejmiemy? To już zupełnie inna sprawa.

eprasa.pl 062fd4e8ab

SYLWIA BĄKOWSKA*

Jej słodkość, beza

Tę historię można opowiedzieć na kilka sposobów. Dziś pójdziemy szlakiem bezy. Tej, która pojawiła się na plakacie. Śnieżnobiała, ozdobiona sercem ułożonym z płatków róż, zapowiada walentynkowy film „Miłość jest blisko" (w kinach od 11 lutego).

Autorką bezy z plakatu jest Sylwia Bąkowska – z zawodu architektka, z pasji cukierniczka. Na pewnym etapie – jak wspomina – kulinarna kreacja stała się dla niej formą terapii (pieczenie wymaga odpowiednich warunków: czasu, przestrzeni, nastroju...). Słodkie dzieło, gdy jest tworzone w optymalnym rytmie – bez pośpiechu, z sączącą się w tle ulubioną muzyką – ma szansę pięknie wyrosnąć, a potem zyskać nowe smakowe nuty i olśniewającą oprawę.

Sylwia Bąkowska doskonale rozumie pasję głównej bohaterki filmu, Natalii (Weronika Książkiewicz), która w domowym zaciszu szykuje bezowe rarytasy. Jej też wykonane z białka i cukru torty i desery dawno przestały się kojarzyć jedynie z rozłożystymi kreacjami panien młodych. Beza to, jak zauważa, równocześnie kruchość i miękkość; słodycz zbalansowana – bitą śmietaną z serkiem mascarpone oraz prawdziwą wanilią, a także nutą owoców i jadalnych kwiatów. To także biel współgrająca z kolorem i fakturą.

– Idealna wysoka beza ma zwartą niepopękaną wierzchnią warstwę. Wydaje się mocna, ale łatwo ją skruszyć. W środku, pod słodką skorupką, czeka crème de la crème – delikatna pianka lub „ciągutka" (wszystko zależy od techniki pieczenia) – podkreśla.

Najszlachetniejsza wśród bez, pavlova – jak primabalerina, od której wzięła nazwę – potrafi oczarować zarówno idealną linią, jak i różnorodnością wypełnienia. W zależności od użytej masy oraz owoców ozdobi przyjęcie o każdej porze roku. W formie wieńca bezowego, gdy udekorujemy go np. listkami ostrokrzewu (nie są jadalne, ale też nie wchodzą w reakcję z bitą śmietaną czy kremem) znakomicie sprawdzi się w świątecznych okolicznościach. Z miętą i delikatnymi pióropuszami ze skórki limonki oczaruje gości latem.

– W idealnej pavlovej wszystko się nawzajem uzupełnia: smak, konsystencja, wygląd – sumuje właścicielka marki Słodkie na Telefon. – To po prostu bezowa harmonia.

Jolanta Gajda-Zadworna

**Architektka z bezową pasją*

Beza pavlova według Sylwii Bąkowskiej

Beza dla początkujących? Proponuję skok na głęboką wodę – czyli zaczynamy od pavlovej – ale z pewnymi zastrzeżeniami. Przede wszystkim nie poddajemy się. Szczęście początkującego może sprawić, że już za pierwszym podejściem wszystko się uda, jednak najczęściej potrzeba dwóch, trzech prób. I to jest OK. Z takim nastawieniem przystępujemy do działania, pamiętając jeszcze o paru sprawach: nie spieszymy się (warto włączyć jakąś fajną muzykę) i oddajemy się pieczeniu. Wcześniej dobrze jest poznać specyfikę piekarnika, z którego będziemy korzystać.

Składniki: 6 białek z jajek „M" (jajka ekologiczne, najlepiej „0"), 350 g drobnego cukru do wypieków, opakowanie cukru z prawdziwą wanilią, 2 łyżeczki mąki ziemniaczanej, 1,5–2 płaskie łyżeczki octu winnego, szczypta soli.

Krem: 500 ml śmietany 30 proc., serek mascarpone, ziarenka z jednej laski wanilii, opakowanie cukru z prawdziwą wanilią.

Wykonanie: Do naczynia (szklanego lub metalowego) wbijamy białka tak, by nie dostała się do nich ani odrobina żółtka. Jajka powinny mieć temperaturę pokojową. • Przez ok. pół minuty ubijamy same białka, po czym dosypujemy szczyptę soli. Gdy zaczyna się pojawiać piana, powoli dodajemy cukier, potem cukier waniliowy (albo ziarenka z jednej laski wanilii); zmniejszamy obroty, wlewamy ocet winny, ubijamy chwilę i dosypujemy mąkę ziemniaczaną. • Ustawiamy piekarnik na 180 st. (u mnie najlepiej sprawdza się termoobieg). Na dużą blachę wyłożoną papierem do pieczenia wykładamy ubitą na sztywno pianę i dużą łyżką formujemy „kopiec" na planie koła. Pamiętamy o zrobieniu wgłębienia, do którego po upieczeniu włożymy krem i dodatki. • Tuż po wstawieniu blachy do piekarnika zmniejszamy temperaturę do 120 st. Po 20 min przykręcamy do 100 st. i ustawiamy czas na 3–3,5 godz. Beza musi się wysuszyć. • Składniki na krem miksujemy na jednolitą masę. Przekładamy do rękawa cukierniczego (lub torebki foliowej, w której ucinamy rożek) i wyciskamy do wgłębienia. A potem pięknie dekorujemy.

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl 062fd4e8ab

SŁODKO-SŁONY

Cytrusy z zielonym liściem

ANNA MONICKA

Każdemu, nawet najbardziej odpornemu osobnikowi mogą się wreszcie wyczerpać bateryjki. Pogoda temu sprzyja – mokro, wietrznie, cały czas skacze ciśnienie, co odczuwają nie tylko meteopaci. Monotonne, pozbawione świeżych owoców i warzyw jedzenie. No i brak słońca, słynnej witaminy S. Zanim ciało się zbuntuje, wyśle parę sygnałów ostrzegawczych. Będzie na przykład chciało ciągle spać albo nagle wyrzuci jęczmień na powiece czy zimno na ustach. Wtedy trzeba zacząć działać, i to szybko. Na szczęście o tej porze też dojrzewają owoce. Wprawdzie nie u nas, ale i tak warto po nie sięgać. Cytrusy, które do nas docierają właśnie teraz, są najlepsze. I chociaż ceny podskoczyły, cytryny, pomarańcze czy mandarynki warto kupować, bo to lepsze witaminy niż te w tabletkach. A jeśli ich działanie wzmocnimy bananami, imbirem i miodem, może uda nam się uniknąć nieprzyjemnych infekcji.

Roślina, która w naszym klimacie opiera się przymrozkom, a jest bardzo zdrowa, to jarmuż. Jego elegancko karbowane liście są skarbnicą wapnia, potasu, cynku, magnezu i żelaza oraz witamin, które budują naszą odporność. Najlepiej jeść je na surowo, jednak nie każdemu smakują, bo są twarde. Mam do nich uraz – w dzieciństwie karmił mnie nimi pewien przyłatany dziadek, który uprawiał warzywo na rabatkach zamiast kwiatów. Twierdził, że to zabezpieczenie na czarną godzinę, bo dzięki jarmużowi z czosnkiem przeżył wojnę i nie dostał szkorbutu. Gdy miałam kilka lat, jakoś nie przemawiały do mojej wyobraźni jego słowa oraz upór, z jakim wmuszał we mnie zieloną papkę.

Na szczęście teraz są lepsze przepisy. Jeden z nich to smakowity koktajl owocowo-warzywny. Potrzebujemy dwóch soczystych pomarańczy, cytryny, banana, jabłka, kawałka startego imbiru oraz poszatkowanego listka jarmużu. Blendujemy to wszystko na gładko, doprawiamy miodem i codziennie pijemy na pierwsze lub drugie śniadanie. Przez dobrych parę godzin po takiej porcji witamin nie czujemy głodu. Po paru dniach mamy też zdecydowanie więcej sił witalnych. Jeśli chcemy wzmocnić działanie tego napoju, można go doprawić odrobiną rozgrzewającego cynamonu.

Fot. Shutterstock, archiwum autorki

WILCZYM OKIEM

Gruszka czy jabłko?

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Pośród niezliczonych obrazów Matki Bożej istnieje wiele wyobrażeń, na których Madonna trzyma w dłoni owoc. Na namalowanym w 1526 r. obrazie Albrechta Dürera „Madonna z Dzieciątkiem", znajdującym się w Galerii Uffizi we Florencji, widzimy Maryję trzymającą w dłoni owoc określany powszechnie jako gruszka. Obraz ten był inspiracją dla wielu innych dzieł, na których Madonna trzyma niewątpliwie gruszkę. Co jednak znajduje się na obrazie Dürera?

Arcydzieła sztuki mają wspólną cechę z przyrodą – trzeba umieć zauważyć i odczytać szczegóły. Jeżeli przyjrzymy się dokładnie namalowanemu 500 lat temu owocowi, zobaczymy, że nie może być gruszką. Nie może i nie jest. Chociaż na pierwszy rzut oka istotnie ma kształt gruszkowaty, to w miejscu, w którym gruszka ma ogonek, znajdują się pozostałości kwiatu. Ogonek jest na końcu szerszym, tym, który trzyma Maryja. To nie gruszka, lecz jabłko.

Pomińmy bardzo ciekawe kwestie symboliki gruszki i jabłka w obrazach maryjnych i wyjaśnijmy, jaka tajemnica kryje się za jabłkiem wyglądającym jak gruszka.

W XV i XVI w. na południu Europy uprawiano odmianę jabłoni rodzącą jabłka o tym właśnie kształcie: szerokie u nasady, wydłużone, zwężające się ku końcowi. Od charakterystycznego kształtu nazywano je *muso do bue* – woli pysk. Takie jabłka uprawia włoska agronom Isabella Dalla Ragione. W jej sadzie w Umbrii rosną drzewa owocowe, które gdzie indziej dawno zniknęły.

W Polsce podobne prace, mające na celu odszukanie i zachowanie starych odmian drzew owocowych, prowadzą leśnicy. Stare odmiany są skarbcem zawierającym w sobie zróżnicowanie genetyczne, specyficzną odporność i przystosowanie do miejscowych warunków, niewyobrażalnie szeroką gamę walorów smakowych i użytkowych. Otrzymane przez setki lat pracy lokalnych ogrodników są kwintesencją różnorodności – tej cechy, która sprawia, że przyroda jest zachwycająca i niezawodna zarazem.

Nowoczesne sady i inne uprawy muszą być wysokoprodukcyjne. To jednak wiąże się z unifikacją i bardzo silnym zawężeniem stosowanych odmian do niewielkiej grupki. Stare odmiany są dziedzictwem, bez którego nie zrozumiemy obrazów dawnych mistrzów, i depozytem genów, bez których nie przetrwałoby nowoczesne rolnictwo.

eprasa.pl 062fd4e8ab

W ŚWIECIE LUSTER

HANNA KARP

Kariery weryfikatorów w mediach III RP

Nie doczekaliśmy się jeszcze wyczerpującego opisu telewizji stanu wojennego i dalszych losów ludzi, którzy ją tworzyli. Rozliczenie weryfikacji, którą wtedy przeprowadzono, jest jeszcze trudniejsze, gdyż historycy z mozołem odkrywają akta dokumentujące ten proceder. Jednak archiwa są żywe. Wiemy, że zachowała się część materiałów z weryfikacji. Została przejęta nieoficjalnie przez niektóre osoby. Dziennikarze poddani weryfikacji podkreślają, że weryfikatorzy mieli przygotowane na przesłuchanie specjalne teczki personalne, zawierające szczegółową wiedzę nie tylko o przebiegu ich kariery zawodowej, lecz także o życiu osobistym.

IGNORANCJA SĘDZIÓW III RP

W 2010 r. Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich w liście otwartym dotyczącym weryfikacji łódzkich dziennikarzy w stanie wojennym protestowało przeciwko umorzeniu postępowania karnego wobec jednego z weryfikatorów. Sąd Rejonowy w Łodzi umorzył postępowanie, mimo że kilkudziesięciu dziennikarzy łódzkich w wyniku tej weryfikacji zostało pozbawionych możliwości wykonywania zawodu, a nawet możliwości zatrudnienia w innych profesjach (dotyczyło to segmentu kultury, nauki i oświaty). „Były to typowe represje polityczne, których mechanizm i sprawcy pozostali w zamierzeniu władz totalitarnych nieznani pokrzywdzonym" – czytamy w liście. „Dziennikarze dowiedzieli się o mechanizmie Komisji Weryfikacyjnej dopiero w 2005 r., a jednego z autorów represji (przeciwko któremu toczyło się postępowanie) prokurator IPN ustalił w 2009 r. Sąd niepodległej Rzeczpospolitej w uzasadnieniu wyroku napisał, że »karalność zarzuconego oskarżonemu czynu przedawniła się w dniu 24 stycznia 1987 r.«. Sąd nie uwzględnił zapisów ustawy o IPN – Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu o ustalaniu terminu przedawnienia karalności zbrodni komunistycznych, odwołał się natomiast do uchwały 3 sędziów Sądu Najwyższego z 25 maja 2010 r., która podważa zasadność istnienia pionu prokuratorskiego IPN".

To długi cytat, jak na początek, ale ważny. List kończył się słowami: „Historyczna ignorancja sędziów wolnej Rzeczpospolitej nie może prowadzić do sankcjonowania bezkarności funkcjonariuszy totalitarnego państwa. To nie jest sprawiedliwość". Te słowa okazały się prorocze. Do tej pory niewiele zmieniło się na lepsze.

BEZ ZADOŚĆUCZYNIENIA

Po roku 1989 nie było mowy o sprawiedliwości ani jakimkolwiek materialnym zadośćuczynieniu pozbawionym pracy dziennikarzom. Jadwiga Chmielowska z ośrodka RTV Katowice, wspominając tamten czas, mówiła: „Dosłownie zdychałam z głodu. Miałam kilogram ryżu na dwa tygodnie, mniej niż Chińczyk. Rozważałam wyjazd do Stanów Zjednoczonych, do Austrii lub Szwajcarii. Od dawna znałam niemiecki jak polski. Na początku lat 80. bezpieka proponowała mojej rodzinie, aby mnie namówili na wyjazd do Niemiec, bo jako

eprasa.pl 062fd4e8ab

absolwentka automatyki i informatyki na Politechnice Gliwickiej miałabym miękkie lądowanie. Moi koledzy byli już w Krzemowej Dolinie w USA. Też chcieli mnie ściągnąć". Na pytanie, co ją powstrzymywało przed wyjazdem, odpowiadała: „To, że jestem Polką i przekonanie, że nikt mnie nie będzie z mojego kraju wyrzucał".

Dziennikarze po powrocie do Telewizji Polskiej, po wyborach czerwcowych w 1989 r., gdy prezesem telewizji i radia na kilka kolejnych lat został Andrzej Drawicz, otrzymali pismo przepraszające za upokorzenia, represje, utratę pracy, jakie ich spotkały w stanie wojennym. Słowa przeprosin, kierował do nich ich nowy szef, budujący „wolną Polskę" i „wolne media", były tajny współpracownik Służby Bezpieczeństwa, zarejestrowany jako TW „Kowalski" i „Zbigniew".

BEZKARNI I ZASŁUŻENI

Zasiadających w komisjach weryfikacyjnych w stanie wojennym nie tylko nie spotkała w nowej Polsce żadna kara, ale stanęła przed nimi otworem ścieżka kariery politycznej i medialnej. Barbara Rogalska podkreślała: „Weryfikatorzy i gorliwi piewcy stanu wojennego zostali nagrodzeni za swoje trudy: wielu z nich wyjechało na placówki korespondenckie za granicę, co było wówczas, w kraju biednym i głodnym, nie lada gratką. Zbigniew Bożyczko wyjechał do USA, Marek Sieczkowski do Moskwy, Stanisław Kaczmarski do Pragi, a Karol Bielecki do Sofii". Dodajmy, że Marek Sieczkowski kontynuował swoją pracę dziennikarską w redakcji zagranicznej i oprócz Moskwy był także w roku 1988 korespondentem telewizji w Sofii.

Inni weryfikatorzy, np. Ryszard Sławiński (już w III RP senator SLD) i Ryszard Ulicki (w III RP poseł SLD), zostali członkami Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Ryszard Sławiński był członkiem komisji weryfikacyjnej pracującej w Wielkopolsce, która pozbawiła pracy pięciu dziennikarzy, ponadto dwóch dziennikarzy internowano. Zachował pracę jako redaktor naczelny „Przeglądu Konińskiego" do roku 1990 (pracował w nim jeszcze przed stanem wojennym). W III RP odnalazł się w polityce najpierw jako radny Rady Miasta Konin, a potem senator RP z list Sojuszu Lewicy Demokratycznej. W 2004 r. – pomimo protestów środowisk dziennikarskich Wielkopolski, pamiętających Sławińskiego jako weryfikatora z czasu stanu wojennego – został wybrany z ramienia lewicy na członka Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

Ryszard Ulicki w stanie wojennym zasiadał w lokalnej komisji weryfikacyjnej dziennikarzy w Koszalinie.

> Kariery dziennikarzy tworzących komisje weryfikacyjne, nie tylko w okresie stanu wojennego, lecz także w III RP długo przeżywały swój rozkwit

Od 1971 r. był etatowym pracownikiem aparatu partyjnego. W latach 80. kierował Wydziałem Propagandy i Agitacji Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Koszalinie. Od 1984 do 1990 r. był redaktorem naczelnym Polskiego Radia w Koszalinie. Od 1991 do 2003 r. zasiadał w Sejmie RP jako poseł I, II, III i IV kadencji, wybierany z okręgu koszalińskiego z ramienia Sojuszu Lewicy Demokratycznej. W 2003 r. utracił mandat poselski w związku z powołaniem przez Sejm na członka Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

Innym z członków komisji weryfikacyjnych Polskiego Radia w Warszawie był Andrzej Turski. Od 1968 r. pracował w redakcji Polskiego Radia. Miał zaufanie władzy jako członek PZPR w latach 1974–1990. Znaczna część zweryfikowanych przez niego dziennikarzy odeszła z pracy, nie przeszła przesłuchań pozytywnie, uznana została za „element wrogi" o „poglądach antysocjalistycznych". Turski w 1982 r. został awansowany na redaktora naczelnego Programu III Polskiego Radia, a następnie na dyrektora Programu I, co stanowiło ukoronowanie jego radiowej kariery. Współtworzył takie audycje, jak „Sygnały dnia", „Samo życie", „Radiokurier". W 1987 r. przeszedł do Telewizji Polskiej na stanowisko dyrektora i redaktora naczelnego TVP 1. W czasach „nowej Polski", w 1991 r., został wicedyrektorem Telewizyjnej Agencji Informacyjnej. Od 2002 r. w „Panoramie" w II Programie TVP, w TVP Info był gospodarzem programu publicystycznego „7 dni świat". Laureat Super Wiktora i Wiktora w kategorii Dziennikarz Roku 2005. W wolnej Polsce odznaczony m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Złotym Krzyżem Zasługi.

Inny członek komisji weryfikacyjnych, Karol Bielecki, weryfikujący kolegów w TVP, wyjechał na placówkę do Pragi jako korespondent państwowej telewizji. Kolejny członek komisji weryfikacyjnej Zbigniew Bożyczko, przesłuchujący dziennikarzy gdańskiego oddziału telewizji, na następnym etapie swojej kariery otrzymał awans do Warszawy i etat w redakcji „Dziennika Telewizyjnego". Potem trafił do redakcji zagranicznej i w 1987 r. wyjechał jako korespondent TVP do Nowego Jorku. Z kolei zasiadający w komisji weryfikacyjnej oficer Służby Bezpieczeństwa Stanisław Kaczmarski, tylko podający się za dziennikarza, został szefem redakcji „Dziennika Telewizyjnego", by następnie, jako korespondent TVP, wyjechać do Pragi. Kaczmarski pracuje w telewizji do końca PRL, odchodzi z niej w okresie przełomu 1989/1990 r.

Przywołane wyżej życiorysy nie stanowią historii odosobnionych. Kariery dziennikarzy tworzących komisje weryfikacyjne, nie tylko w okresie stanu wojennego, ale także w III RP długo przeżywały swój rozkwit.

Autorka jest religiologiem, medioznawcą, profesorem Akademii Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu

eprasa.pl 062fd4e8ab

N plus R

Alina Czerniakowska

Historia lubi się powtarzać, niestety ludzie decydujący o losach świata nie wyciągają wniosków z minionych wydarzeń. Znowu obserwujemy rosyjskie czołgi, ciężki sprzęt wojskowy i ponad 100 tys. żołnierzy, jak podają media, na polach ukraińskich, czyli po części na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Wszyscy mówią o realnym zagrożeniu, Putin pręży muskuły, co podziwia nasza głupia przekupiona opozycja, „Gazeta Wyborcza" i inne wydawnictwa finansowane w Polsce przez obcy kapitał zachwycają się jego tężyzną, a zwykli ludzie wpadają w przerażenie.

Tu przychodzi mi na myśl cytat, który przytoczył swego czasu prof. Bolesław Orłowski: „Co robić, gdy będzie N+R?" [Niemcy plus Rosja] – zapytał Józefa Piłsudskiego jeden z oficerów na naradzie sztabowców w latach 30., kiedy już wówczas nasz wielki myśliciel i strateg przewidywał zagrożenie wojną, która przyszła w 1939 r., kiedy on już nie żył. Wówczas Józef Piłsudski odpowiedział krótko: „Umierać z szablą w dłoni na placu Saskim" – bo często zostawał nam już tylko honor.

Niemcy z Rosją się porozumiewają, był pakt Ribbentrop-Mołotow, sojusz N+R podzielił Polskę, teraz też widać wyraźnie, jak silna rozwijająca się Polska przeszkadza im we wzajemnym zbrataniu. Najbardziej jaskrawym tego przykładem są Nord Stream 1 i 2, wzajemne interesy, wielkie pieniądze i chęć podporządkowywania sobie reszty świata. Polska, „bękart Europy" czy później „zapluty karzeł reakcji", zawsze się podnosi, mamy naszych „Królów Duchów", o których pisał Juliusz Słowacki. Jeśli nie udawało nam się pokonywać wrogów siłą militarną, strategią, to pokonywaliśmy ich siłą ducha. Prof. Józef Garliński z Londynu napisał w swojej książce „Walczący Oświęcim": „Żeby przeżyć to piekło, trzeba było mieć dwie rzeczy – silną wiarę w Boga i miłość kogoś bliskiego, oczekującego naszego powrotu".

Dzisiaj też trzeba mieć te dwie rzeczy, „by być silniejszym od warunków, by iść pod prąd, nie załamać się, by się przedwcześnie nie wycofać" – jak mówił nasz wielki rodak, papież Jan Paweł II. Myślę o niezwykłym duchownym, jedynym takim w historii, Maksymilianie Kolbem, który w piekle na ziemi, jakim był niemiecki obóz śmierci w Oświęcimiu, dobrowolnie oddał życie za nieznajomego skazańca. Świadkiem był współwięzień Michał Micherdziński: „Ojciec Maksymilian szedł w więziennym pasiaku z miską u boku, w drewniakach. Stanął spokojnie przed oficerami niemieckimi. Cała świta, która dokonywała selekcji, wszyscy patrzyli po sobie, nie wiedzieli, co robić. Wreszcie kierownik obozu wściekły zapytał swojego zastępcę: »Was will dieses polnische schwein?« [Czego chce ta polska świnia?]. Zaczęli szukać tłumacza, ale okazało się, że tłumacz jest zbędny. Ojciec Maksymilian odpowiedział spokojnie po niemiecku: »Ich will sterben für ihn« [Chcę umrzeć za niego] i wskazał lewą ręką na stojącego obok Gajowniczka. »Jestem polskim księdzem katolickim«. O. Maksymilian, mimo że wiedział, jak Niemcy traktują polskich księży, nie bał się przyznać do swojego kapłaństwa. Zapanowała wtedy nieznośna cisza. Wreszcie stało się coś, czego do dzisiaj nie mogą zrozumieć ani Niemcy, ani więźniowie. Kapitan SS, który zawsze zwracał się do więźniów bardzo wulgarnie, zwrócił się do o. Maksymiliana per pan: »Warum wollen Sie für ihn sterben?« [Dlaczego pan chce umrzeć za niego?]. O. Maksymilian odpowiedział: »On ma żonę i dzieci«. Po chwili esesman powiedział: »Gut« (Dobrze)".

O. Maksymilian Kolbe skazany na śmierć głodową w zamkniętym bunkrze umierał ponad dwa tygodnie. Oprawcy niemieccy nie mogli pojąć, dlaczego tak długo wytrzymuje, aż w końcu dobili go zastrzykiem z fenolu. Miał 46 lat, niezwykle zdolny w wielu dziedzinach, dziennikarz, twórca nowoczesnej techniki medialnej, założyciel zakonów na wzór Niepokalanowa w wielu krajach świata, głównie zasłużony i znany w Japonii. Po powrocie do Niepokalanowa, korzystając z dobrodziejstw techniki, wybudował tam elektrownię, wprowadził dalekopis, a od 1938 r. zaczął organizować budowę telewizji, studia filmowego i lotniska. Już w 1937 r. jego Radio Niepokalanów można było odbierać na terenie całego kraju.

Dokładnie w tym samym dniu w 1920 r. 14 sierpnia zginął ks. Ignacy Skorupka, warto odwiedzić jego grób na warszawskich Starych Powązkach. Napisy, zdjęcia na starym zmurszałym piaskowcu, a obok krzyża biało-czerwona flaga. Na czołowej i bocznej płycie tekst podpisany przez rodziców bohaterskiego księdza. „Kawaler Krzyża Virtuti Militari, obrońca Warszawy, prefekt szkół, opiekun sierot, młodzieży i wygnańców, harcerz, kapelan 236 p.p. prowadząc pułk do boju w obronie stolicy, zabity na polu bitwy przez bolszewików w Ossowie pod Radzyminem 14 sierpnia 1920 roku, przeżywszy lat 27. Pokój Jego czystej duszy. Najdroższemu Ignasiowi rodzice". A na bocznej płycie informacja o spoczywającym również w tym grobie rodzinnym bracie księdza Ignacego: „Kazimierz Skorupka, urodzony w Warszawie, harcmistrz, żołnierz ochotnik 236 p.p. w 1920 r. Porucznik Armii Krajowej, instruktor harcerzy i komendant Szarych Szeregów Warszawa Praga. W wieku 42 lat zamordowany w obozie koncentracyjnym na Majdanku 24 XII 1943 r.". Jest też tablica poświęcona ich ojcu pochowanemu we wspólnym grobie – pracowali dla Polski, a kiedy Ojczyzna w potrzebie, szli walczyć. Przyzwyczaiła nas historia, literatura do takich życiorysów rodzinnych, tak niegdyś w Polsce bywało: „Jak ci z Samosierry szaleńcy / Jak ci spod Racławic z przed lat /.../ I poszli jak zawsze uparci /Jak zawsze za honor się bić". Pewne zasadnicze imponderabilia przechodziły jak pacierz, z pokolenia na pokolenie, i dlatego „Jeszcze Polska nie zginęła".

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 062fd4e8ab

PRZEZ ŚWIETLIK

Na Pegaza!

Wiktor Świetlik

Co bystrzejsi i bardziej doświadczeni rodzice wiedzą, że dzieci powinny mieć zajęcie. Jak nie ma nic pożytecznego do roboty, czasem warto im dać cokolwiek. Inaczej do głowy przychodzą złe pomysły. Nie wiem, czy w ogóle ta konstatacja nie leży u źródeł całego systemu edukacyjnego. Podobnie jest z politykami, szczególnie opozycji.

Mistrzem ogarniania zajęć dla potencjalnej opozycji był Donald Tusk. Przy czym chodzi przede wszystkim o potencjalnych konkurentów wewnątrzpartyjnych. A to Jarosław Gowin przez lata zajmował się jakimś projektem i dyskusją w sprawie in vitro, w której od początku było wiadomo, że na końcu będzie to samo co na początku. Andrzej Olechowski był z dziesięć lat szefem jakiegoś partyjnego ciała, dopóki nawet przy swojej ograniczonej skromności nie zauważył, że jest to ciało nader istotne i sprowadzające się do jednej jednostki ludzkiej. Fakt, że dość pokaźnej.

Inną metodą rozwiązywania problemów z konkurencją jest pakowanie jej w komisję śledczą. Kiedyś oczywiście taka komisja odegrała pewną rolę, szczególnie w rozbudowie dwóch krakowskich karier politycznych, ale nie oszukujmy się – rządów postkomunistów nie wykończyli Rokita z Ziobrą, a wewnętrzny konflikt między Kwaśniewskim a Millerem. Potem przypominam sobie choćby poczciwego skądinąd, acz rozpaczliwie naiwnego, Andrzeja Czumę, który badał straszne zbrodnie inwigilacyjne rzekomo popełnione przez PiS, ale nie za bardzo był w stanie ich dojść.

Może więc niech opozycja zajmuje się tym nieszczęsnym Pegasusem, na którego użycie dawały w końcu zezwolenie „wolne sądy"? Może dać im tę komisję, a nawet pieniądze na to, by sobie obradowali na Balearach albo choć w Mikołajkach? Będą mieli zajęcie. Jest to w sumie lepsze od wyganiania ludzi na ulicę w środku epidemii, siania paniki, przeszkadzania strażnikom granicznym chronić rubieży. Będziemy dowiadywać się o potwornych prześladowaniach Brejzów czy innych Nowaków, a obwieszczał nam to będzie nieoceniony, przenikliwy, poseł Szczerba ze swoim charakterystycznym błyskiem w oku. Będzie i do płaczu, i do śmiechu. Wszyscy będą zadowoleni.

Stan zagrożenia

Lech Makowiecki

Sytuacja na granicy rosyjsko-białorusko-ukraińskiej jest bardzo dynamiczna i niebezpieczna dla Polski. Czytając stare kroniki, trafiłem na prognozy rozwoju II RP, zmodyfikowane narastającym zagrożeniem militarnym ze strony Niemiec. Wynikało z nich, że dozbrajająca się na potęgę Polska dopiero w 1942 r. osiągnie stan gotowości umożliwiający skuteczną obronę przed atakiem III Rzeszy. Czy Hitler o tym wiedział? Zapewne tak. I dlatego dokonał uderzenia wyprzedzającego.

Uspokojeni naszymi sojuszami obronnymi nie do końca zdajemy sobie sprawę z powagi sytuacji. Tymczasem zanim NATO zdąży zareagować, a UE zredaguje ostre noty dyplomatyczne – wojska rosyjskie będą już w Warszawie! Wypowiedzi prominentnych dowódców Bundeswehry (szef marynarki wojennej adm. Kay-Achim Schönbach) czy niemieckich polityków (vide Nord Stream 2) nie pozostawiają żadnych złudzeń. Jedyne działanie „wspierające", na jakie zapewne możemy liczyć, to zajęcie przez Niemcy zachodnich „ziem utraconych". Nasze zakupy nowoczesnych czołgów, helikopterów, okrętów podwodnych i całego spectrum skutecznej broni defensywnej odsuwane są niebezpiecznie w czasie. W chwili gdy cały aparat państwowy powinien być przestawiony na edukację społeczeństwa w wojennym survivalu (szkolnictwo, media, wszystkie resorty – od MZ, MEiN, po MKiDN), my zajmujemy się tematami zastępczymi (Turów, Zielony Ład, LGBT, pandemia etc.). Plany rozbudowy WOT nadal są niezwykle skromne. Antyimigracyjny płot na granicy z Białorusią, który powinien stanąć najdalej pod koniec zimy, jest wciąż procedowany. Nawet obiecana „strzelnica w każdym powiecie" okazała się wyzwaniem ponad nasze możliwości. Pochłaniają nas sprawy i spory nieistotne, które prysną jak mydlana bańka pod naporem rosyjskich czołgów i rakiet. Gdy powtórzy się u nas casus Czeczenii, Gruzji, Ukrainy czy Kazachstanu – znikną koronawirus, gender i TSUE...

PS Przesadzam? Być może – ale w dobrej wierze.

eprasa.pl 062fd4e8ab

RZECZY POSPOLITE

Uzależnieni od ośmiu gwiazd

Tomasz Łysiak

Właściwie to działa jak swego rodzaju uzależnienie, jak narkotyk albo alkoholowy trunek o niewielkiej liczbie procentów, który tak łagodnie wlewa się w siebie, że w ogóle nic groźnego za tym kryć się nie może. Kto raz skosztuje, ten chce więcej i więcej, a stare doznania nie wystarczają, więc trzeba szukać mocniejszych środków pobudzających mózg do euforycznych stanów. Zaczyna się niewinnie, od jednego „kieliszka" – ach, obejrzę sobie „Fakty", przecież opanuję sprawę, mam „niezależny osąd rzeczywistości". Ale, po tych „Faktach", jak po małym piwku, czemu by nie sięgnąć po kolejne „małe"? Nie zaszkodzi – to bach, „Fakty po Faktach" i jeszcze na popitkę „Kropkę nad i". Następnego dnia rano, lekki kac może i jest. Co robić? Można lecieć do kiosku po „Gazetę Wyborczą". Zapach papieru, wstępniak od redaktora Jarosława, a potem jakiś artykulik od Czuchnowskiego i już ulga, głowa nawet nie boli.

Zresztą, jak sobie zadać pytanie, czy coś jest nie tak, to gdy człowiek się rozejrzy, choćby w pracy, i zobaczy, że wszyscy robią tak samo – a jak nie mają papierowej gazety na biurku, to chociaż niemiecki Onet, pełen dobrej goryczki, sobie pod blatem na telefoniku otworzą lub łykną trochę nadreńskiego Węglarczyka. I jakoś lżej – człowiek nie jest z tym sam, jednak ma się to wszystko pod kontrolą.

Dzień jednak płynie i znowu jakby jakaś ochota na coś przychodzi. A okazja się może trafić już po południu, w trakcie party „ośmiu gwiazd" – tu i pokrzyczeć fajnie, i jest się na świeżym powietrzu. Jakby zimniej się zrobiło, to można np. parę kropel Lisa wysączyć sobie z Twittera. I tak do wieczora. A wtedy znowu „Fakty", „Fakty po Faktach", „Kropka nad i", na stoliku „Newsweek". Jakby było mało, to zawsze można zacząć jeszcze wcześniej – od Morozowskiego. Taak jeeest! I już człowiekowi jakoś lżej na duszy znosić te ponure czasy faszyzmu. Gdyby zabrakło szkła w zapasie – mamy oczywiście „kontaktowe". Zaczyna się więc od małych rzeczy, ale uzależnienie się rozpędza. Pojawia się na stole „Duży Format". Znów poranny kac, trochę większy może, no to co? No nic, jak inni. Do kiosku, „Wyborcza", szybko coś podczytać za rogiem i już człowiek na luziku wchodzi do pracy.

Ring wolny

Piotr Cywiński

„Niemcy zdradzają przyjaciół" – skwitował w „Bildzie" Witalij Kłyczko, którego boli postawa „mających zrozumienie dla Putina". Kim jest Kłyczko? To były bokser, niegłupi, bo z tytułem doktora, swego czasu mistrz nad mistrze, a od paru lat mer Kijowa. Patriota był z niego wielki, nawet wtedy, gdy mieszkał w Niemczech, przed jego występami odgrywany był ukraiński hymn. Niemcy mają uznanie dla tych, którzy sami się szanują, lubili go i chętnie wykorzystywali w reklamach.

Trenerem Witalija był Fritz Sdunek, który szkolił „naszego" Dariusza Michalczewskiego. „Naszego" biorę w cudzysłów, a to choćby z tego względu, że „Tiger" stoczył prawie wszystkie walki w barwach Niemiec, a jego występy poprzedzał niemiecki hymn. Pamiętam, gdy po zwycięskim pojedynku krzyczał z ringu do żony: „Dorte, iś libe diś!". Z niemieckim było u niego nietęgo, ale w końcu miał się bić dla Niemiec, a nie jak Marcel Reich-Ranicki recenzować książki. Niemcy niezbyt poważają farbowanych, chętnie się jednak takimi wysługują, więc „Darius" dostał obywatelstwo już po trzech miesiącach od chwili, gdy został u nich po zawodach w 1988 r. – jakoby na niemieckie pochodzenie „Dorte" je dostał, z domu Doroty Chwaszczyńskiej.

Doktorem Michalczewski nie jest, jego wyuczony zawód to stolarz tapicer, nie mam zatem wobec niego zawodowych oczekiwań, ba, nie mam żalu, że zdobył mnóstwo tytułów dla Niemiec, a w tych, które na koniec kariery stoczył pod biało-czerwoną flagą, poległ jak mucha. My, Polacy, to wyrozumiały naród. „Darius" na powrót został przyjęty jak swój, a nawet zapraszany tu i ówdzie w roli „światowca". A to o jego opinie poprosił polskojęzyczny „Newsweek" czy Onet, a to radiowy Tok albo „Gazeta Wyborcza", a on, wyborca Komorowskiego i PO, ochoczo je wyrażał: że jesteśmy „katolicy obłudnicy", „ciągle tylko pier... imy", że nie pojmuje nienawiści Polaków do Żydów, czarnoskórych i homoseksualistów, że wstydzi się „baranów", którzy wywołują zamieszki na ulicach w Święto Niepodległości, bo „należy kochać bliźniego i być dobrym dla dzieci". Ale ludzie są durni i najpierw muszą dostać od PiS w d..., żeby pojęli.

I tu mam problem. Jak sam przyznał nasz rodak z recyclingu, jeździł autem po pijaku, nawet je rozwalił, ale zwiał, wyznał też, że „jarał jointa" i „jak wciągnął taką kreskę, to dłużej można się było bawić", i kokę przy nim znaleziono, i wyrok niedawno dostał za uderzenie swej kolejnej żony – więc nie wiem, komu bym kibicował: Michalczewskiemu czy Kłyczce, gdyby ktoś zapodał: ring wolny...

eprasa.pl 062fd4e8ab

Michał Korsun prezentuje:
Niemiecki brak racji stanu

Wycinki z przeszłości

Tygodnik „Motor" z zimy 1988 r. oddał głos kierowcy samochodu ciężarowego PKS, który relacjonował jeden z absurdów tamtej epoki. Sprawa dotyczyła próby zatankowania paliwa w Warszawie po oddaniu wiezionego ładunku. „Powiedziano mi, że samochody PKS mogą pobierać paliwo na dworcu Warszawa Zachodnia. Gdy zjawiłem się przed stacją paliw, było już po 21. Dwa autobusy pobierały jeszcze paliwo, ale mi powiedziano: Ciężarowych nie tankujemy".

Kierowca próbował tłumaczyć, że przecież to „jedno przedsiębiorstwo, to samo paliwo", ale usłyszał: „Nie zawracaj głowy, inne są dokumenty na osobowe, inne na ciężarowe". Kazano mu pojechać na ulicę Radziwie. Pobłądził, bo było już ciemno. „Okazało się, że Radziwie to ślepa ulica prowadząca na teren dużej bazy. Dojechałem tam tuż przed 22, brama była już zamknięta. Wreszcie na moje stukanie zjawia się portier i wpuszcza do środka. Podjechałem do dystrybutora". Ale z tankowania nic nie wyszło. Bo po 22 „tankowanie ciężarowych przejmuje Zachodnia". Musiał więc nasz bohater wrócić tam, gdzie zaczął.

(mk)

Nie na rękę

Leszek Długosz

Ileż to razy już zdarzyło się nam wyrzucać choinkę? Zazwyczaj w tych właśnie, pierwszych dniach lutowych. W Krakowie można ją wystawić przed bramę i ktoś zabierze, w imieniu miasta zagospodaruje kłopotliwy surowiec. A jeszcze wczoraj zielona piękność! Pod nią leżały prezenty, na niej błyszczały bombki i ozdoby. Tak przemija jej postać – od drzewka bożonarodzeniowego do odpadu ogołoconego z blasku. Zamiast wzruszeń – resztki dawnej świetności i... świętości.

O niej właśnie – choince po sezonie – zamieszczam poniżej wiersz własnego autorstwa.

„Rozmyślania przy wynoszeniu choinki"

Najpierw się czeka
Obsypuje błyskotkami
Otacza światłem i śpiewaniem
Jest radością oczu i serca
A potem?

Mój Ty Boże – jak się pozbyć?
Jaką najkrótszą wywlec drogą
By się nie pokłuć
Na schodach zanadto nie naśmiecić?

To może niekiedy przypominać
Sytuację miłości, która już przeszła
I jest – jak to się mówi – nie na rękę

Łeb podnosi kredens
Szafa rozpiera się swobodnie
Na stałe miejsca
Powracają krzesła
Wszyscy domownicy z uczuciem ulgi
Wypuszczają powietrze:
No wreszcie, przeczekaliśmy...

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 062fd4e8ab

OD A DO ZYBERTOWICZA

Realizm bez sukcesu?

Książka wyszła po angielsku w roku 2018 i nosi tytuł: „The Formula: The five laws behind why we succeed or fail". Po polsku: „Formuła: Pięć praw, od których zależy to, czy odnosimy sukces, czy porażkę". Autor nazywa się Albert-László Barabási, jest Węgrem urodzonym w Rumunii, który od lat już pracuje w Stanach i jest uznanym autorytetem w zakresie badania zjawisk sieciowych – nie tylko społecznych.

Według różnych wskaźników sam Barabási odniósł już w nauce poważny sukces. Ale tego mu mało, postanowił dodatkowo przebadać mechanizmy, od których zależy odniesienie sukcesu na wielu różnych polach życia społecznego. Stąd jego „Formuła" i tworzące ją pięć praw.

PIĘĆ PRAW SUKCESU

1. Efekty pracy przynoszą sukces, ale gdy są one trudno mierzalne, wtedy sukces jest napędzany przez sieci (powiązania, networki) społeczne.
2. Efekty są zawsze ograniczone, ale sukces może być nieograniczony.
3. Wcześniejszy sukces + przydatność wyników pracy = dalszy sukces.
4. Podczas gdy sukces zespołu wymaga różnorodności i równowagi, uznanie za osiągnięcia grupy zdobędzie tylko jedna osoba.
5. Gdy wytrwale tworzysz kolejne efekty, sukces może nadejść w każdej chwili.

Wszystkie te prawa, których bliżej nie sposób tu omówić, Barabási opiera na wiarygodnych badaniach ilościowych, w tym na algorytmach pozwalających efektywnie (czyli z sukcesem) przewidywać np., że jakiś artysta zostanie sławny i bogaty albo że jakiś uczony dostanie Nobla.

SEDNO SUKCESU

Istotą sukcesu, tak jak Barabási go definiuje, jest wysoki poziom społecznego uznania, wyrażający się za pomocą dającej się zmierzyć sławy i/lub bogactwa. Na marginesie dodam, że czegoś takiego jak sukces moralny Barabási nie bada.

Nie można być sławnym, jeśli wiele osób cię nie rozpoznaje; nie można być bogatym, jeśli wiele osób nie chce płacić za twój występ, za twoje dzieło lub za produkt

Autor „Formuły" przyjął rozsądne (choć niejedyne możliwe) założenie, że istota sukcesu ma charakter społeczny – jeśli inni ludzie nie uznają ciebie za człowieka sukcesu, to sukcesu nie odniosłeś. Wszystkie prawa Barabásiego bowiem wskazują, że to konteksty, czyli sieci społeczne, decydują o tym, że ktoś odniósł sukces oraz w jakiej skali. Przykładowo: o wysokich cenach dzieł sztuki często nie decydują ich wewnętrzne walory, ale np. układ powiązań krytyków, mediów, właścicieli galerii i domów aukcyjnych.

Nie można być sławnym, jeśli wiele osób cię nie rozpoznaje; nie można być bogatym, jeśli wiele osób nie chce płacić za twój występ, za twoje dzieło lub za produkt opatrzony twoim wizerunkiem. Poza tym Barabási mówi sporo innych całkiem niebanalnych rzeczy – np. podpowiada, jak sukces można praktyce osiągnąć.

DRUGA STRONA MEDALU

Postanowiłem napisać o koncepcji Barabásiego, gdy odebrałem kolejną w niedługim czasie przesyłkę z książką – polskiego, raczej nieznanego autora lub wydaną pod pseudonimem. Książkę patrioty, który tłumaczy, jak najlepiej uchronić nasz kraj, Europę albo i cały świat od narastających zagrożeń. Na okładce tej pozycji znany i kontrowersyjny – w tym dzięki występom w mediach Federacji Rosyjskiej – polityk pisze, iż autor „proponuje radykalny powrót do realizmu w myśleniu geostrategicznym".

Kłopot w tym, że ów realizm nie wyraził się ani w efektywnej technice narracyjnej autora książki, która przyciągałaby do niej czytelników, ani też w skutecznym sposobie jej promocji. Nie zanosi się na sukces, czyli wystarczająco szerokie oddziaływanie społeczne idei w książce spisanych.

Często nie wiadomo, czy w książkach autorów naprawiaczy Polski są rzeczywiście społeczne przydatne wyniki dociekań. Autorzy zwykle funkcjonują w środowiskowych i medialnych niszach. Przed publikacją rzadko poddają – w odróżnieniu od Barabásiego – swoje wywody rzeczowej, wymagającej krytyce, pozwalającej usunąć mielizny. Nie budują mozolnie – w odróżnieniu od Jacka Bartosiaka – środowiska, które ich dziełom i ideom dałoby *noszenie*.

Nasi „realiści" częstokroć zachowują się tak, jakby nie przyswoili tej zasady życia społecznego, która mówi: „Prawda zwycięża nie bez oręża!". (Pomińmy już to, że można się osobno spierać, czy w swoich wywodach faktycznie do jakichś niebanalnych prawd dotarli).

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 062fd4e8ab

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI | wSIECI HISTORII

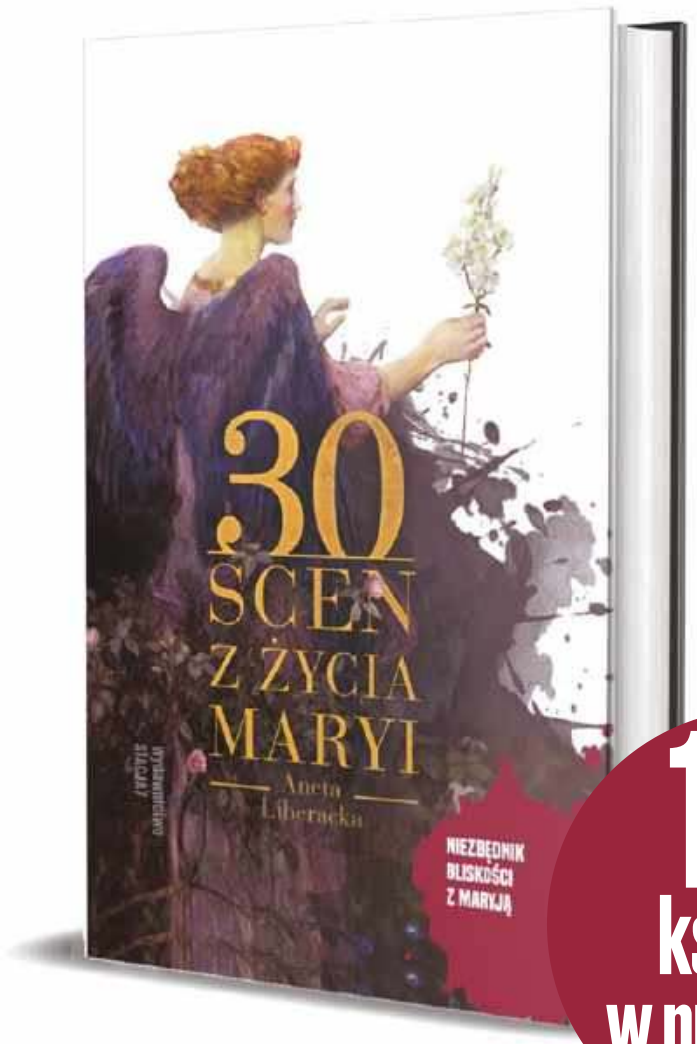

W książce znajdziesz:

- 30 scen z życia Maryi zaczerpniętych z Ewangelii
- 30 prawdziwych historii współczesnych kobiet
- Felietony o Maryi – kobiecie, matce, drogowskazie życia
- Najpiękniejsze modlitwy, litanie i nowenny do Matki Bożej
- Kilkadziesiąt reprodukcji malarskich z Maryją – wśród nich Madonny Papieskie

340 STRON | PIĘKNE REPRODUKCJE | IMPRIMATUR

100 książek w prezencie

Książkę **„30 scen z życia Maryi”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za **295 zł**.

Zamów już dziś na: **www.wsieciprawdy.pl/prenumerata**

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

Kontakt: **prenumerata@fratria.pl** | **tel. 22 616 36 00** w godz. 9-16

eprasa.pl 062fd4e8ab

Przyjazna Firma Ubezpieczeniowa 2021

PRZYJAZNA FIRMA UBEZPIECZENIOWA 2021 MIESIĘCZNIKA GAZETA BANKOWA

MENEDŻER ROKU 2021 MIESIĘCZNIKA GAZETA BANKOWA

Poznaj laureatów XII edycji konkursu w kategoriach:

- ubezpieczenia na życie
- ubezpieczenia komunikacyjne
- ubezpieczenia osobowe i majątkowe

Zobacz, kto otrzymał tytuł
Ubezpieczeniowego Menedżera Roku 2021

Szczegóły na: gb.pl/konkursy

ORGANIZATOR

GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

PARTNER MERYTORYCZNY

KEARNEY

PARTNER

accenture

eprasa.pl 062fd4e8ab